V- 23197/1977 N. 1

ZAPIS

POEZJA PROZA ESEJE FELIETONY

Nr 1.

PRZYGOTOWALI:

JERZY ANDRZEJEWSKI • STANISŁAW BARAŃCZAK • JACEK BOCHEŃSKI • KAZIMIERZ BRANDYS TOMASZ BUREK • MAREK NOWAKOWSKI • BARBARA TORUŃCZYK WIKTOR WOROSZYLSKI

STYCZEŃ 1977

V- 23197/1977 N. 1

ZAPIS

POEZJA PROZA ESEJE FELIETONY

Nr 1.

PRZYGOTOWALI:

JERZY ANDRZEJEWSKI · STANISŁAW BARAŃCZAK · JACEK BOCHEŃSKI · KAZIMIERZ BRANDYS TOMASZ BUREK · MAREK NOWAKOWSKI · BARBARA TORUŃCZYK WIKTOR WOROSZYLSKI

STYCZEŃ 1977

Copyright by ZAPIS nr 7

V- 23197

Stanisław Barańczak

DLACZEGO „ZAPIS"

Czytelnicy "1984" George'a Orwella - powieści, która ostatnimi czasy przeżywa w Polsce znamienny renesans popularności - pamiętają z pewnością, na czym polegały obowiązki zawodowe głównego bohatera książki . Winston Smith ,zatrudniony w Ministerstwie Prawdy, był kimś w rodzaju cenzora ; ale cenzora szczególnego rodzaju. Cenzurował przeszłość . Ilekroć okazywało się , że produkcja jakiegoś wyrobu nawet w połowie nie osiągnęła zaplanowanego poziomu , albo że państwo znalazło się w stanie wojny z mocarstwem uważanym dotychczas za sprzymierzeńca - obowiązkiem Winstona Smitha było odnaleźć archiwalne numery gazet , w których jakiś czas przedtem zapowiadano przekroczenie planu lub deklarowano wieczystą miłość do sojusznika , i odpowiednio obniżyć cyfry lub przeinaczyć stwierdzenia . Następnie we wszystkich bibliotekach i archiwach skrupulatnie palono odpowiednie egzemplarze gazet czy dokumentów, a na ich miejsce drukowano nowe już ze spreparowanymi danymi / i oczywiście z tą samą co poprzednio datą /. W ten sposób kontrola informacji /również literackiej:koledzy Winstona Smitha z tą samą gorliwością poprawiali "pomyłki" w literaturze pięknej / obejmowała nie tylko teraźniejszość ale i przeszłość,zaś Ministerstwo Prawdy mogło z całą swobodą ustalać na każdorazowo wykładnię tego , co aktualnie prawdziwe.

Piszę te słowa w ostatnim dniu roku 1976 i ,spoglądając na kalendarz , oddycham z ulgą. To niepokojącej daty 1984 pozostało jeszcze całe siedem lat. Będą to lata zapewne chude, jeśli chodzi o oficjalną produkcję wydawniczą w Polsce - można jednak mieć nadzieję,że w ciągu tego czasu nie osiągniemy jesz-

cze stopnia technicznego dopracowania, dzięki któremu możliwa była kontrola przyszłości w powieści Orwella. Jak na razie, cenzura w naszym kraju usiłuje kontrolować teraźniejszość. Wycieczki w przeszłość - w postaci przemilczania lub fałszywego interpretowania zdarzeń i postaci historycznych zdarzają się oczywiście również, i to często. Na szczęście nie doszliśmy jeszcze do etapu palenia zbiorów bibliotecznych i drukowania ich w nowej wersji: brak na to zapewne ludzi i środków. Nie osiągnięto również całkowitej i powszechnej dominacji orwellowskiego "dwójmyślenia", które polega między innymi na wewnętrznej zgodzie obywateli na fałszowania przeszłości i teraźniejszości. Mimo to jesteśmy świadkami i mniej lub bardziej świadomymi współuczestnikami sytuacji, w której na naszych oczach najwyraźniej usiłuje się dokonać możliwie pełnyj t o t a l i z a c j i życia umysłowego, osiągnąć możliwie pełną "kontrolę" teraźniejszości. Jeśli dziś na to pozwolimy - być może jutro doczekamy się palenia książek.

Przypomnijmy parę faktów. Wydarzenia grudniowe 1970 roku nie były zapewne dla polskiej kultury przełomem aż tak decydującym jak październik roku 1956. Mimo wszystko jednak początek lat 70 zaznaczył się pewnym ożywieniem w tej dziedzinie - ożywieniem, które z dzisiejszej perspektywy można z pewną nostalgią wspominać jako przejaw ówczesnej "małej odwilży". Jak to już jednak zademonstrowała wcześniej historia, odwilż w PRL nigdy nie trwa zbyt długo. Już około roku 1973 dało się zauważyć znamienne zjawisko. Poprzez szereg posunięć - być może nie zawsze wydanych w pisanej formie - dyspozycji i wytycznych stworzono stopniowo sytuację kulturalną, której cechą szczególną stało się R o z p r o s z e n i e o d p o w i e d z i a l n o ś c i za nie prawomyślność słowa pi-

nego. Wydawałoby się,że skoro już państwo powołujące się na ideologię marksistowską godzi się na utrzymywanie cenzury /warto by tu jeszcze raz przypomnieć, z jakim oburzeniem wyrażali się o instytucji cenzury Marks i Engels /,to przynajmniej cenzor powinien - zapieniądze ,jakie pobiera z kasy państwowej - ponosić wyłączną odpowiedzialność za ewentualne dopuszczenie do druku czegoś , co ukazać się nie powinno. Tymczasem od kilku lat odpowiedzialność tą świadomie i przemyślnie rozkłada aię na wszystkich uczestników transmisji utworu literackiego od rękopisu do druku. /Nieraz dosłownie na wszystkich : W pewnym wydawnictwie prowincjonalnym dyrektor zarządził niedawno , aby nawet korektorzy objawiali stosowną ideologiczną czujność i zgłaszali mu zauważone w tekscie nieprawidłowości /.

Odpowiedzialny stał się przede wszystkim redaktor pisma czy wydawnictwa. Już sam fakt , że przedłożył cenzurze coś "niesłusznego jest w stanie spowodować utratę redaktorskiego stołka. Toteż kosz redaktora coraz częściej wyręcza cenzorski ołówek . Odpowiedzialny jest wreszcie i sam autor. Jeśli nawet cenzor i redaktor pospołu" zawinili ", przepuszczając do druku jekiś jego niewłaściwy tekst, nic nie przeszkadza ukarać przy okazji autora ,jako bądz co bądz głównego winowajcę. W myśl tej właśnie zasady eseista Ryszard Przybylski , który w roku 1972 opublikował w krajowym czasopiśmie szkic o "Biesach", z paroma krytycznymi uwagami pod adresem poltycznych mitów dziewiętnastowiecznej Rosji, został na dłuższy czas pozbawiony możliwości druku. Artykuł ukazał się za zgodą cenzora : ukarany został jednnie cenzor , lecz autor . Logicznie - karząc trzeba sięgać do samych korzeni zła. Było to , o ile mi wiadomo,pierwszy po "małej odwilży" indywidualny zakaz druku , nie trzeba było jednak długo czakać , aby posypały się nowe . Szczególne

druku nie jest sygnowany przez konkretnego urzędnika, ale spada na autora jak piorun z nieokreślonego "nieba" władzy - łatwo już można manipulować tym zakazem jako narzędziem kary /kary dla pisarza bardzo dotkliwej /, wymierzanej nie tylko za pisanie "niesłusznych" utworów, ale w ogóle za [redacted] jakie - kolwiek, także pozaliterackie formy niesubordynacji. Jest to kara wyjątkowo wygodna w [redacted] użyciu - w przeciwieństwie do do wyroków sądowych nie wymaga uzasadnienia i nie podlega odwołaniu.

Kompletna bezsilność pisarza w starciu z szeroko rozumianą cenzurą staje się jeszcze bardziej dojmująca, gdy na opisywane tu zjawisko rozproszenia odpowiedzialności nakłada się druga charakterystyczna cecha "kontroli teraźniejszości" w ostatnich latach: b r a k k r y t e r i ó w. Myliłby się naiwny, który by sądził, że cenzora obowiązuje dziś jakiś stały i ściśle określony zespół instrukcji, które wskazują mu, co należy skreślać. Ma się rozumieć, pewne kierunki działalności cenzury są rzeczywiście niezmienne. Dzisiejszy polski pisarz automatycznie nie dopuszcza na ostrze swej stalówki jakichkolwiek uwag krytycznych wobec ideologii marksistowsko-leninowskiej, wobec ZSRR wobec milicjiczy wojska, jakichkolwiek wzmianek o pewnych faktach czy postaciach historycznych uznanych za niebyłe - wie po prostu, że zdania te i tak będą automatycznie skreślone, a gdy jest ich za dużo, zdjęty zostanie cały utwór. Ale jakiż idylliczny byłby świat cenzury, gdyby obowiązywały w nim tylko takie, choćby najsurowsze, ale wyraźne kryteria! W praktyce ustrzec się nieprawomyślności jest znacznie trudniej. W pewnych okresach, w pewnych województwach/sic/, w zetknięciu z pewnymi cenzorami okazuje się np., że nie wolno pisać zbyt dociekliwie o faszyźmie, bo może to wyglądać na aluzję; nie wolno wymie -

niać nazwiska pisarza czy uczonego żyjącego na emigracji; nie wolno poświęcać zbyt wiele uwagi historii powstań narodowych w zaborze rosyjskim; nie wolno krytykować powieści milicyjnych i szpiegowskich; nie wolno wychwalać luksusów świata zachodniego /autentyczny przykład: ze zdania "...jezdnią sunęły wspaniałe mercedesy i ople" cenzor skreśla słowo "wspaniałe" "/; nie wolno używać zbyt często słów "wolność","demokracja","tolerancja","niezawisłość",a nawet /też przykład autentyczny/ "zachowanie własnej twarzy "; nie wolno wyrażać się krytycznie o caarycy Katarzynie ;nie wolno - nawet w przypisach do pracy naukowej - cytować nazwisk osób ,które niedawno "podpadły" ; nie wolno wdawać się w politykę z prasą partyjną albo kpić z głupoty programów telewizyjnych ;nie wolno posługiwać się słowem "totalitaryzm"; nie wolno podkreślać historycznej roli Kościoła nie wolno popadać w pesymizm ani uciekać się do czarnego humoru ;nie wolno ... Nie wolno na dobrą sprawę nic, i nieraz mogłoby się wydawać ,że jedynie przykra konieczność wydawania określonej liczby książek i czasopism literackich każe naszym politykom kulturalnym dopuszczać coś niecoś do druku.

Oczywiście,brak kryteriów ma i swoją dobrą stronę: tę mianowicie, że przy dużej dozie szczęścia autorowi uda się czasami przemycić do druku coś autentycznego w nieokrojonej postaci. Z reguły jednak wynikiem braku ustalonych kryteriów jest krańcowa ,paranoiczna ostrożność, wietrzenie aluzji w najniewinniejszej scenie, metaforze, słowie . Parę autentycznych przykładów z ostatnich lat : w pewnym dość elitarnym miesięczniku literackim cenzor zdejmuje wiersz pt."Gaśnica",który jest w istocie poetyckim/mniejsza czy udanym/opisem wiszącej na ścianie gaśnicy.Z czym się to cenzorowi skojarzyło - do dziś nie wiadomo .

pewnej powieści autor wprowadza epizodyczną, ale ważną dla fa - buły /dziejącej się zresztą trzydzieści lat temu/ postać pijanego oficera Wojska Polskiego. Cenzor odstępuje od skreślenia całej osoby dopiero wtedy, gdy autor zamienia oficera na felczera wojskowego. W pewnym felietonie cenzura skreśla występujące kilkanaście razy słowo "prawda", zastępując je określeniami bliskoznacznymi. Każdy chyba pisarz polski włącznie z autorami najbardziej bezwartościowych ramot kryminalnych czy produkcyjnych, mógłby przetoczyć z własnego doświadczenia dziesiątki podobnych przykładów. Im większa jest odpowiedzialność przed zwierzchnikiem - tym większa nadgorliwość i tym większa zarazem bezkarność wobec poszkodowanego, tj. przede wszystkim autora. Toteż kryteria skreśleń cenzuralnych bywają najzupełniej fantastyczne. Jeszcze jeden autentyczny przykład, tym razem z innej niż literatura dziedziny : cenzura nie dopuszcza do druku pewnego plakatu, ponieważ jest "zbyt kolorowy" /sic/ i wyraża "amerykański styl życia"; w krótkim czasie po tym ten sam urząd odrzuca inny plakat jako "zbyt czarny i pesymistyczny". Podobna dowolność kryteriów dała zresztą znać o sobie także w zakresie zakazów druku: na pół-oficjalnych listach proskrypcyjnych widniały nieraz nazwiska ludzi, którzy w niczym konkretnym władzy nie zawinili, brak natomiast było / na całe szczęście / innych, których racjonalnie rzecz biorąc, można się było tam spodziewać.

Nie tu miejsce, aby zająć się dodatkowo scharakteryzowaniem subtelnego zróżnicowania kar w ramach systemu cenzuralnego konfiskat i zakazów : od kary najlżejszej, jaką jest doraźne skreślenia zdania, czy słowa, aż po najcięższą, jaką stanowi niepisany /a w każdym razie nie ujawniany wprost przed autorem / całkowity i nieokreślony co do czasu trwania zakaz

wymieniania jego nazwiska w druku i publikowania jego prac , nawet wznowień,przekładów czy rzeczy pisanych pod pseudonimem. /Zauważmy nawiasem ,że w najcięższych latach stalinizmu pisarze nie uznawani oficjalnie mieli mimo to prawo zarobić na podstawowe utrzymanie np. tłumaczeniami z klasyki obcej/. Również tylko nawiasowo wspomnijmy o coraz częstszym ostatnio zjawisku rozsypywania gotowych składów drukarskich czy nawet wycofywania opublikowanej już książki z księgarń. Metodami działalności szeroko rozumianej cenzury zajmie się może kiedyś socjologia życia literackiego , dla której nasze nieprawdopodobne czasy stanowić będą zapewne niewyczerpalną kopalnię materiałów. Na nasz własny użytek możemy natomiast i musimy powiedzieć sobie jedno: uczestniczymy w sytuacji , w której jedna trzecia pisarzy polskich ma zakneblowane usta ,jedna trzecia musi ulegać naciskom cenzury ,ilekroć ośmieli się napisać prawdę, a pozostała jedna trzecia prawdy świadomie nie pisze. Jeśli nawet te ułamki są tylko retorycznym chwytem, dalekim od matematycznej ścisłości - nie szkodzi. Sytuacja jest wystarczająco groźna " Z A P I S ", zbiór materiałów literackich, który czytelnik ma przed sobą ,stanowi jedną z pierwszych prób czynnej odpowiedzi na tę sytuację .

Czym jest "ZAPIS" ? Należałoby zacząć od pytania, czym "ZAPIS" nie jest. Nie jest - w intencj autorów - czasopismem publikacją o stałym składzie redakcji i określonej częstotliwości ukazywania się.Nie jest również prezentacją grupy literackiej o wspólnym programie; jak czytelnik łatwo zauważy wśród autorów znaleść można przedstawicieli różnych pokoleń, uprawiających różne gatunki literackie, posługujących się różnymi stylami i poetykami , nie zawsze zbieżnych ze sobą nawzajem w kwestiach światopoglądowych . Nie jest wreszcie - co

trzeba szczególnie mocno podkreślić - fanaberią kilkunastu literatów, którzy równie mogliby dobrze publikować swoje utwory w sposób "normalny". Przeciwnie. Nie od rzeczy może będzie wspomnieć, że w trakcie zbierania materiałów do pierwszego numeru "ZAPISU", kiedy w sposób nieunikniony zaczęły się rozchodzić wieści o tej inicjatywie wydawniczej, niektórzy spośród nas wzywani byli na rozmowy przez odpowiedzialnych za politykę kulturalną wyższych urzędników. Gdy działacze ci żądali od nas odstąpienia od naszej inicjatywy, mieliśmy tylko jedną, dość chyba naturalną odpowiedź : "ZAPIS" nie musi powstawać, jeśli zawarte w nim materiały zostaną opublikowane w oficjalnie działających wydawnictwach i czasopismach. Publikujemy "ZAPIS" tylko dlatego, że oficjalnie możliwości druku zawartych w nim materiałów zostały nam odjęte.

Czym wobec tego jest "ZAPIS" ?

Sens tego tytułu jest świadomie jednoznaczny. Znaczenie pierwsze nasuwa się już w związku z "samizdatowym" charakterem publikacji. Jest to po prostu prezentacja utworów, na których ciąży z a p i s, jak poularnie określa się zakaz druku. Nie mając w ogóle możliwości druku, albo posiadając w swej szufladzie utwory, do których przywiązują wagę, a które albo zostały już skreślone przez cenzurę, albo nie mają najmniejszych szans na oficjalną publikację - współautorzy "ZAPISU" decydują się na jedyne możliwe wyjście : rozpowszechnianie swych utworów w kilkunastu maszynopisowych kopiach.

Znaczenie drugie wiąże się z faktem, że mimo wszelkich różnic gatunków, światopoglądów i poetyk zebrane tu utwory wzięły się ze wspólnego źródła : z przekonania, że nie tylko prawem, ale i obowiązkiem jest z a p i s y w a n i e, utrwalanie w słowie wszystkiego, co ma dla niego wartość prawdy -

prawdy zarówno w sensie poznawczym, jak psychologicznym czy artystycznym. Tej prawdy - być może błędnej, mylnej, źle rozpoznanej - nie wolno ukrywać, tłumić w sobie, poddawać autocenzurze, zmiękczać, przesłaniać aluzjami, godzić się na okroje - nie i okaleczenia. Należy ją wiernie zapisywać - choćby po to, aby można ją było konfrontować z innymi prawdami, poddawać krytyce i wzbogacać zgodnie z własnym sumieniem i rozeznaniem. Bez przeświadczenia o tej powinności - literatura nie zna sensu.

Po trzecie wreszcie, "ZAPIS" chce być - pośrednio - również zapisem sytuacji. Mamy nadzieję, że już na podstawie tej pierwszej, wyrywkowej i niezupełnej, prezentacji "zakazanych" tekstów czytelnik zorientuje się choćby pobieżnie w charakterze ograniczeń, w jakich zmuszona jest rozwijać się nasza literatura. Spostrzeże, iż - jak to już wyżej wykazano - pisarz uczciwy i wierny swojej wewnętrznej prawdzie nie ma dziś praktycznie większych szans na pełne udostępnienie swojej twórczości czytelnikom. Nie może oczywiście, jak Jerzy Andrzejewski w swoim opowiadaniu ulokować akcji w scenerii stalinowskiej Rosji lat trzydziestych. Ale nie może też, jak Kazimierz Brandys, dokonać literackiej analizy sytuacji społecznej w Polsce współczesnej. Nie może - jak Marek Nowakowski - zająć się mechanizmami postępowania szarych ludzi, o osobowościach zniekształconych przez warunki społeczne. Nie może - jak Jacek Bocheński - pisać nawet o starożytności, jeśli w jego słowach cenzor dopatrzy się aluzji do praktyk totalitaryzmu. Czego jeszcze nie może współczesny pisarz polski? Nie może - jak Kazimierz Orłoś czy Jan Komolka - pokazać w swych utworach ciemniejszych stron naszej rzeczywistości, zwłaszcza jeżeli widzi związek np. plagi przestępczości młodzieży z deformacjami systemu wychowawczego. Nie może - jak Wiktor Woroszylski - pisać

szczerze o sobie , o własnym ,poddanym ciśnieniu historii, dojrzewaniu pisarskim. Nie może - jak zgromadzeni tutaj pocci - przeciwstawić swej wewnętrznej niezależności powszechnemu zniewoleniu duchowemu, a "skurwionym słowem"/Jerzy Ficowski/ współczesności - własnego ,autentycznego słowa poetyckiego. Nie może jak uczestniczący w naszym przedsięwzięciu eseiści i krytycy, pisać o niebezpiecznie odmiennych od komunizmu koncepcjach ustroju społecznego /Jakub Karpiński /, analizować powikłanych dróg kultury czasu ostatniej wojny /Barbara Toruńczyk/, polemizować na temat"sprawy polskiej" ze swoim radzieckim kolegą po piórze /Andrzej Drawicz /. Nie może pozwolić sobie na całkowitą swobodę wypowiedzi nawet w tak często przechytrzającym cenzurę gatunku ,jakim jest felieton - co dokumentują zamykające "ZAPIS" skonfiskowane felietony Antoniego Słonimskiego : ich publikacja niechże będzie pośmiertnym hołdem złożonym pisarzowi,którego nazwisko długo jeszcze będzie symbolizować walkę z wszelkimi formami tłumienia sło wolności słowa.

Powiadamy, że pisarz w obecnych warunkach "nie może" pozwolić sobie na głoszenie prawdy . Przecież jednak jest to tylko pewien skrót myślowy. To raczej system , w którym zmuszony jest działać pisarz ,"nie może" pozwolić sobie na tolerowanie prawdy. Wróćmy jednak na zakończenie do Orwella, aby przypomnieć przenikliwą myśl , którą ten nieubłagany wróg cenzury zawarł w jednym ze swoich esejów :"Społeczeństwo staje się totalitarne wtedy, gdy jego strukturę zaczyna cechować jawna sztuczność: tj. wtedy, gdy klasa rządząca utraciła swoją funkcję ,ale udaje się jej przemocą czy szalbierstwem utrzymać przy władzy . Społeczeństwo takie ,niezależnie od tego jak długo przetrwa, nie może sobie pozwolić na to , aby stać się zarówno tolerancyjnym , jak i stabilnym intelektualnie . Nie może dopuścić ani zgodnego

z prawdą zapisu faktów, ani szczerości emocjonalnej niezbędnej dla literackiej kreacji". Oto dlaczego system "nie może" pozwlić sobie na prawdę. I oto dlaczego pisarz musi ją głosić, jeśli jest rzeczywiście pisarzem, a nie literackim najemnikiem. Jeśli ukrywa prawdę przed swymi czytelnikami - sam popełnia tę zbrodnię " zabójstwa słowa", o którą ponad trzysta lat temu Milton oskarżał instytucję cenzury. Nie wolno nam zabijać własnymi rękami słowa, kultury, prawdy, ludzkich wartości. Z tego właśnie powstał "ZAPIS".

31.12.1976

Stanisław Barańczak

Ryszard Krynicki

W I E R S Z E

I naprawdę nie wiedzieliśmy

Może byliśmy dziećmi , nie mieliśmy doświadczenia,
wiedzieliśmy tylko , że zmusza się nas do wiary w kłamstwo
i naprawdę nie wiedzieliśmy czego chcemy,
oprócz poszanowania ludzkich praw i prawd,
kiedy zebrani na nie wielkim placyku ,
wokół pomnika naszego poety,
który młodość przeżył w zniewolonym kraju
a resztę życia na wygnaniu
paliliśmy papierosy i kłamliwe gazety,
paliliśmy papierosy, mimo że zatruwały nasze ciała,
paliliśmy gazety, bo zatruwały nasze umysły,
czytaliśmy konstytucję i deklarację praw człowieka
i naprawdę nie wiedzieliśmy,
że prawa mogą się okazać
sprzeczne z interesami obywatela,
i naprawdę nie wiedzieliśmy,
że tyle wozów można skierować przeciwko bezbronnym,
przeciwko nam ,którzy byliśmy jeszcze dziećmi,
zbrojnymi jedynie w idee, o których nauczano nas w szkołach,
i których w tych samych szkołach nas oduczano,
zbrojnymi w idee poety , wokół pomnika którego się zebraliśmy,
i naprawdę nie wiedzieliśmy,
że wszystkie te idee można przekreślić
szantażującymi przemówieniami ,prowokacyjnymi artykułami,
bezlitosną szarżą sytej i butnej przemocy,
zwielokrotnionym kłamstwem kłamstwa,

i naprawdę nie wiedzieliśmy, że dorośli nie uwierzą nam
lecz zwielokrotnionemu kłamstwu, że wszystko można przekreślić
i wszystko zapomnieć
i udawać ,że nic się nie stało,
i naprawdę nie wiedzieliśmy, że to , co potem nastąpi
przejdzie nasze najśmielsze wyobrażenia,
i naprawdę nie wiedzieliśmy, że pamięć jest wrogiem obywatela,
i naprawdę nie wiedzieliśmy, że żyjąc tu i teraz
trzeba udawać , że żyje się gdzie indziej i w innych czasach
i co najwyżej walczyć z umarłymi
przez żelazną kurtynę obłoków

Piosenka

nie zostaniesz zabity - ani wygnany z ojczyzny
nie zostaniesz wtrącony do więzienia - ani kilkanaście lat
nie będziesz czekać na swoje miejsce po zmarłej
młodości - nie założysz rodziny - między kartki książki
nie zostaniesz unicestwiony - ani przymusowo wysłany
na bezpłatne leczenie do zamkniętego zakładu -
i w tym samym czasie
kiedy nie będziesz gnił wewnątrz ułojonej osoby choroby nikt inny
nie będzie żył z twojego istnienia nie będziesz bity
na przesłuchaniach ani o każdej godzinie
nie będziesz musiał odpowiadać na ogłupiałe pytania
ani twoi bliscy i przyjaciele nie będą musieli zamykać
przed tobą drzwi nie zostaniesz skatowany
w biały dzień twoich mrocznych czasów na oczach tłumu
płaska rzeźnia gazety nie wypluje niczyich zgruchotanych kości
nie będziesz chorobliwym ptakiem ani oszalałym szczurem

który nie chce pamiętać i jedynie przed sobą ucieka

nie

będziesz prześladowany ani naśladowany nie zostarzejesz się
przedwcześnie nie będziesz ociemniałycieniem

osaczonym przez agentów własnego ciała nie będziesz walczył
z dymem deszczem i chmurami nie będziesz się wstydzić prawdy
w swoich czasach jak ciemnej antyutopii nie zostaniesz zabity

nie zostaniesz zabity - ani nie wyrzucą cię z pracy
nie wyrzucą z ojczyzny - ani nie pozwolą wracać
do ruin ciemnego snu który ani ostrzega ani grozi

płytki grób gazety nie wypluje twoich pogruchotanych kości
na zdeptaną ulicę nie wtrącą cie do więzienia
głębszego niż nosisz w sobie nie będziesz musiałzmieniać

niczego w mroku twoich najlepszych czasów nie zabity
nie będziesz wbijany na pal fałszywej dumy nie zostaniesz
wśród swoich przedmiotów nie staniesz nagi przed obcym trybunałem

Ziemi

nie będziesz musiał zmieniać nazwiska ,państwa ,wiary i wyznania,
nie będziesz nie zostaniesz nie zostaniesz bez winy
nie będziesz przedmiotem ostatniego przesłuchania ani

posłuchania

bo wierzysz , że jedynie kometa może cokolwiek zmienić
a po nas nawet Nic nie pozostanie

Biała Plama

pamięci Brunona Jasieńskiego

Spracowany pracownik wiecznego pióra cierpi za miliony niedoszłych czytelników

Wszystko jest aluzją, każdy jest morderwą
swojego poprzedniego i przyszłego wcielenia,
za dużo krwi płynie w żyłach współczesnego człowieka i
obywatela,
zaiste , tylko sztuka czysta wyraża istotę współczesnego świata
myśli pracownik Wiecznego pióra
wypieranego coraz bardziej przez telefon służbowy,
na wykładzie o aluzji poltycznej we współczesnej polskiej poezji
wygłaszanym przez docenta mianowanego na andrzeja l.
/a może odwrotnie /
do pracowników służby bezpieczeństwa i kontroli prasowej
czystości sztuki
i pracowicie notuje mozolnie wykładane ze spracowanej
aktówki
docenta l. na stół
aluzje: Plac Wolności ,Plac Czerwony, Spółdzielnie Inwalidów
XX-lecia PRL
zaiste , za dużo jest aluzji w książkach telefonicznych
za dużo śmierci i krwi
na ulicach ,placach i pustyniach współczesnego miasta,
za dużo jest krwi ,zmobilizowaliśmy ostatnie rezerwy piaskarek,
ale i one nie zdołały osuszyć stronic ostatniej krwawej
niedzieli,
ilość wypadków drogowych zwiększa się,
więc szybko zbudujemy rurociąg ,który połączy nas z najbliższą
pustynią
i w razie czego będzie mógł służyć jako poczta pneumatyczna
/wymyślimyoczywiście odpowiedni system ubezpieczeń przed
przemytnikami /
a że na razie , póki to nie nastąpi ,

myśli nasz bohater, zaiste, każdy okreśminiony jest prawiczką -
więc tym wnikliwiej zanurzajmy ostrze długopisu
w ciało współczesnego wiersza,
bo im bardziej zakrwawi się to niezmordowane ostrze,
im więcej krwi wypłynie na powierznię,
im szybciej śmierci zatka się usta
papierowymi tygrysami wieczornych i porannych dzienników,
tym bardziej powiększy się obszar białych plam białego wiersza,
tym bardziej biały wiersz stanie się miniaturową Syberią,
której zasoby wykorzystamy, gdy zabraknie nam innych surowców,
żeby zatkać wiecznie otwarte usta,
i tym bardziej poezja stanie się czysta
i przeźroczysta jak ciało chorej na leukemię
pracowniczki zakładu oczyszczania miasta
białej nocy zimowej

Co pewien czas

Co pewien czas ktoś płonął na stosie
mędrcy, szaleńcy, przypadkowi świadkowie
którymi mógł być każdy z nas
kobiety, które na każdym łóżku
swojej epoki przypadkowej
płonęły jak książki
za urojone i prawdziwe kontakty z urojonymi i prawdziwymi diabłami
jak książki oprawione w naszą nieludzką skórę
głosujący za, przeciw i wstrzymujący się od głosu
co pewien czas nasze złe czyny zmieniały się na gorsze
właściciele narodów głosili wtedy, że jest coraz lepiej
a będzie jeszcze lepiej

im dłużej trwały przemówienia - tym bardziej wydłużały się kolejki,

ostani w kolejce czuli za sobą tuż, tuż miedziane czoło
nadciągającego czasu

jedni dogorywali w obozach koncentracyjnych

w łagrach dalekiej północy

swoich najlepszych czasów,

ginęli bez wieści ,

drudzy wiedzieli o tym , lecz nie chcieli uwierzyć ,

antyfaszyści ginęli z ręki antyfaszystów,

głód i tłok wyzwalały w nas najgorsze instynkty,

co pewien czas w encyklopediach naszych najlepszych czasów

epitety zamieniały się miejscami , hasła przybywały i ubywały,

ulice zmieniały swoje nazwy, w gazetach ubywało jednych ,

przybywało drugich słów,

za którymi kryła się zagłada całych pokoleń i narodów,

czytelnicy otwierali swoje gazety zamykając jednocześnie drzwi

wiodące do prawdziwego świata,

hasło bóg zajmowało coraz mniej miejsca ,hasło człowiek brzmiało dwuznacznie,

godzina policyjna mogła trwać latami.

co pewien czas ,

zabijaliśmy czas , spędzaliśmy życie,

spędzaliśmy czas , zabijaliśmy życie

wielu gniło w więzieniach swojej przypadkowej epoki,

wielokrotnie zdradziecki nóż cudzego serca wbijał się w nasze serca

byli banici

i ci ,którzy nadaremnie usiłowali wyjechać za granicę

swej przypadkowej epoki

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA KUL

walka o pokój pochłaniała tyle samo ofiar
co walka o władzę
ktoś zamiast walczyć z wrogiem wewnętrznym ,
który opanował jego serce
zdradzał przyjaciół,
co pewien czas
czerwony ołówek ogłupiałej cenzuryśmierci ,
wykreślał czyjąś twarz otwartą bagnetem
dawno straconą przez swojego przypadkowego właściciela i
niewolnika
w zatrzaśniętych pośpiesznie okładkach legitymacji
przypadkowego zjednoczenia poufnych rozmówców,
poufnego zjednoczenia przypadkowych rozmówców,
potulnego zjednoczenia przymusowych rozmówców,
przymusowego zrzeszenia potulnych rozmówców
prywatnego zjednoczenia itd. swojej epoki
co pewien czas legitymacje te z przytrzaśniętymi twarzami
płonęły nastosach ,
jątrzyły jaskrawieciała prezydialnych stołów,
rozżarzały czerwone sukno nieludzkiego świata
sztuczną krwią nabiegały nylonowe flagi,
co pewien czas nasze serca i twarze były jak proporce
przechodnie,
co pewien czas byliśmy na ustach wszystkich
usta wszystkich przyjmowały nas lub wypluwały
młodzi walczyli ze starymi, starzy z młodymi ,
nie mogło dojść do równowagi,
bo ci pierwsi starzeli się o wiele prędzej ,niż odważali się
mówić ci drudzy
i tak wyprzedzaliśmy epokę

to co nazywaliśmy szczęściem - młodość -
otrzymaliśmy w darze od natury, anie od państw,które były
naszymi właścicielami
jedni gnili w więzieniach lub obozach psychiatrycznych,
innym przyznano odznaczenia i wysokie emerytury,
paserzy zostawali ambasadorymi ,
co pewien czas historia ,której absolwenci najczęściej
pracują w ogłupiałej cenzurze śmierci,
przyznawała rację jednym odmawiając jej drugim,
co pewien czas nasi syci rówieśnicy
z zawiści lub głupoty pozbawiali nas środków do życia,
co pewien czas burzono pomniki
laureatów swojej przypadkowej epoki
i rehabilitowano pośmiertnie ofiary laureatów
minionej epoki

co pewien czas zabalsamowana mumia Stalina
była gotowa do powrotu,
co pewien czas zawodowi mordercy
ustanawiali karę śmierci ,
rak kłamstwa toczył epokę,
która jak każdy śmiertelnie chory do końca naiwnie wierzyła,
że toczy się o własnych siłach ku lepszej przyszłości
co pewien czas nie mieliśmy czasu ,
na to ,aby aby próbować zmieniać nasze czasy,
odróżnić czas naszego jedynego życia,
od wielu czasów, w których przyszło nam żyć,
poltycy, kaznodzieje ,artyści i poeci
zawsze znajdowaliśmy coś na ich usprawiedliwienie,
czasami chcieliśmy po prostu przeżyć,

bo uwierzyliśmy,że wolność to uświadomiona konieczność
życia w naszym najlepszym ze światów,
który buduje jeszcze lepszy, lepiej dopasowany świat
i nie może już znaleść dla siebie żadnego wolnego miejsca,
żadnej luki
w powszechnej szczęśliwości

Czasami wierzę

Annie i Stanisławowi Barańczakom

Powiem prawdę : czasami wierzę
w istnienie tamtego świata, wierzę w zjawy,
wampiry, wysysające mózgi i krew,
zresztą, może nawet bardziej się boję,niż wierzę
/ co na jedno wychodzi w naszych czasach: bać się - wierzyć.
Staram się wtedy nie siadać plecami do drzwi,
drzwi żyją własnym życiem ,powiem więcej:
stałem się przesądny, już nie mówię głośno o swoich marzeniach,
nadziejach , aby ich nie spłoszyć, unikam
wypowiadania słów ,które potrafią się zemścić,
wykreślam je ze starych wierszy / zresztą nie tylko ja /,
nie ukrywam jednak ,
że czasami zapominam o środkach ostrożności,
piję wódkę,kocham kobietę, udaję się w podróż,myślę
telepatycznie, odwracam plecami do drzwi,
które żyją własnym życiem
i prędzej czy później się otworzą,
i prędzej czy później dotknie mnie ta lodowata ręka,
może tylko da mi znak
a może bez ostrzeżenia zaciśnie się na moim sercu,

powiem prawdę : nie wierzę ,aby to była ręka
Osipa Mandelsztama ani Georga Trakla,
ani żadnego innego poety,który niezależnie od ludzkiej ,
czy nieludzkiej śmierci ,jaka go spotkała,
ciągle jeszcze mówi do nas swoimi żywymi słowami

Kazimierz Brandys

NIERZECZYWISTOŚĆ

/fragmenty/

- Nie będę mówił w sposób uporządkowany. Lista pytań , a właściwie tematów, jakie mi Pan proponuje , jest długa i szczegółowa. Wolałbym ją uznać za materiał orientacyjny zamiast trzymać się jej ściśle i odpowiadać punkt po punktcie. Nie ustaliliśmy tego w rozmowie ,bo dopiero nazajutrz przejrzałem kwestionariusz.Przyzna Pan ,że byłoby trochę komiczne,gdybym w punkcie 12 określił swój stosunek do Boga , a następnie wyraził swoje poglądy na małżeństwo , i tek dalej , po kolei. Wyrażając swoje poglądy na małżeństwo określa się poniekąd swój stosunek do Boga, i odwrotnie, w czyimś pojeciu Boga zawiera się jego stosunek do małżeństwa . Ludzkie sprawy jakoś zachodzą na siebie, trudno je wyszczególniać w punktach. Będę więc mówił nie po kolei. Wydaje mi się , że zrozumiałem , czego pan ode mnie oczekuje . Ale ja także czegoś od siebie oczekuję. Jak pan zauważył , wahałem się , czy przyjąć propozycję , i myślę , że prawie każdy zawahałby się na moim miejscu . Względy ostrożności nie są najistotniejsze . W trakcie naszej rozmowy spostrzegłem, że usiłuje pan rozwiać moje obawy przed możliwymi konsekwencjami. Podkreślał pan anonimowość nagrania , kilkakrotnie powtarzając , że bierze pan pod uwagę mój powrót . Dziękuję, nie wątpię o pana lojalności i wiem , że rejestracja mojej wypowiedzi ma dla pana wartość jedynie socjologicznego sondażu. Zresztą pański autorytet naukowy byłby w tym względzie dostateczną gwarancją. W rozmowie , jeśli pan pamięta, wspominałem, że podobnych uwag nie odczuwam . Ważniejsze znaczenie ma dla mnie fakt , że urodził się pan w Polsce. Profesorów amerykańskich uniwersytetów , którzy ukończyli warszawskie gimnazjum w tym

samym roku co ja, nie doliczę się wielu. Gdybym w moich nagraniach znalazła się wzmianka o Sejmie Czteroletnim czy "Weselu", nie będzie pan musiał wertować encyklopedii i podręczników. Polacy mają kompleks lokalności, wiedzą, że mówią szyfrem i że rozwiązanie ich szyfru nie interesuje cudzoziemców. W danym przypadku ten kamień u szyi odpada. Więc dobrze. Zamierzam mówić pół godziny dziennie, późnym wieczorem. W moim hotelu o tej porze jest najciszej. Nie sądzę, abym miał trudności techniczne z nagraniem. Magnetofon działa bez zarzutu.

- jeden z punktów ankiety porusza sprawę, od której mógłbym zacząć. Pytanie następujące: czy odczuwam swoją odmienność porównując się z ludźmi żyjącymi w krajach nie objętych komunizmem. Dołączono kilka podpunktów w nawiasach. Mam wymienić dziedziny, w których przejawia się moja odmienność, chodzi o jej zakresy i rodzaj, o to, czy różnię się, na przykład od pana, pod względem psychologicznym, moralnym, czy obyczajowym. Interesujące pytanie. Ja także stawiałem je sobie w trakcie naszej rozmowy, nie mając jeszcze pełnej listy pytań. Bodaj czy właśnie w tym pytaniu nie wyraża się mój główny opór wobec pana. A raczej wobec propozycji, z jaką Pan wystąpił podczas naszego spaceru na Rynveng Rijde. Pytanie takie zadałem sobie natychmiast po pana pierwszych słowach, nim zdążył pan wyjaśnić swoją ofertę do końca. Mówiąc, że je sobie z a d a ł e m, wyrażam się nieściśle. Poczułem je. Ogarnął mnie niepokój, jakbym miał wykonać nieuważny gest, który mnie zdemaskuje. W czasie wizyty u lekarz pacjent musi zazwyczaj odpowiedzieć na par wstępnych pytań dotyczących trybu życia, kondycji psychicznej, snu, odczuwanych dolegliwości. Na te pytania pacjent chce odpowiadać najrzetelniej, z wszystkimi szczegółami. Sądzi, że jego relacja ma dla

lekarza

decydujące znaczenie. Tymczasem lekarz słucha jej pobieżnie, ale notuje w pamięci : szara cera ,podrygiwanie stopy, mętne białka. Dla postawienia dignozy często ważniejsze są sympto - my ,o których pacjent nie wie, niż te ,które sobie uświadamia. Każdy mój tekst będzie przez pana oceniony jako zespół objа - wów ,niezależnie od tego ,co mam do powiedzenia. Cokolwiek powiem będzie symptomatyczne dla pewnego stanu rzeczy, z któ - rego nie zdaję sobie sprawy ,ale który zdradzę i potwierdzę być może tym właśnie , czego nie wypowiem. Lub w jaki sposób coś sformułuję , albo ile razy do tego powrócę . Mój monolog będzie wzięty pod uwagę , co nie-koniecznie musi oznaczać ,że - na przykład - autorzy pytań zechcą go skonfrontować z własnymi poglądami i zastanowić się, czy moje nie są słuszniejsze.

- mógłby mi pan odpowiedzieć , że wyniki ankiet testów i statystyk są nowoczesną szkołą informacji społecznej.Mnie wy- dają się chwilami współczesną lekcją niewolnictwa. Z publika - cji socjologicznych człowiek się dowiaduje, że pięć milionów ludzi ma zarobki , potrzeby, myśli i marzenia takie same jak on. Taki człowiek ma odtąd świadomość siedmiocyfrową, liczba zastępuje mu indywidualność. Właściwie czym jest moda , jeśli nie rzędem zer dopisanych do czyjegoś gustu, i czym jest tota - lizm, jeśli nie rzędem zer dopisanych do czyjejś przemocy. O - czywiście , jestem jednych z wielu ,Ludziextacy jak ja żyją w każdej epoce i w każdej są jej szarą materią. Takich ludzi nazywa się [illegible] , narodem , społeczeństwem , a o ich życiory- sach mówi się [illegible], jakby należały nie do nich , tylko do ich czasów . Ale [illegible] żyją ,mają złudzenie swojej poje - dynczości i bronią się , [illegible] tym odblaskiem jedynobóstwa, jaki noszą w sobie, bronią się na przed liczbą ,przed ate - istycznym bogiem pustki. To był mój pierwszy spór.

- Grupa pytań o dane biograficzne przeniosi sprawę na solidniejszy grunt. Ma pan do czynienia z osobnikiem urodzonym w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej . Mój ojciec był nauczycielem , a potem dyrektorem gimnazjum. W roku 1933 wstąpiłem na wydział prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ale po dwóch latach moi rodzice dowiedzieli się nie bez zdziwienia , że studiuję filozofię. Zajmowałem się nią przez dwa trymestry. W istocie moim prawdziwy zainteresowaniem była sztuka, w czasie studiów występowałem jak ostatysta w tetrze. W roku 1936 rzuciłem Uniwersytet i zapisałem się na Wydział Reżyserski Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej ,dawniej się o tym mówiło : Szkoła Dramatyczna . Powinienem jeszcze dodać , że po maturze odbyłem służbę w szkole podchorążych łączności w Zegrzu. W latach 1940-44 byłem związany z konspiracyjnym ugrupowaniem ,które weszło w skład Armii Krajowej. Po roku 1945 rozpocząłem pracę reżyserską ,którą najmuję się do dzisiaj, wprawdzie ccraz rzadziej .Nie jestem członkiem . żadnej organizacji o charakterze politycznym .W latach 1956-68 wykładałem w warszawskiej PWST , jest to obecna nazwa tej samej uczelni , którą koćczyłem przed wojną. Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna .Od roku 1970 jestem teatrologiem ,mam cichy pokoik w Państwowym Instytucie Sztuki. Liczę na to ,że wszystkie te firmy o podobnych literach nie pomieszają się panu.

- Nie chciałbym zaprzątać pańskiej uwagi szczegółami mojego życiorysu. Lecz skoro w dalszym ciągu mam odpowiadać na pytania dotyczące mego światopoglądu i zasad etycznych , byłoby nie do pomyślenia mówić o tych sprawach w sposób oderwany. Kształtują je przecież okoliczności życiowe o rozmaitym charakterze , niekiedy historycznym , a również osobistym i rodzinnym. Wymieniłem tu zawód mego ojca . Fakt , że był pedagogiem

niewiele wyjaśnia, musiałbym z grubsza określić jego umysłowość i wpływ, jaki na mnie wywarł. Postać ojca ma często wagę prototypu, ojciec jest pierwszym człowiekiem, a przynajmniej pierwszym mężczyzną, z którym się stykamy, z którym się porównujemy i którego osądzamy. Ponadto jest nieco tajemniczą sylwetką, obdarzoną czwartym wymiarem: przeszłością. W dzieciństwie nie ma kategorii przemijania, istnienie jest wtedy, jak gdyby stanem wyrażonym, niecierpliwą ciekawością pomiędzy "dzisiaj" a "jutro". To, co było przed naszym urodzeniem i w czym długą będą tkwić nasze legendy i symbole, wiąże się z postacią ojca. Usłyszane w dzieciństwie słowa "kiedy byłem w twoim wieku", są naszym zapoznawczym spotkaniem z historią, a pierszym Tacytem i Plutarchem jest dla nas człowiek, który skierował naszą uwagę na czs przeszły dokonany.

- Mój ojciec przekazał mi wiek XIX. Były w nim rewolucje i powstania, rozwinął się przemysł, była niewola i emygracja. O tym wszystkim dowiedziałem się w domu, prawdopodobnie we wczesnym dzieciństwie, i stworzyło to rodzaj ikonografii życia mego ojca. Jakkolwiek urodził się pod koniec ubiegłego wieku, był dla mnie powstańcem, emigrantem, sybirakiem i pozytywistą. Był jednocześnie Gustawem i Konradem oraz połączeniem Traugutta z Wokulskim. Taki obraz upersonifikowanej historii podobny jest do snu, z którego człowiek budzi się w miarę jak dorasta.

- Jakie czynniki i okoliczności wpłynęły na mój światopogląd? Nie mam opinii o ludziach i faktach, nie sądzę jednak, aby to był mój pogląd na świat. Mógłbym sie najwyżej zastanowić nad moimi stosunkami ze światem, ale to jest cokolwiek inna sprawa, powiedziałbym nawet, że bliższa poglądu świata na mnie, niż odwrotnie.

Szczerze mówiąc, niektóre pytania kwestionariusza rozmijają

się z moim życiowym doświadczeniem. Np. punkt dotyczą - cy studiów uniwersyteckich zakłada z góry, że w tych latach mój umysł wzbogacił się o sumę wiadomości w wybranej dziedzinie wiedzy. Założenie jest o tyle fałszywe , że mój umysł wzbo - gacił się wówczas w sposób istotniejszy i o coś zgoła innego. Mam na myśli wstrząs mózgu, jakiego doznałem po uderzeniu laską w głowę . Był to ważny epizod w moich stosunkach ze światem . który w sposób dobitny dał mi wtedy odczuć swój pogląd na moją osobę. Pobudziło mnie to do myślenia w większym stopniu niż wykłady prawa rzymskiego.

- Egzaminy zdawało się w grupach po trzech , czterech studentów. Byłem nieźle przygotowany ,miałem już za sobą egzamin z teorii prawa i historii ustroju dawnej Polski wraz z dziejami procesu sądowego . Postanowiłem odetchnąć świeżym powietrzem i wyszedłem z moim kolegą na dziedziniec. Pozostał mi ostatni egzamin właśnie z prawa rzymskiego. Przechadzaliśmy się przed gmachem biblioteki, gdy za nami rozległ się tupot i krzyk. Od - wróciłem się : ktoś leżał na ziemi zasłaniając głową. Jednocześnie minęło nas kilku studentów w czapeczkach Bratniej Pomocy, Jeden z laską i wysokich butach . Po chwili, kiedy usiłowałem podnieść leżącego ,zamroczył mnie ból ponad karkiem i chyba na parę sekund straciłem przytomność , bo nie przypominam sobie czy o własnych siłach wróciłem do budynku. Nie pamiętam też pytań ,na jakie odpowiedziałem z prawa rzymskiego, wiem tylko , że po ostatnim spadłem z krzesła. Kiedy mnie podniesiono pro - fesor oświadczył : - zdał pan , mimo przemęczenia . - Nazajutrz ocknąłem się na łóżku w szpitalu Dzieciątka Jezus po wstrząsie mózgu wskutek uderzenia tępym narzędziem w potylicę.

- Było to moje pierwsze zetknięcie z terrorem fizycznym. Takie chwile przeżywa się haniebnie i myślę, że czułem się

Mniej więcej tak , jak kobieta po zgwałceniu .Bezsilność i wściekłość z dodatkim czegoś plugawego, a przy tym chaplinowski komizm sytuacji : wybawca pada u boku osoby , której biegł na ratunek. Wszystko to kłębiło się we mnie i musiało się w końcu na kimś skrupić . Ofiarą padł mój ojciec. Uspokojony , że mojemu zdowiu nic nie grozi i że zdałem na drugi rok studiów, pokwitował wypadek staropolskim "do ślubu się wygoi". Oniemiałem . Po chwili jednak zacząłem świć wiedząc ,że każdym słowem go obrażam. Dostrzegłem w nim pewną dziwną cechę ,która mnie irytowała, choć nie potrafiłem jej ściśle zdefiniować. Jakąś chrząkającą poczciwość z dodatkiem czegoś ... Czegoś w w rodzaju udawania ,czy obłudy. Nie miałem jeszcze pojęcia, co to jest stara szkoła milczenia. Oczywiście mój ojciec był prawym człowiekiem, i to tak dalece , że jego umysł na pewno nie ogarniał miary ludzkich nieprawości. Ale znałem go także z innej strony : Był dostatecznie rozsądny, aby rozumieć znaczenie mojej przygody na uniwersytecie. Fakt był ohydnie jasny, podniosłem z ziemi pobitego do krwi człowieka , żeby mu udzielić pomocy ,i dostałem za to pałką w głowę. Obrzydliwością tego faktu mój ojciec musiał być wzburzony. Kiedy jednak twierdziłem ,że na polskich uczelnich masakruje się ludzi za to , że są Żydami , czułem , jak moje słowa, omawiające ten sam obrzydliwy fakt wywołuje w ojcu wzburzenie innego rodzaju. Miał mi wyraźnie za złe, że nazywam po imieniu rzeczy ,o których należało milczeć. A należało o nich milczeć z jakichś delikatnych powodów , rodzinno-towarzyskich ,czy obywatelskich. Mój ojciec wolałby nie słyszeć takich słów jak Żyd, krew, czy masakra. Może dlatego właśnie , że nie był antysemitą i nie lubił brutalnej siły, każdą wzmiankę o antysemityźmie i gwałcie fizycznym uważał za wulgarny nietakt. A przecież musiał wiedzieć

o tym, co się wówczas działo na wyższych uczelniach. Przyszło mi do głowy, że władzie a znać prawdę to niezupełnie to samo. Tego, że człowiek, który nie zna siebie, nie jest zdolny do poznania prawdy, tego jeszcze nie rozumiałem. Kończyła się przy stole. Przypatrując się spod oka, jak ojciec macza rogalik w szklance kawy, wypowiedziałem kilka uwag o panującej przez Polaków tradycji rosyjskich pogromów. To nasz opytałem go, czy po zabójstwie Narutowicza z takim samym smakiem zajadał swój rogalik. Wtedy ojciec zerwał się od stołu i uderzył mnie w twarz.

– Scena z ojcem odbyła się dokładnie tak, jak ją opisałem, ale mój komentarz jest dzisiejszy. Wtedy czułem najwyżej podejrzenia. Coś nas poróżniło, ojciec na swój chrząkający sposób był uczciwy, a ja nie potrafiłem uczciwie wyrazić własnej dezaprobaty. Może to brzmi trochę zawile, lecz w gruncie rzeczy jest proste. Obaj byliśmy uczciwymi ludźmi, czy – mówiąc językiem ojca – uczciwymi Polakami, tylko że ja byłem Polakiem po wstrząśnie mózgu. Uderzenie pałką w głowę najpierw mnie ogłuszyło, ale po odzyskaniu przytomności zrozumiałem inaczej widziałem. Zobaczyłem mój prawdziwy kraj, żywą ojczyznę w ruinie. Nie poprzez literaturę i nie poprzez historię. Polska miała zapadłą, wyniosłą i stłuczoną. Leżąc słyszałem nie śpiew i nie kolędę. Słyszałem szum gór i wrzask. Owszem, to było nokautujące. Ale budziło jakąś reakcję. Moja wściekłość i upokorzenie szukały argumentów, już następnego dnia byłem gotów do przyciskającego mordowania w obronie własnej racji. A więc zareagowałem normalnie jak wolny człowiek. Jak Francuz lub Amerykanin w momentach, gdy walczy się o własne racje między sobą. Mój ojciec w takich momentach zaczynał chrząkać, bo dla niego p r z y g a d z y s o b ą znaczyło r o z g a d z y s w o j e m i. Przypuszczam, że w ogóle

nie rozumiał pojęcia niewoli innej niż narodowa. Czuł się wolny, ponieważ żył w Polsce rządzonej przez Polaków.

Przypominam sobie utworu Sienkiewicza, wpisany do albumu gość ostambuche w roku 1914. Wkrótce po moim urodzeniu "Biada narodom, które kochają więcej wolność niż ojczyznę" Sienkiewicz miał pewnie na myśli Polskę szlachecką i przyczyny rozbiorów. Mimo to sama formuła jest czymś niebywałym jako świadectwo mentalne, dzisiaj. W okresie gdy dyktatury opanowały już mistrzowski sztukę szantażowania wolnością ojczyzną i vice versa. Tego Sienkiewicz nie przewidział. Może jednak powinien był odczuć niesamowitość alternatywy albo ojczyzna, albo wolność. Tak, ale żeby odczuć w tym albo-albo grozę podwójnego szantażowania, niejeden Polak dziś jeszcze musiałby dostać pałką w głowę na Krakowskim Przedmieściu, i to od Polaka, jak ja w swoim czasie.

- Jaki jest mój stosunek do pojęcia wolności.

Skromny. I zarazem złożony. Wolność jest czymś innym dla mnie, a napewno czymś innym była dla ludzi typu mego ojca. Być może czuli się bardziej wolni niż ja. Byli mniej świadomi. Przede wszystkim mniej świadomi siebie. Czuli się wolni w swoich myślach i postępowaniu, nie zdając sobie sprawy, że nakazom jest poddane to, co myślą i robią. Nakazom odziedziczonym, niemal genetycznym. Tłumaczy się je zwykle przemocą, obciążeniami niewoli narodowej ale to jest zbyt proste, aby było prawdziwe. W istocie rzeczy te zniewolenia sięgają czasów sprzed niewoli. Przecież typ człowieka, dla którego wolność oznacza prawo do indywidualności, formował się w Europie poprzez konflikty społeczne i walki religijne. W Polsce zakrzykiwano je hasłami wspólnoty, najpierw starowiej, potem narodowej. W końcu zastąpiły je pozory tolerancji i wolności, a

końców na deklaracje praw człowieka pracowały manufaktury.

- Na podobne tematy w Polsce czasami się rozmawia, ale one nie weszły do historycznego doświadczenia. W psychikę takich ludzi jak mój ojciec nie były wpisane. Tacy ludzie wyjątkowo tylko wiedzieli, na czym polegają finansowe operacje banków, giełda i prawa rynków gospodarczych. Podobnie nie orientowali się w mechanizmach walki politycznej. Nie byli dziećmi cywilizacji, byli synami narodu. Niewola zniekształca obraz świata, w krajach podbitych życie ujawnia swoje prawdziwe treści nie poprzez procesy rozwojowe, lecz w momentach wybuchów i katastrof. Najwyższe napięcia w naszej historii ubiegłych dwustu lat wyładowywały się w krótkich silnych wstrząsach. Romantyzm i pozytywizm stanowiły dwa przebłyski wyobraźni i świadomości, dwukrotny refleks gwałtownych przeżyć zbiorowych powstań. Wielkim, ogólnospołecznym doświadczeniem, które przerosło swoją siłą obydwa poprzednie, miała stać się dopiero II wojna światowa. Nigdy przedtem w Polsce ludzka kondycja nie została tak do dna obnażona. Ta lekcja mogła być szkołą samowiedzy i zmienić stosunek Polaków do świata, gdyby jej sens i perspektywy nie zostały później zatarte. Ale to są już nasze sprawy.

- <u>W jakich formach uzewnętrznia się świadomość narodowa mieszkańców mego kraju.</u>

Naród, ojczyzna, patriotyzm to słowa, które wygłasza się u nas często i chętnie, w telewizji i w prasie. Dzisiaj w Polsce potrzeby narodowej świadomości zaspokaja się głównie metodą wizualną. Kręci się filmy z epoki Piastów albo przerabia się na ekran powieści Sienkiewicza. Widz może przez trzy godziny oglądać polskiego bohatera z rynsztunkiem i szablą, któremu nie dali rady Tatarzy i Szwedzi. Czuje się utwierdzony w polskości i wsparty o historyczne tradycje. Po wyjściu z

kina może przeczytać w gazecie recenzję, która podbudzi jego samopoczucie. Recenzję przeniknięta staropolską nutą, sentymentalnie patriotyczną. Recenzji, która by mu powiedziała, że nie istnieje współczesny patriotyzm bez świadomości praw człowieka i że wolność narodu zależy od realizacji tych praw, widz w żadnej gazecie nie znajdzie. Seans się udał. Tłumowie robotników, chłopów i inteligentów pracujących siedzą w rzędach napatrzeni w udźwiękowiony i barwny ciąg herbowego szlacheica na koniu. Owszem, to jest niesamowite. Zwłaszcza, jeśli zważyć kiedy i gdzie się to dzieje: w Polsce, w trzydzieści lat po objęciu rządów przez obóz reform, który w swych deklaracjach ideowo-politycznych nawiązywał do tradycji polskich jakobinów i proletariatczyków. Aby wytłumaczyć zagadkę tego seansu, musiałbym pana wtajemniczyć w wiele innych zagadek. Nowe okoliczności i manipulacje, na skutek których w Polsce rządzonej przez komunistów sfilmowana obrona częstochowy stała się patriotycznym alibi dla aparatu władzy, to są sprawy zawiłe dla cudzoziemca. Dla mnie ten seans jest symptomatyczny. Okoliczności są nowe, tło inne, przebudowane społeczeństwo, ale duch Polski niezmieniony, po egzorcyzmach i peregrynacjach, niby prawem zawiłego kręgu wrócił na swoje miejsce.

A najbardziej obrażony mnie to, że dziś w Polsce sarmatyzm jest licencjonowany, że stał się z jakichś przyczyn koniuś tak potrzebny i m a z g o d ę z zewnątrz. Nie tylko seanse czy tryptyk, ale i nowsze militaria, bitwy wrześniowe, hełmy powstańcze i bawaki leśne... i antysemityzm. Chwilami mocno się obawiam, że wkrótce z tego się zrobi p o l a k i f o l k l o r, odpowiednik "kiermaszu", a nasi jurni narodowcy za późno się połapią i ani mrugną, jak zostaną, oni i my wszyscy, połknięci razem z tym folklorem, a nasze tradycje walki narodowej będą dobrodusznie tolerowane, jak kontusz w cesarsko-królewskiej

Galicji i jak zespoły czerkieskie w Rosji. Bo może to już jest także uzgodnione i gdzieś tam jakieś głowy przy biurkach od dawna o tym wiedzą, że trzeba będzie wliczyć w rachunek jeszcze i ten mały, w e w n t r z n y nacjonalizm, jeden więcej... Tak, na tę myśl oblatuje mnie strach.

- W tym roku wracałem z wakacji w końcu sierpnia. Ostatni tydzień spędziła ze mną córka, czekaliśmy późnym wieczorem z gromadką pasażerów na pociąg do Warszawy, który nie nadchodził. Godzina przewidziana w rozkładzie dawno minęła, ale czasu spóźnienia nie podano. Było chłodno, dwadzieścia osób z walizkami i dziećmi marzło stojąc lub siedząc na ławkach, ja skracałem sobie oczekiwanie chodząc wzdłuż peronu między tablicą z nazwą stacji a kolejowym zegarem. Po półgodzinie Ewa podeszła do mnie, pytając, czy mi się nie znudził mój spacer. Była wzburzona tym jak traktują podróżnych, nie raczyli nawet ogłosić czasu opóźnienia. Wzruszyłem ramionami, ostatecznie pociąg musiał kiedyś nadejść, i znowu przeszedłem swoje sto kroków. Z daleka zobaczyłem, że Ewa rozmawia z grupką oczekujących wymachując ręką z papierosem, a kiedy zawróciłem spod zegara, nie było jej na peronie. Odnalazłem ją po chwili w lokalu dyżurnego ruchu. Żądała książki zażaleń od urzędnika w czapce zawiadowcy, popijającego herbatę. Była nieustępliwa i zmusiła go w końcu do telefonicznego połączenia ze stacją węzłową. Gdy wyszliśmy z powrotem na peron, odezwał się głośnik podając czas nadejścia opóźnionego pociągu. Ewa się rozchmurzała, na co znowu wzruszyłem ramionami i poszedłem w stronę mojego zegara. Było już po jedenastej, gwieździsta sierpniowa noc, gdzieś wdaje się grasz świerszcze. Podróżni dalej siedzieli na ławkach z walizkami u nóg, jakieś dziecko zanosiło się płaczem. Do Ewy nikt więcej nie zbliżył, stała oparta plecami i skupiła tarni, usiłując czytać książkę, którą wzięła ze sobą. Wreszcie

kiedy pociąg wjechał na tor, wszyscy rzucili się do przepełnionych wagonów, nam udało się wsiąść dosłownie w ostatniej sekundzie. Ale nie o to mi chodzi. Na tej stacyjce mogłem spacerować jeszcze godzinę czy dwie i nie wpadłoby mi do głowy upominać się o moje prawa. Oczym myślałem chodząc po peronie ? O czym wogóle się myśli czekając na pociąg ? O tym , że jest zimno i że się już czeka długo. Ale kiedyś w 1945 na pociąg z Ząbkowic do Warszawy czekałem trzy dni w 20 - stopniowy mróz . Teraz miałem przynajmniej ciepły płaszcz i fajkę , a przede wszystkim świadomość ,że jakiś rozkład istnieje i prędzej czy później pociąg musi nadejść . Nie podejmuję się odtworzyć moich myśli , mogę najwyżej w przybliżeniu określić mój stan ducha , który z pewnością nie miał nic wspólnego ze sferą społecznych uprawnień . Przypominał raczej stosunek chłopa do przyrody : czekałem na pociąg tak jak wsi czeka się na letni deszcz. Jeżeli czgokolwiek wymagałem , to tylko od siebie - jakiegoś zewnętrznego opanowania , spokoju , cierpliwości. Zadośćuczynienia własnym pojęciom w sferze imponderabiliów, nie praw . Bo nie wierzyłem w prawa . Tamten pociąg ,te trzy mroźne dni w Ząbkowicach musiały wyryć we mnie jakiś głęboki ślad . Czekałem teraz z innymi , jak wtedy , nie czując się upokorzony ani pokrzywdzony, nie myśląc ,że można coś zmienić albo czegoś żądać , chcąc jedynie zachować osobistą godność i jakiś honor wobec ciemności i pustki. I chyba ci oczekujący ludzie i ten zawiadowca stacji pijący herbatę , każdy znajdował się w stanie odłączenia od wolności jak gdyby wyjęto z z nas kabla , czekaliśmy w bezruchu na coś , o czym wiedzieliśmy ,że musi nadciągnąć z mroku . Ale jeśli się dobrze zastanowić : tkwiliśmy w bezsensie, w nierzeczywistości . Wszyscy prócz mojej córki , która wierzyła w prawa .Jeden tylko moment uszedł jej uwagi. Moment ,w którym zawiadowcy obrzucił

mnie wzrokiem, kiedy wszedłem do zadymionego pokoiku. Kiedy otaksował mój płaszcz, fajkę i czarną teczkę na ekler, zwaną w naszym kraju a k t ó w k ą . Tak, mogłem być kimś podróżującym incognito z ładną młodą kobietą, kimś, kto w pewnych okolicznościach nie korzysta ze służbowego samochodu. Zawiadowca, który znał realne siły losu, obudził się na widok aktówki. Ale to był mój domysł, zachowałem go dla siebie. Zdaje się jednak, że moja córka i ja zaprezentowaliśmy dwie różne koncepcje wolności, zawiadowca natomiast miał odruch niewolnika.

- W naszym potocznym języku, zwłaszcza młodzieżowym, słowo "utopia" nabrało ironicznego znaczenia. Kwituje się nim wszelką idealizację, każdą stawkę na dobro albo rozumny cel działania. Wtedy "obcina się faceta", przywołuje się go do rzeczywistości. Utopia - jest to odmowa lotu, wzruszenie ramionami, niby szczątkowy ruch obciętych skrzydeł. Wszystkim obcięto skrzydła, minęły czasy latania. W gwarze licealistów o kobietach, które dawno już przekroczyły cenzus wieku, mówi się ze znudzeniem: "łączniczka AK". Pełno takich słówek w języku, jaki się <u>w Polsce</u> rozmawia, nie mamy pojęcia, jak żywe jest źródło polszczyzny. Z pewnością nie zna pan tych zwrotów. Przeważnie są metaforyczne, takie na przykład, jak "nie wychylać się", "przemówić do ręki" czy "wsadzić głowę na żółcia", a ich metaforyka jest uderzająco konsekwentna i z reguły wyraża niewiarę w wartości. Odleciały, minęły. To byłoby smutne, gdyby było proste. Ale nie jest proste. Bo jednocześnie tłucze się w tym jakieś pragnienie sensu, jakaś nostalgia za ideą. I to jest widoczne choćby w namiętnym zainteresowaniu dla sztuki. Ze sztuki się nie drwi, sztuki się nie obcina. Politycy przemawiają językiem werbalnych formułek, politykom się nie ufa, nawet gdy wręczają medale za ratowanie tonących. Bo nie wierzy się w słowa. Słowa się powiela.

współczesne piekła są wybrukowane słowami. Słowa informują o cywilizacji, ale wartość, ale esencja, ale duch - tego się oczekuje od sztuki. Tak, biografie artystów to dzisiaj żywoty świętych, a ich dzieła to niemal relikwie, których cena jest niematerialna. A chyba stało się tak dlatego, że oni właśnie przetrwali chaos czasu nie odstępując od swych dekalogów, i swoim bezinteresownym ryzykiem, swoim oporem wobec rzeczywistości i swoją pośmiertną sławą - potwierdzili opłacalność cnoty. Wie pan, nawet młodzi chuligani z przedmieść mają dla sztuki jakiś posępny respekt.

- Wszystko to brzmi dumnie. Można by spytać, po co o tym mówię. Po to, żeby się pocieszyć. Żeby sobie przypomnieć. Żeby nie stracić głowy i nie zlecieć w nicość. Mówię: utopia, utopijny. Utopie ezoteryczne są wątkiem naszej kultury i wyznaczają jej kierunek. Być może są tylko jej kierunkiem, być może każda próba ich realizacji powoduje katastrofę złamania świętej trójjedności przyczyny, środków i celu. Podejrzewam skądinąd, że jest to dialektyczna troistość bytu zbiorowego, usymbolizowana niegdyś w potrójnym imieniu Ojca, Syna i Ducha - bo czy pan nie sądzi, że religie są programami społeczno-filozoficznymi, które pojęły własną utopijność i wycofały się w alegorię, w symbole? A jednak, czy we wszystkich kulturach nie istnieje pragnienie religii urzeczywistnionej i spełnionej, tutaj na ziemi? Przypomina pan sobie, że kapłani Inków - czy Azteków - wyznaczyli ściśle rok i miesiąc, kiedy na ziemię zstąpi ich Bóg Wyzwoliciel, i właśnie w tym roku, w tym miesiącu, przypłynęły nieznane wielkie okręty, z których zeszły na ląd istoty o jasnych twarzach, kuflec prowadzony przez anioła w piórach i złotym pancerzu. Aztekowie przypadli mu do stóp, zanim kazał ich wyrżnąć. Anioł Śmierci, Zwiastun Zagłady? Dobrze. Przypomina pan sobie. Ale pomyśli pan, że

ja prawdopodobnie, a co najmniej od pewnego czasu, nie doznaję tak silnej potrzeby kontaktu z bóstwami w ich ziemskim wydaniu. Ma pan Rację. Jak uprzedziłem, nie jestem wierzący w żadnym obrządku religijnym ani politycznym. Mógłbym jeszcze dodać, że na nic nie czekam, a wizyty pancernych hufców - przyjmowałem. Czasami jednak odczuwam lęk: właściwie co mi zostaje? Rozpaczy i pustki nienawidzę, umierać chciałbym spokojnie. Żyć w poczuciu bezsensu i żyć dalej, jest w tym jakaś małość, skoro jednym gestem można się uwolnić. Toteż odpowiadam: chcę żyć dalej w kropli mojego przeświadczenia. W moim domyśle, w mojej utopijnej hipotezie. Tak jak by istniał sens. Tak jakbym znał przyczynę i cel i mógł przetrwać śmierć. Tak jakby... Tak jakby światem r z ą d z i ł o dobro nadane człowiekowi przez Boga. W kwestionariuszu jedno z pytań brzmi: Pańska definicja człowieka? Nie mam definicji człowieka, ale gdyby odpowiedź na to pytanie była konieczna, powiedziałbym: istota, która przypisuje sens bytowi.

- Po wojnie, gdy tylko marzyciele mogli widzieć w zwycięstwie aliantów triumf idei nad siłą - zwyciężyła przecież organizacja transportu, paliwo i produkcja maszyn - każdy wtedy odczuwał potrzebę rzeczywistości na nowo sformułowanej i każdy był gotów poddać się nowym zasadom współżycia. Tkwiła w tej potrzebie skompromitowana świadomość jednostki, po wojnie człowiek przestał w sobie widzieć niezmącone źródło praw i zachwiał się w poczuciu swego indywidualnego znaczenia. Mówię tu o sobie, ja także byłem gotów się ugiąć i pogodziłem się z możliwością osobistej klęski, jeśli byłaby to cena do zapłacenia w zamian za przyjęcie nowego porządku rzeczy. Ale po pewnym czasie zacząłem się orientować, że popełniłem błąd. Między moją postawą wobec rzeczywistości a samą rzeczywistością nie było powiązań, wszystko dokonywało się poza moimi ocenami,

niezależni od moich interesów, pragnień czy przekonań. I w końcu doszedłem do wniosku, że właśnie taki porządek rzeczy stał się nową społeczną zasadą współżycia zamiast tej, na którą czekaliśmy. Więc to nie ja zerwałem z rzeczywistością. Gdybym powiedział, że to rzeczywistość zerwała ze mną, byłbym bliższy prawdy.

Trzeba było z tego wyciągnąć jakieś konsekwencje. Wyciągnęły się same. Kupując prasę codzienną uświadomiłem sobie, że cokolwiek mogę wyczytać z artykułów, niewiele ma wspólnego z moim indywidualnym myśleniem i nie jest wydrukowane po to, aby mnie pobudzić do indywidualnego działania. Autorzy jak gdyby ponad moją głową zwracali się do instancji, których opinie musiały im być wcześniej znane, ja miałem tylko przyjąć do wiadomości, że obowiązuje zbiorowy, ponadindywidualny tryb, zastępujący działanie i myślenie. Każda rubryka w gazecie utwierdzała mnie w tym poczuciu, byłem czytelnikiem dosyć inteligentnym, aby zrozumieć, że pismo nie jest redagowane dla mnie ani dla innych ludzi, spełnia jedynie funkcję w pionowym systemie samonakręcającym między instancjami. Pewnego dnia przyłapałem się na tym, że czytam wyłącznie nekrologi. Fakt, iż ktoś umarł, pokrzepiał mnie swą niezależnością, była to jedyna rubryka, w której przejawiało się życie. W nekrologach nie istniał komentarz, mieściły się w nich natomiast krótkie dane biograficzne, z których na przykład wynikało, że ktoś był oficerem w 1939 roku albo zginął w wypadku samochodowym wraz z żoną. Informowała o tym nie redakcja, lecz osoby prywatne: rodzice, dzieci, przyjaciele. W rzeczowej, konwencjonalnej formie przykuwał uwagę obiektywizm i jeszcze coś szczególnie wyróżniającego, jakaś oryginalność, której z początku nie umiałem sobie wyjaśnić. Była to liczba pojedyncza. W nekrologach nie obowiązywał styl anonimowo-ko-

lektywny, w jakim były utrzymane inne komunikaty, donoszące w liczbie mnogiej o pracy górników, o mieszkańcach stolicy i o planach architektów, dzięki czemu wzmacniano sugestię, że w społeczeństwie jedyną o s o b ą jest władza. Dowiedziałem się kiedyś, że w wewnętrznym języku naszej administracji istnieje termin "nomenklatura": są nim objęci działacze aparatu na szczeblu dającym przywilej imienności i działaaze ci przestają być anonimowi, w komunikatach wymienia się ich nazwiska. Ale umiera się zawsze osobowo, w jedynm egzemplarzu. Nekrolog zawsze stanowi fabułę, wprawdzie najzięźlejszą, lecz zawsze z bohaterem. Dlatego imię i nazwisko zamieszczone w czarnej ramce wydaje się jakby czymś niecenzuralnym. Ktoś umarł bez uzgodnienia z instancjami, a w dodatku przez ileś lat żył jako oddzielny człowiek.

- Pomyśli pan, że jest w tym sporo przesady. Ja także usiłowałem trzeźwiej rozumować, nie czułem się najlepiej w skórze zgorzkniałego indywidualisty. Mówiłem sobie: buduje się domy dla robotników, wprowadzono bezpłatne nauczanie i powszechne ubezpieczenie socjalne, chłopskie dzieci się kształcą, usunięto nędzę, nikt nie cierpi głodu. Ale każda próba obiektywizacji kończyła się pytaniem: czy reformy dokonywane w interesie pracujących ludzi wymagają pozbawienia ich praw do swobodnej oceny stosunków i krytyki metod politycznych? czy muszą być dokonane z a n i c h , czy nie mogą dokonane być p r z e z n i c h?

- Właściwie od tego pytania należałoby zacząć każdą dyskusję, czy to dotyczącą problemu wydajności pracy, czy edukacji młodzieży, czy to rozwoju kultury. A takiego pytania w Polsce dzisiaj publicznie nie można postawić i przede wszystkim to pytanie publicznie się zagłusza. Jest z ducha inteligenckie,

odwołuje się do teologii postępu, każdy człowiek myślący w społecznych kategoriach musi je sobie zadać, ale w każdym etatyzmie jest pytaniem najbardziej wywrotowym. Ktoś powiedział: "to nonsens przekreślić wszystko dla spełnienia idei równości..." zastanawiam się, czy równość, wolność i sprawiedliwość mogą być tak do siebie niepodobne.

- Mój ojciec ograniczał pojęcie wolności do sprawy narodowej. Dzisiaj słyszę zdania, że dla współczesnych Polaków wolność sprowadza się do zaopatrzenia sklepów w mięso. Sprawę narodową załatwia dziś aparat nadawczy: "jesteśmy niepodległym, wolnym narodem, dobrymi Polakami, co bili Turka i Niemca, i także Moskala, o czym po cichu wiemy, jesteśmy Polakami, którzy nauczyli się pracować i słuchać polskiej ludowej władzy." A dobrzy, posłuszni Polacy, ci głosujący zawsze razem z prezydium i ci chrząkający w sprawach politycznej wolności, odpowiadają aparatowi: W racja, jesteśmy Polakami, biliśmy się pod Grunwaldem i Chocimiem, a teraz chcemy szynki". I cisnąc się do sklepów, do ogonków, zmuszając polską władzę do zaspokajania ich rosnących potrzeb i tworząc patriotyczne, solidarne, niepodległe parcie na towary i żywność, wznoszą sztandar praw do lepszego spożycia. Tak się dziś spełnia polskie obowiązki. Proszę mi wierzyP, to nie są żarty, to jest obecna forma walki o byt narodowy. W tej formie jest coś zastępczego, w długich kolejkach za mięsem tkwi jakaś uparta wola obrony własnych uprawnień. W każdym razie twierdzenie, że dla Polaków wolność oznacza dzisiaj ćwierć kilograma szynki, według mnie jest tylko powierzchownie słuszne.

- Powinien pan teraz zapytać: więc koniec końców, o co chodzi?

- O prawa.

- Dziesięć lat temu otrzymałem kilka ofert od zagranicznych teatrów, w Norwegii i i Szwajcarii. Proponowano mi niezłe

Czas, który konstruuje takie pointy, wydał mi się przez chwilę istotą o dowcipnym umyśle. Nie odezwałem się do końca zebrania, ale napisałem list. To było wszystko, co mogłem zrobić: półtorej strony maszynopisu, utrzymane w spokojnym tonie petycji. List wysłałem pocztą do Ministra Szkół Wyższych. Po miesiącu zawieszono moje wykłady, mój uczeń natomiast wyszedł po czternastu miesiącach i znowu zatelefonował. Spotkaliśmy się w Ogrodzie Botanicznym, były już ciepłe przedpołudnia, obydwaj mieliśmy dużo wolnego czasu.

- Dla kogo ta chwila była cięższa, dla niego czy dla mnie, tego nie wiem. Zresztą może w ogóle nie oczekiwał ode mnie odpowiedzi. Znaleźliśmy się we wspólnym impasie, siedzieliśmy na ławce jak para kolegów. Wprawdzie on miał przed sobą mniej więcej tyle lat myślenia, ile ja za sobą, ale w tym dniu nie liczyła się niczyja mądrość. Dzień jakby przyduszony do ziemi brudną łapą, czy zna pan takie bezwłady, kiedy nie chce się otworzyć ust ani poruszyć ręką? Przyszło mi na myśl, że obaj mamy obcięte ręce i żaden nie może drugiemu podać szklanki wody. Obydwaj byliśmy ludźmi pozbawionymi praw.

- Przewidywałem, że za jakiś czas przyjmą go z powrotem na uczelnię, skończy ją, będzie miał dyplom reżyserski, później wyjedzie na prowincję, dostanie pracę w teatrze. Zdaje się jednak, że uważał świat za kupę świństwa, a ja nie zamierzałem mu tłumaczyć historycznych procesów rozwojowych. Mogłem mu najwyżej powiedzieć: jeżeli dzisiaj wątpisz, czy świat jest ciebie wart, to za rok może sam dojdź do wniosku, że nie jest wart twoich skrupułów. A za dwa lata cię kupią. Dadzą ci teczkę, biurko, samochód. Obejrzę cię w telewizji i wysłucham twoich nowych poglądów na życie i sztukę. Wiedziałem jednak, że to mu nie grozi, prawdopodobnie postanowił

czekać. Mogłem zapytać: na co? na przełom, na paszport, na cud? może na proroka? I mogłem mu również powiedzieć, że na jego miejscu zbawiałbym się sam. Ale powiedziałem tylko, że chodzę z tymi samymi pytaniami, a nikogo nie mam dziś ochoty przekonywać, że z takimi pytaniami się rodzimy. Powiedziałem mu mniej więcej tak: " Dostałeś kijem po głowie i twoja głowa zareaguje na to myśleniem. Przypuśćmy, że dadzą ci pracę i wyjedziesz do Zielonej Góry, albo że dadzą ci paszport i wyjedziesz na Zachód. Wyjedziesz ze swoją inteligencją głową, a ja zostanę tu z moją. Ale nasze głowy muszą pamiętać o jednym, że jeśli można pozbawić nas praw, to nie oznacza, że wolno nam o nich zapomnieć. Bo tylko my sami możemy znieważyć prawa: jeżeli o nich zapomnimy, jeżeli przestaniemy je znać."

- Nic więcej nie miałem mu do powiedzenia. Proszę to uznać za moją opinię w punkcie 23 ankiety: Gdyby miał pan możliwość zabrania głosu wobec przedstawicieli młodzieży całego świata, jakie wygłosiłby pan przemówienie? o czym by pan mówił przede wszystkim? co by pan zalecał i przed czym by pan ostrzegał?

1975

Kazimierz Brandys

Jerzy Fiedwski

W I E R S Z E

NEOKLASYCYZM

Niech ryczy ranny łoś boleśnie,
Sarenka mknie szczęśliwa.
Ktoś nie śpi, gdy ktoś spoczął we śnie,
Tak to już zwykle bywa.

(Szekspir)

Przez przesieki szekspiry przeżajem w zgrozie
buzzołomy eriela zbierażeś na opak
e bukiety ofelii wetknażeś w wazony
i powiadasz że w damii dzieje siedzić lepiej

potem jesteś tym który jest i który
nie przymierza niebytu do swego istnienia
jesteś tym co zasypia skoro nie śpią inni
i śniesz sen używany w cudzych dekoracjach

który się nie ośmieli przyśnić filozofom
i wiesz swoje odwiesz swoje nigdy ranny łoś
nie ryczy z bólu tylko milczy jak pień ścięty
podobnie jeleń odzywa się tylko

na leśnych rykowiskach gdy obchodzi gody
Czy nigdy nie słyszałeś jak już cię stulecia
ryczy łoś przed skonaniem ten jedyny z łosi
szekspirowski wyrodny syn uczłowieczony

naszym bólem On tylko Hamlet jest milczeniem

ROZALSKI

Inni mają portrety
ona zawsze jest
w oryginale
niezniszczalny rozalski

w ramach bokobrodów
kamerdyner skałłona
lokaj beselera
odźwierny komendanta
dbały o czas posiłków
i o ciągłość dziejów

Nie podaję mu ręki
aby nie zakłócić
równowagi tacy
niezachwianej jak księżyc
nad jakąśtam ziemią

SZARE

To była dyskusja rzeczowa spierały się
ze sobą oklaski niekiedy słowo
dopuszczając do głosu Chciałem
spytać dlaczego czarne ma etykietę
białe zaś białe zbywane jest jako
czarne W tym celu podniosłem palec
i zostałem oskarżony o palec
na cyngiu choć cyngla nigdzie nie
było Jednakowoż dowiedziałem się że
był cyngiel domyślny wszystko zaczyna się
od gestów a skutki bywają
nie do przewidzenia toteż
to był strzał intencjonalny Czasem
i palca nie trzeba Kiedyś w po-
dobnych okolicznościach był huk tak

aprózno zachowały
znajome imiona
Jeszcze tylko przekleństwa
chuligani słów
ocaliły tożsamość
zwaną czarnym mięsem
na ścianach brudnych latryn
wypisane głośno

COGITO ERGO

Myślę więc nie ma mnie
na forum Mój adres
skonfiskowano Mówię
tak to ja jeszcze ja Poznaję
Co słychać Ano po staremu
słychać ciszę coraz bezgłośniej
pod batutą tranzystorów
i bardzo wesołych miasteczek
Ona ma nadciśnienie broczy
w niej każda kropla
ma prawo mojego głosu
odmierza mnie
To moja rzecz bo pospolita
uczę się sylabizować ją
niemą polszczyzną
arsenał dobitnie miłosny
do mnie do ciebie
do czasu

GRYPS

Ciemno
pomiędzy nami
ogromnego ciemności
choć dzień biały
jak laska ślepca
o kamień klekocę
gdzie twój krzyk całej niesę
chociaż przekrwawiony
i z krzyżem wielokrotnym
swoim głodem
chleb rzucam
a ptaki go zjadają

Szukam cię
to omacku
szukuję po ciemku
znajdę na chybił trafił
ominę niechcący

gdzie czuwasz
świecisz jeszcze
gdzie śpisz
gdzie umarłeś

OPOWIEM CI HISTORIĘ

Opowiem ci historię
nim się wynurzy oczyszczona z nas
więc z piasku
wykute zachowana
jak szkielet plezjozaura

pod pustynią gobi

Opowiem jeszcze ciepłą
od oświęcimskich pieców
opowiem jeszcze mroźną
od śniegów kołymy
historię brudnych rąk
historię rąk odciętych

nie ma jej w podręcznikach
by nie pobrudzić
białych plam
na mapie czasu i czasów

Opowiem ci historię
tę nieopisaną
która przyjeżdża z rzadka
na nowe ekshumacje
mam na dowód milczenie
przestrzelone na wylot
dlatego mówię szeptem
opowiem historię

Ale jej nie powtarzaj

WYWIAD

Jakie masz środki przekazu
Mam własny głos
Po rosie
Biegnie z prędkością dźwięku
Nie Po szybkość głosu

ony wyczuł wolność głosu
Ogarnął po paru pokoleniach
dobiegnie skrzydlności

Nie dobiegnie

Nie wiem

Jerzy Andrzejewski

N A R O D Z I N Y

Jak było naprawdę, tego nikt się nie dowie, obaj mężczyźni, którzy w pewną kwietniową noc w roku 1937 rozmawiali przez telefon, nie żyją, lecz według relacji dość wiarygodnej - jakkolwiek wszelką wiarygodność czasu przeszłego należy dopełnić znakami zapytań - mogło być tak:

W środku nocy, gdzieś około drugiej w nocy, w podmoskiewskiej daczy Piotra Worotowa zadzwonił telefon. Worotow od wielu miesięcy cierpiał na bezsenność. W pierwszych tygodniach, gdy nastały noce czujnego napięcia i nadsłuchiwania, próbował pracować. Potem przestał się interesować martwymi papierami i żadne lektury na półkach bibliotecznych nie szukał. Tylko, aby stworzyć pozory pracującego pisarza, rozkładał na biurku karteczki z luźnymi notatkami i na podręcznym stoliku, w skupionym pobliżu wysokiej lampy z ciężkim abażurem, kładł niemiecki egzemplarz "Fausta". Jeszcze potem dokonał w dekoracjach drobnej, lecz jemu się zdawało bardzo istotnej poprawki, wśród notatek pozostawiał ołówek, a egzemplarz "Fausta" kładł otwarty. Autentyczność atmosfery pracy wydawała mu się szczególnie ważna, gdyby to miało się stać. Wiedział, że się rozbraja bezczynnością, lecz również wiedział, że bronią, jaką ma do rozporządzenia, nie potrafi walczyć skutecznie i jest nagi i nagim woli pozostać w samotnych godzin aż wreszcie pewnej , niewiadomej nocy to się dokona.

Gdy po wieczornej herbacie wracał do gabinetu, w pogodne kiedy trudny czas nastał, Olga Nikołajewna mówiła, żeby się Piotrze jesteś zmęczony, i wtedy odpowiadał: trochę jeszcze popracuję, niedługo przyjdę, śpij spokojnie, i kładła się wbrew swoim latom w plecach przyzarbione w ogóle nie

niżeli była jeszcze w roku ubiegłym. Jak gdyby na skutek wewnętrznego napięcia zmalała, szła na górę (zaśnie, pocieszał się, napewno zaśnie, jest silniejsza ode mnie) - on przechodził do pracowni na parterze i gdy stawał na progu rozległego pokoju, wypełnionego po sufit spiętrzonymi książkami i z dwoma wysokimi oknami otwartymi na ogród, więc kiedy stawał tam na progu nie zapalając światła, aby bez sztucznych iluminacji natychmiast nawiązać kontakt z niewiadomą nocy, wydawało mu się nieraz, że gdyby się położył zasnąłby natychmiast. Ale szybko rozpoznawał kruchość tego złudzenia - k t o ś m u s i o z u w a ć, a b y s p a ć m ó g ł k t o ś - wiedział, że skoro czeka na nieprzyjaciela, musi być sam i samotnie musi czuwać, ponieważ nawet we dwoje czuwać nie można, trzeba się wyrzec wszystkiego, co bliskie i drogie, więc przede wszystkim oddechu śpiącej i ciepłej bliskości jej uciszonego ciała, kto czuwa, musi być sam i taką musi mieć ciszę, aby móc w głębi nocy natychmiast i nieomylnie wychwycić odgłos wrogich poczynań, w tym wypadku skupionych w odgłosach nadjeżdżających samochodów. Rzadko przez osiedla przejeżdżały, jednak co noc. Nigdy nie wiedział, skoro w głębi ciemności, najpierw letnich, potem jesiennych i już zimowych, a teraz wiosną przynoszących, docierał go aż nadto dobrze znajomy warkot samochodu, czy ten powoli, lecz upornie przybliżający się dźwięk, ogromniejąc i nacierając, przy jego domu się zatrzyma i nagle utonie się ciszą, sekunda ciszy, i potem obok, pod oknami rozerwącą ciszę ludzkie głosy i w ciszy trzeba będzie słuchać odgłosu ciężkich kroków aż po moment gwałtownego łomotu do drzwi wejściowych, czy też dźwięk, mący noc, przetoczy się obok i będzie się oddalać komuś innemu przeznaczony, oddalać się, ginąć i zanikać w tym samym powolnym tempie, w jakim był nadchodził.

W głębokim dziewiętnastowiecznym fotelu i w późniejszym, bo stojącą obok lampę tak ustawiał, aby jej blask zatrzymywał się na krawędzi krzesła, wpatrzony w wysokie nagie okna, za którymi, zależnie od pory roku, śnieżyca się kłębiła, padał deszcz, księżyc krwawo wznosił się w odległej głębi, ciemności były zwarte lub lekko rozrzedzone, nagość kasztanów i lip zarysowywała się ciemnymi konturami, czy gęstowie zieleni wypełniało przestrzeń za oknami, więc tak trwając bez ruchu, duże i ciężkie dłonie złożywszy na udach, czujny, by nie zamknąć oczu, choć mu powieki niejednokrotnie bardzo ciążyły, tak zatem trwając i wyczekując mógł myśleć:

nie wiem, czy się śmierci boję, pewnie tak, nie byłbym ciałem, skórą, wzrokiem i słuchem, nie byłbym zdolny do myślenia i do rozkoszy, nie cierpiałbym i radości nie przeżywał, gdybym się nie bał zagłady, ale na pewno wiem, tak, to wiem, że się śmiertelnie boję, co moją ostateczną zagładę poprzedzi, boję się samego siebie, ponieważ nie wiem, jak tym niewiadomym chwilom podołam, boję się, że mogę dopuścić do poniżenia samego siebie wtedy, gdy mi już nic nie pozostanie prócz świadomości ostatecznej zagłady, boję się samego siebie, boję się próby, kim jestem naprawdę, boję się niewiadomego, które moją zagładę poprzedzi. Boże! wiem, że jestem dumny i pyszny, Boże również wiem, że nie tylko z dumy i z pychy chciałbym do końca pozostać sobą, a może kłamię i samego siebie chcę oszukać?, może właśnie z dumy i z pychy chcę do końca pozostać sobą?, jakkolwiek jest, daj mi, Panie, żebym się nie stał szmatą, od zeszmacenia ocal mnie, Boże, od wstydu tchórzostwa uchroń, pozwól, żebym mógł umrzeć nie gardząc sobą i siebie nie wstydząc, spraw Boże miłosierny i miłościwy, z wielkiego grzechu i z głupoty, żebym mógł umrzeć świadomie i na własną miarę, której nie znam

i znać nie mogę, dopuść Boże, aby moja miara ostateczna nie była nikczemna...

Na spoczynek udawał się nad ranem, lecz szedł nie na górę do sypialni (sam się przed sobą usprawiedliwiając, że nie chce zbudzić Olgi), tu, w gabinecie, na staroświeckiej kanapie ze sprężyną kłującą jak żądło, u stóp spiętrzonych pod sufit książek ścielił sobie legowisko, nigdy jednak wcześniej nim się nie upewnił, że świta i na dworze staje się jasno, wiedział z rozlicznych relacji, że światło dzienne nie sprzyja tym sprawom, działającym zazwyczaj pod osłoną ciemności. Więc skoro ciemność powoli, prawie niedostrzegalnie ustępowała przed światłem, zaliczał sobie jeszcze jeden dzień całoby, nagle wysokie okna osłaniał ciężkimi, bo z pluszu, ciemnozielonymi portierami, gasił lampę na podręcznym stoliku, na którym bował otwarty egzemplarz "Fausta", rozbierał się w półmroku, dbając przecież, aby części garderoby zostały złożone w porządku, i potem nago, ponieważ wbrew zwyczajom swego kraju zawsze sypiał nago, kładł się w chłodną i cokolwiek wilgotną pościel, wiedział, że gdzieś koło ósmej, najdalej dziewiątej zbudzi się z krótkiego i ciężkiego snu, lecz gotowy do sumiennego wypełnienia wszystkich dziennych obowiązków, i też wiedział i z tą krzepiącą świadomością usypiał, że ani on, ani Olga, zachowując pełną swobodę i naturalność, nigdy na dnia nie uczynią żadnej aluzji do minionych, a tak że przyszłych godzin nocnych, wiedział, że każde z nich zachowa to szczególne wtajemniczenie wyłącznie dla siebie, ponieważ jest świat, jest życie, są obowiązki, jest praca, nawet zamiary, projekty i nadzieje, niech się zatem kończy noc, skoro kres dobiega i ulegam jej ofiarę wyczerpaka.

Tak więc dnia Piotra Worołowa były w ten trudny okres nor-

Malne. Po mocnej rannej herbacie i zimnym natrysku, zabierał się jak zawsze do pracy i pracował równie intensywnie, jak w latach poprzednich. Tak samo nawiedzały go krótkie chwile zachwytu i wzruszenia, i tak samo oplątywały godziny znużenia i nieświadomości. Telefonowali i przyjeżdżali w odwiedziny przyjaciele z Moskwy, w rozmowach unikano spraw, które [illegible] kich trudy i zmagania, mówiło się o sztuce, literaturze i małżeństwie, sięgano do wspomnień związanych z dawnymi podróżami na Zachód, dzielono się drobnymi plotkami. On [illegible] do Moskwy niekiedy jeździł, poczta funkcjonowała normalnie, o jednostkowej przynosił ją w wielkiej torbie młody listonosz, Aliosza, zawsze w uśmiechu pokazujący białe zęby, ciemny i gnący, [illegible] bieskooki, z wilgotną kropelką miodu w tych [illegible] przynosił więc miły Aliosza listy od wielbicieli i wielbicielek geniuszu znakomitego poety, zaproszenia na [illegible] korespondencję wydawniczą. Zauważył przecież, że im głębiej w tajemniczej[illegible]erze zagospodarowywał się trudny czas, tym mniej zaproszeń nadsyłano, sprawy wydawnicze kurczyły się [illegible] listów prywatnych też ubywało, a chyba i [illegible] niż białe zęby Aliosszy, gdy otwierając torbę mówił [illegible] pak: dzieńdobry, Piotrze Antonowiczu.

Aż wreszcie trudny czas sprawił, że telefon Woroto[illegible] milkł, nikt z Moskwy nie przyjeżdżał, Aliosza przestał się zatrzymywać przed [illegible] Piotra Antonowicza.

Do popołudnia Worotow potrafił o tym wszystkim nie myśleć. Lecz skoro wieczór się zbliżał, wszystko, tak prędko [illegible] że za dnia, poczynało ciążyć ku widomym dołom nocy. Nocą wyłaniały się wcześniej, niż [illegible] to kalendarz zalecał. Nocą nie nadsłuchiwał i pracy nie porzucał, [illegible] tylko czekał, siebie przynaglony do dnia. Przygotowywał [illegible]

niż telefon. Aparat stał na biurku, więc trzeba było wstać. Uczy

nił to bez pośpiechu, trochę zdziwiony, a nawet rozbawiony, że od tej strony niewinnej, niemal płochej noc go przyzywa. Tak musiał to określić w myśli: przyzywa, nie atakuje. Zawsze miał słuch bardzo dobry, a ostatnio szczególnie wyostrzony, więc podchodząc do telefonu miał absolutną pewność, że narazie cały rozległy obszar nocy jest pusty i wyciszony. Był, chyba, w tej chwili jaknajdalszy myślami od nieprzyjaciela. Podniósł słuchawkę i spokojnie, jak zwykł był to czynić za dnia, powiedział:

- Tak, słucham.

Odpowiedział prawie obok niski, męski głos:

- Towarzysz Worotow?

- Tak, słucham - powtórzył.

- To ja.

Więc jednak! Spełniło się, consumatum est! Zatem nie za pośrednictwem najemnych zbirów, podrzędnych siepaczy i pachołków od brudnej roboty, lecz osobiście z tajemnych pieczar na Kremlu przemówił nieprzyjaciel. Gość w dom, Bóg w dom, zwłaszcza, jeśli prawdziwe bóstwo nawiedziło chatę. Pod jak licznymi i zmiennymi postaciami bogowie śmiertelnym się objawiali! Mówili z głębi ognistego krzaka, zstępowali z nieba w kształtach byka, łabędzia i chmury, wyłaniali się z oceanów, z piekielnych czeluści, z dzikich górskich szczytów, z ołtarzy i świątyń, byli ziemią, powietrzem, ogniem i wodą, nieli tysiące masek i kostiumów, nigdy się jednak, chyba, nie przydarzyło, aby bóstwo, prawdziwe i wiarygodne, przemówiło przez telefon. Poczuł się uświęcony, lecz również wystrychnięty na dudka. Na Boga! pocóż wyczekiwał, nie spał i tyle nocy się dręczył, jeśli to objawiło się tak prosto?

Zatem spytał:

- Czym mogę wam służyć, towarzyszu Stalin?

- Nie obudziłem was?

- Nie, towarzyszu Stalin, późno zwykle się kładę.

- Tak, jak ja. Słusznie! Noc jest przyjacielem człowieka. Jednym daje sen do pracy, drugim właśnie pracę najlepszą. Pracujecie?

- Czytam, robię notaki.

- To dobrze, bardzo dobrze. Przyjaciele o was pamiętają?

- Tak, bywają goście.

- A wasze zdrowie, towarzyszu Worotow?

- Dziękuję, nic mi na razie nie dokucza.

- Kłopotów nie macie, zmartwień?

- Jak każdy człowiek, towarzyszu Stalin.

- Wy nie jesteście każdy. Wy jesteście Piotr Worotow, człowiek na świeczniku, więc i wasze zmartwienia są na świeczniku. Słyszycie mnie?

Tak, towarzyszu Stalin.

Mógł, lecz nie musiał pomyśleć, do czego on zmierza, czego chce?

- Olga Nikołajewna zdrowa?

- Dziękuję, tak.

Też nie śpi i czuwa?

- O nie, śpi napewno, ona ma dobry zdrowy sen, nigdy nie zarywa nocy.

-Słusznie robi, bardzo słusznie, od czuwania wy jesteście, starczy. A tam u was na wsi wi˙cej już pewnie czuć wiosnę niż u mnie pomiędzy murami? Kwiecień, piękny miesiąc na rosyjskiej ziemi.

ja poniał żyzni cel i cztu
Tu cel, kak cel, i eta cel -
Priznat' czto mnie niewmogotu
Miritsja z tiem, czto jest' apriel.

Nie od razu z tych twardo akcentowanych zdawek konstruowała się wiedza sprzed lat dwudziestu, lecz gdy to sobie uświadomił, uświadomił sobie i to również, że za chwilę, jak po błyskawicy pada piorun - musi z tamtego odległego i ciemnego boru, z kremlowskich piecsaz, wyniknąć cios decydujący, ostateczny cios, chyba zagłada.

Więc powiedział, czując, że mu gardło wysycha i natychmiast:

- Macie znakomitą pamięć, towarzyszu Stalin.

Na to niski i spokojny głos:

- No tak, zatem zdrowie waszej towarzyszki Wiery, dobrej, pracującej, szczególnych kroków nie macie, cieszę się. Proszę mnie się cieszyć z wiecie, że pisarz Żylin został aresztowany?

Prawie niepewnie musiał pomyśleć, teraz się zorientuje. I chociaż miał gardło wyschnięte i zaciśnięte, powiedział możliwie wyraźnie:

- Tak, słyszałem.

- To był wasz bliski przyjaciel?

Powiedział:

- Raczej kolega, znajomy, towarzyszu Stalin.

- Ale poeta był wielki? Wielki artysta?

Był? Chciał pomniejszyć znaczenie najbliższego przyjaciela powiedział:

- Zdarzały mu się niekiedy udane utwory.

- Udane, powiedzieli. Więc Żylin nie był, jak zrozumiałem, ani waszym przyjacielem, ani wybitnym poetą?

- Przyjacielem nie, a wybitnym poetą? czy ja wiem? Zdarzały mu się wiersze interesujące, niezłe.

- A ja myślałem, że artystycznie wybitne. Cóż, wy się lepiej na poezji znacie niżeli ja. Ja mogę tylko powiedzieć, że z punktu oceny ideowej wiersze Żylina były błędne, obce narodo-

wi radzieckiemi, szkodliwe, antypartyjne poszczególne.

Musiał się zdobyć na duży wysiłek, żeby powiedzieć:

- Towarzyszu Stalin, o ile wiem, Aleksy Fiodorowicz nie zajmował się polityką.

- Sądzicie zatem, że nasze organa bezpieczeństwa nie miały podstaw, żeby aresztować waszego przyjaciela?

Wtedy Worotow ciężką dłonią ścierając pot z czoła, chyba cokolwiek piskliwym głosem krzyknął w słuchawkę, w noc, w odległy ciemny brzeg:

- To nie był mój przyjaciel, towarzyszu Stalin!

Na to Stalin:

- No tak, rozumiem. Źle mnie poinformowano. Ja myślałem, że Żylin jest waszym bardzo bliskim przyjacielem i w sensie artystycznym wybitnym poetą. A ono okazuje się, że ani wasz przyjaciel, ani wybitny poeta. To po prostu kontrrewolucjoniści. No cóż? Nie będę wam więcej zabierał czasu. Czytajcie, Piotrze Antonowiczu, róbcie notatki i spokojnie śpijcie. Dobranoc, Piotrze Antonowiczu.

Prawdopodobnie chwilę stał ze słuchawką w ręku, a potem ją odłożył i wrócił na fotel, ciężkie dłonie złożył na udach i patrzył na wysokie nagie okno, za którymi cisza była i spokój, być może myślał: teraz wiem o sobie wszystko, ponieważ, ponieważ...

I wówczas prawie napewno Olga Nikołajewna zajrzała na dół. Odwrócony do drzwi plecami i osłonięty wysokim oparciem fotela mógł nie słyszeć jej wejścia.

- Piotr! - powiedziała cicho.

Chwilę milczał i nie poruszał się, jeżeli prowadzące od bezpośredniego kontaktu z bóstwem do ukochanej kobiety nie są proste. Więc nie zmieniwszy pozycji, dopiero po chwili

sobie i zawiadomił, że się jego Żucełka oszczeniła. Dobrze zresztą zrobił, bardzo mnie ucieszył. Każde narodziny mają coś pokrzepiającego.

I podniósł się z fotela, wiedział bowiem, że ma twarz w porządku i bezśiecznie może spojrzeć żonie w oczy.

- Chodźmy spać, Oleńka - powiedział czule - Bardzo chce mi się spać. Czuję, że będę spać.

luty, 1967

Jerzy Andrzejewski

Wiktor Woroszylski

L I T E R A T U R A[x/]

Po wieczorze autorskim w klubie prasy (wciąż w tym pustym i wietrznym mieście), kiedy ubierałem się w szatni, dociekając z wysiłkiem, czego mi od pewnej chwili zabrakło, przepchał się do mnie starszy jegomość w garniturze z szerokimi klapami, wyglądał na zmartwionego, proszę pana, powiedział, chciałbym zapytać, zatrzymałem się więc z jednym ramieniem w rękawie płaszcza, tak, proszę?

Na zakończenie przeczytałem tam "Zagładę gatunków", nie miałem właściwie zamiaru, wybierałem teksty łatwiejsze, publiczność nie sprawiała wrażenia zbyt wytrawnej, ale słuchała z dobrą wolą, i naraz zdecydowałem się, bo poczułem, że bez tego wiersza spotkanie będzie wymijające, niejedno moje spotkanie bywa wymijające, lecz właśnie dziś, przeczytałem zatem wiersz, który powstał prawie dwa lata wcześniej, bez związku, naturalnie, z wszystkim, co teraz mogło wydobyć go ze mnie, powstał z inspiracji literackiej, w każdym razie pamiętam dokładnie swoją ówczesną lekturę, była nią praca Antoniny Łańkowej "Oskalpowana ziemia", opowiadająca o wyniszczeniu rozmaitych gatunków zwierząt i roślin, uczona autorka oskarżała cywilizację lecz mnie się zdawało, że dramat rozgrywa się w scenerii głębszej i trwalszej niż stworzona przez działalność techniczną człowieka, iże jest on jednorodny z dramatami sam gatunek ludzmiewającymi za przedmiot. W owych tygodniach, gdziekolwiek obróciłem wzrok, zdawało mi się, że widzę rozpadlinę, w której pogrążają się milcząco czworonogie i dwunogie gromady, brzegi rozpadliny zrastały się błyskawicznie i na rozległej

x/ Fragmenty powieści, pisanej w latach 1966-1970

równinie pojawiały się nowe gromady, zacząłem wreszcie, wyliczałem fakty podane przez Lenkową i kazałem im sąsiadować z innymi, nie chciałem wychodzić poza fakty, a jednocześnie chciałem, żeby wiersz znaczył więcej niż ich katalog, to "więcej" zaś, które czułem, lecz nie umiałem wysłowić, a może bałem się wysłowić, żeby wysłowione nie zmieniło się w "mniej" i "łatwiej", otóż to "więcej" miało samo, bez pośrednictwa słów, przenieść się ze mnie w pole wiersza, wypełnić czerń jego znaków i biel pomiędzy znakami, niestety, autor nigdy nie wie, czy to się stało - odczytując własny wiersz jest przecież obecny całym sobą i nie wie, co tkwi tylko w nim, a co w tekście.

Kiedy teraz, w klubie prasy, skończyłem czytać "Zagładę gatunków", zapadła niezdecydowana cisza, niezdecydowanie dotyczyło, być może, kwestii, czy to już koniec, zabrałem papiery, zamknąłem teczkę, wtedy zaczęli klaskać, oklaski trwały dość długo, a ja w popłochu myślałem, czego mi brak, i nie mogłem sobie przypomnieć. Proszę pana, powiedział zmartwiony mężczyzna w garniturze z szerokimi klapami, ta poezja współczesna jest strasznie trudna, czy ja dobrze zrozumiałem, że to było tu zawahał się szukając w pamięci znajomego z gazet terminu, o dyskryminacji rasowej, dokończył z ulgą. Ogarnęło mnie zakłopotanie, wadziłem się z przyrodą, jak wadziłbym się może z Opatrznością, gdybym dawno nie stracił wiary, przytłaczała mnie zrastająca się z przyrodą historia, cóż miałem mu odpowiedzieć, szukał bliżej i może miał rację, choć mnie użyte przez niego słowa wydawały się bez siły i nadziei kuśtykać za ginącą w oddali treścią, cóż mi jednak pozostawało, no tak, zawahałem się, można i tak, dziękuję panu, tak właśnie myślałem, odsapnąłem. Wyszedłem na ulicę, wiatr pchnął mnie w pierś i uświadomiłem sobie, że od jakiegoś czasu zebrakło w niej

bólu, zaczerpnąłem tchu i zmagając się z wiatrem podążyłem naprzełaj przez kamienny plac, dalej przez park szumiący ciemnością, w stronę patetycznej bryły teatru.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć słuchaczowi pytającemu o treść "Zagłady gatunków", śpieszyłem się zresztą, może powinienem był ujawnić różnorakie źródła wiersza, te przynajmniej, które mnie samemu zdają się jawne, wieczór w Erywaniu przed laty, park, lampiony na drzewach, taniec małej dziewczynki, w układzie swym i melodii radosny, a w poszczególnych gestach szczupłych ramion i spojrzeniach spod rzęs trzepotliwych - jakby bolesny, wylękły, lecz nie bólem i lękiem indywidualnym, przynależnym temu dziecku akurat, w tym parku, tego wieczora, nie, bólem nie nazwałem go tak wówczas, gatunkowym, lękiem odziedziczonym, wpisanym przez rodziców i rodziców rodziców w ciało noworodka i oto realizowanym bezwiednie przez małą tancerkę, ufającą zapewne, że samą radością darzy zgromadzonych pod lampionami, w końcu może i tak, może ja jeden, przejęty usłyszanymi tegoż dnia opowieściami o rzezi, w taki sposób odczytałem taniec dziewczynki, nie wiem, nazajutrz opuściłem Erywań, niebawem zaś napisałem wiersz "Oczy Metakse" i dałem go do druku, redaktor pogroził palcem, znów aluzje, czy nie dość tych, aluzje! krzyknąłem, to Turcy! Turcy! wiersz się ukazał, nie był zbyt dobry, a milion wymordowanych Ormian zapadł w mój cmentarz. Popołudnie czerwcowe, dużo później, kiedy w podwarszawskim domu artystów kończyłem książkę, niechętnie odrywając się od maszyny i na posiłki jedynie schodząc do wspólnej jadalni, był to jeden ze zdarzających mi się okresów utraty tożsamości na rzecz bohatera, tym razem nie wyimaginowanego zresztą, na podstawie dokumentów odtwarzałem jego losy, coraz niespokojniej wplątując się w dramat i coraz niechybniej zmierzając ku samo-

unicestwieniu na ostatniej stronicy, z takiego to stanu wytrąciła mnie propozycja Starego Pisarza, bym wraz z nim i jego Panią wybrał się do pobliskiego miasteczka, wsiadłem do rozklekotanego forda i potoczyliśmy się szosą ku Wiśle, między polami i ogrodami, ziemia tchnęła ciepłem i przychylnością dla rodzaju ludzkiego, niebo ogromniało nad nami przelewając się przez widnokrąg, bywałem tam przed wojną, powiedział odwracając się od kierownicy Stary Pisarz, zajmowała mnie kwestia żydowska, to była ich stolica, z cadykiem cudotwórcą w lisiej czapie, z jego dworem, to był cały odrębny świat, wjechaliśmy w źle brukowaną ulicę, minęliśmy parę gmachów z czerwonej cegły i zaczęły się małe domki, pochylony człowiek zamiatał chodnik, Stary Pisarz zatrzymał auto i wdał się w rozmowę, widziałem ich, kiwał głową człowiek z miotłą, jak pana przed sobą widzę, co się z nimi stało, kto to wie, Niemcy wywieźli, spalili czy jak, a kto tutaj teraz mieszka, dopytywał się z auta Stary Pisarz, taki nietutejszy w swoim czarnym garniturze i muszce, ludzie mieszkają, burknął jego rozmówca i odwróciwszy się zaczął energiczniej zamiatać chodnik, uraziłeś go tym pytaniem, powiedziała Pani, kiedy ford toczył się z powrotem po kocich łbach obok domów z czerwonej cegły, teraz jechaliśmy wolniej, pod górę, wysiedliśmy koło rozchylonych wrót, była to jakby łąka porosła dzikimi trawami, pusta, dziwnie pomarszczona, gdzieniegdzie tylko wyzierały z ziemi wrośnięte w nią płaskie tablice, pokryte zatartym pismem, to był cmentarz, powiedziała Pani i zmrużyła oczy jakby raziło ją słońce, wracaliśmy do domu twórczości i słyszałem, jak za naszymi plecami pośpieszne łodygi traw przerastają szczątki cmentarza, i pilno mi było do pojedynczego dramatu mojego bohatera, do zagłady nie za-

tunkowej, lecz wieńczącej los poszczególny, do klęski nie w przyrodzie, lecz w biografii, w parę tygodni później skończyłem książkę i, unicestwiwszy się na ostatniej stronicy, ocalony na jej białym odwrocie, wyjechałem nad morze. Rozpadlina zaś wciągająca - to jeszcze później, inny rok, odrętwienie zimowe, prace ulotne, chaotyczne lektury, od niechcenia podejmowane (a wśród nich - rozprawa Leńkowej), i znienacka - właśnie ta rozpadlina, pogrążanie się w niej bezgłośne gromad ludzi i zwierząt, i zwieranie się brzegów, i nowe gromady nad brzegami znów rozwartymi, ale nie rozpadlina ziejąca tak mnie prześladowała, jak zamknięta, na czas jakiś syta ofiary, jej powierzchnia zielenią świeżą porosła, tumultem życia, pełna blasku, wibracji, miłości, śpiewu, rozrodzona ponownie i szczelna, bez ubytku jawnego, bez cmentarza, bez szramy, o zbawienne prawo przyrody! więc ku chwale jego ująłem pióro? wiersz posuwał się z trudem, nie chciałem krzyczeć, chciałem słowom zaszczepić spokój, może szczyptę ironii, tym jednym odcinają się od przyrody, która nie zna ironii, chciałem, żyjący jak wszyscy prawem zapomnienia, wiersz nasycić pamięcią szerszą niż pamięć jednostki czy grupy, pamięcią wszystkiego żywego, tak powstał wiersz, który usiłował zrozumieć na wieczorze autorskim tamten mężczyznę i którego nie zdołałem mu wytłumaczyć, jeszcze w trakcie czytania ogarnięty pośpiechem i roztargnięciem, i zanadto wsłuchany w to, co mnie opuszczało.

Z listu Borysa Pasternaka do Jacqueline de Proyart (lipiec 1959): "...Życie zawsze jest sobie wierne. W łonie wielkich miast współczesnych znajdujemy je tak samo pełnym odkryć i niebezpieczeństw jak w lesie... Aktorami tego życia są: Bóg,

kobieta, przyroda, powołanie, śmierć... Oto prawdziwi bliscy uczestnicy, przyjaciele i rozmówcy. Wyczerpują oni wszystko, co ma znaczenie.

Odwiedziny u Pasternaka, o których nie odważyłem się opowiedzieć Teodorowi i jego ślicznej żonie, oplątane są w mojej pamięci całym kłębkiem zawstydzeń, nie tylko to, że płakał po moim wierszu nie całkiem z wiersza zasługi, zawstydzające było samo zaproszenie na obiad niedzielny, wzdragałem się, Jaromir zaciągnął mnie prawie siłą, i oto gospodarz prowadzi nas po drewnianych schodach do gabinetu, Jaromir opowiada coś z ożywieniem, Borysie Leonidowiczu, powiedziałem, Jaromir urwał, Borysie Leonidowiczu, napisałem kiedyś o panu okropne głupstwa, już dawno, zdawał się nie słyszeć moich słów, podszedł do półki, wyjął z niej książkę, z książką w ręku obrócił się ku mnie i spojrzał pełnymi zdziwienia ogromnymi niebieskimi oczyma, czy pan był moim wrogiem, ach nie, odpowiedział natychmiast na własne pytanie, panu po prostu nie podobały się wiersze, mnie się także nie podobają, Borysie Leonidowiczu, nie rozumiałem ich wtedy, lecz teraz, są zbyt zawiłe, powiedział, poezja musi być prosta, zdumiewa mnie, kiedy ktoś je ceni, przysłano mi z Paryża prozę Maryny (była to właśnie książka, którą trzymał w ręku), pisała o mnie, zdumiewające, moje wiersze były jej droższe niż mnie samemu, włożył książkę z powrotem na półkę, nachylił się, wydobył spod sterty papieru dwa grube ogromne foliały i podał Jaromirowi, to jest ważniejsze od wierszy, pracowałem nad tym od dawna.

W ten sposób przeszedł do porządku dziennego nad przyczyną mojego zawstydzenia, było to mniej proste niż przyjmować, musiałem jednak zaniechać dalszych tłumaczeń, czy potrafiłbym wytłumaczyć siebie sprzed kilku lat, zapatrzonego w inny wzorzec

egzystencji poetyckiej i gardzącego tym, co się z nim nie pokrywało, gdybyś o samo niezrozumienie chodziło, wówczas nie pozwalałem sobie na rozumienie, tamten ja był mi teraz daleki, ale czułem się z nim związany jak z krewnym o tym samym nazwisku. był maj 1956, w wagonie kolejki elektrycznej, którą jechaliśmy z Jaromirem, popiskiwały harmonie, pijani inwalidzi o chytrych oczach żebrali wystawiając na pokaz kikuty, amnestionowani więźniowie wyliczali paragrafy kodeksu i nazwy gc graficzne, inwalidom i więźniom wtykano za pazuchę zmięte papierki, wysiedliśmy na małej stacyjce i ruszyliśmy najpierw po drewnianych podkładach, następnie w bok od toru, błotnistą drogę, mijając zagajnik brzozowy i górę cmentarną z białą cerkiewką na szczycie, Jaromir,żwawo wyrzucał w powietrze długie kończyny, a ja wlokłem za nim swe zawstydzenie.

To jest ważniejsze od wierszy, pracowałem nad tym od dawna, powiedział wręczając Jaromirowi dwa grube foliały, i wtedy wszyscy zwróciliśmy oczy ku drzwiom, stała w nich Zinaida Nikołajewna, wysoka, masywna, lekko zgarbiona, nie słyszeliśmy kroków, ale poczuliśmy jej obecność, spoglądała z dezaprobatą na Jaromira, pan powinien wiedzieć, że jestem przeciwna, Borys Leonidowicz grzeszy lekkomyślnością, wczoraj dał egzemplarz Włochom, dzisiaj panu, on sobie nie zdaje sprawy, ale ja go muszę strzec, ależ Zinaido Nikołajewno, odezwał się poeta,w wszystko się zmieniło, trzeba o tych strachach zapomnieć i żyć zwyczajnie, zresztą książka wyjdzie niebawem u nas, obiecano mi to, jestem przeciwna, powtórzyła sucho Zinaida Nikołajewna, jednakże Jaromir nie zdradzał ochoty rozstania się z tym, co otrzymał.

Pasternak niecierpliwie zadreptał w miejscu i zmienił temat rozmowy, nieszczęsna Maryna, powiedział, wciąż mając na

myśli Cwietajewą, spotkałem się z nią w 1935 roku w Paryżu, jak wtedy nosiła się z zamiarem przesłania mi ją, nie chciała słuchać, twierdziła, że skoro ja, prosto do stołu, przerwałem Zinaidzie Nikołajewnie, schodziliśmy po drewnianych schodach. Pasternak miał twarz cierpiącą, najwidoczniej rozpamiętywał los poetki-samobójczyni, a teraz ogarnęło mnie zawstydzenie, że usiłowałem zaprzątnąć jego uwagę błahymi porachunkami sprzed lat paru, a także dlatego, że jeszcze przed kilkunastu minutami, mniemając, że już go rozumiem, nadal nie rozumiałem, żyć w sferze tragedii i tego swym wierszom nie mógł wybaczyć, że żyć poza nią. Schodziliśmy po schodach, dokoła domu poety stłoczyły się chroniąc go przed wiatrami świerki strzeliste Rosji, bór ciągnął się na wschód i gdzieś tam była osada zagubiona w śniegach wojennej zimy, kostniejące dłonie, kartki żywnościowe, które ktoś jej zapomniał przydzielić, na ostatnim stopniu Pasternak zatrzymał się i powiedział: córka teraz wróciła, szuka jej wiersze.

Na dole gwar powitań i prezentacji. Zinaida Nikołajewna wskazała nam miejsce przy długim dębowym stole, gospodarz napełnił kieliszki, naprzeciwko siedziała stara kobieta ze śniadej cerze, w milczeniu wodziła po twarzach czarnymi wschodnimi oczyma, jak gdyby usiłowała dopatrzeć się jakiejś ukrytej prawdy, była to wdowa po przyjacielu Pasternaka, gruzińskim poecie, i chyba dlatego właśnie, że jej nikogo przy stole nie znała, tym bliższa przyszła mi na myśl, kiedy po wzniesieniu toastów i ponownym napełnieniu kieliszków odezwał się mój gospodarz, przy stole, w tym gronie obcych przyjaciół, powiedział, mam kogoś nowego, uważa, że jest polskim poetą współczesnym, jego wiersze, przekłady, bardzo chciałby pokazać, ja nie znam tego języka prosił, abym mu powiedział, czy warto, zaczęliśmy z tłumaczeń wierszy, podobny do tego, jak to Henryk

Neuhaus, pianista, dlatego proszę, że chciałbym usłyszeć dźwięki nowy, które pamiętam z wczesnej młodości, nie patrząc przeto na Ninę Tabidze powiedziałem wiersz, który napisałem zeszłego lata na Kaukazie, tego samego lata, kiedy w Erywaniu tańczyła mała Natakse i kiedy od ciężkiego słońca Gruzji i lekkiego jej wina zakręciło mi się w głowie na samym początku wędrówki i tak już zostało prawie do końca, na końcu zaś czara szpalta zaćmiły przysłoniła mi olśniewający krajobraz, nie dlatego, żeby zieleń nagle zrudziała i promienie zatraciły jaskrawość, lecz dlatego, że natarła wskrzeszała z martwych trzy imiona człowieczą, niegdyś wraz z ciałami na śmierć skazane, ciała nie zmartwychwstają, jednakże zmartwychwstanie imion te, było zdarzeniem bardziej cudownym niż festyn nieustającej kaukaskiej przyrody.

Powiedziałem więc teraz ten wiersz niebogaty o powracających imionach poetów - Tyciana Tabidze, Paola Jaszwili, Michała Dzewachiszwili, o bezinteresownej radości przyrody ustępującej jasnej wobec gorzkiego wzruszenia takich ludzkich zwycięstw zza grobu, zacinałem się mówiąc z pamięci, skoro zaś skończyłem, nie spojrzałem na Ninę Tabidze, lecz na Pasternaka, i przejął mnie dreszcz. Pasternak płakał, z jego niebieskich oczu toczyły się po policzkach duże jasne łzy, dziękuję, powiedziała chropawym głosem Nina Tabidze, Pasternak zerwał się z miejsca i uczynił krok ku mnie, wstałem także, przycisnął mnie do piersi i pocałował.

Potem z twarzą rozświetloną od wewnątrz, z kielichem jak hostia wzniesionym, pełen jakiegoś radosnego wzburzenia, w które wiele obróciło się wszystko, co działo się przedtem, myśli o ukończonej książce, wierszu, winie, wspomnienia, od wielu lat żyliśmy pod przytłaczającym ciężarem, mówił, nie rozumieliśmy jego istoty, chcieliśmy ufać, ale przeczuwaliśmy, ja przeczuwałem, obecnie powiedziano mi rzeczy straszne.

może to jest początek nowego życia, którego nic nie przytłoczy, bądźmy zdolni do świętowania.

Zapadał zmierzch, kiedy szliśmy z Jaromirem na stację, pachniała czeremcha, minęliśmy górę cmentarną i zagajnik brzozowy, stąpaliśmy po drewnianych podkładach, aż ziemia zadrżała pod nami, uskoczyliśmy na bok i pociąg przebrnął z łoskotem, i mocniej zapachniała czeremcha.

Ze stenogramu zebrania pisarzy moskiewskich 31 października 1958: "Bohaterowie tej powieści wprost i bez osłonek głoszą filozofię zdrady. I oczywiste jest, że tak samo jak powieść stanowi akt zdrady wobec wszystkiego świetlanego, pod sztandarem czego, tak samo czywiste jest, że całe dalsze postępowanie. Żyjąc z nami, jedząc nasz chleb, korzystając ze wszystkich. Powinniśmy w imieniu naszej społeczności powiedzieć: Precz z naszego kraju, panie Pasternak. Nie chcemy oddychać jednym powietrzem z panem. (Oklaski). Idź, zainkasuj tam swoje trzydzieści srebrników! (Oklaski). W obecnej nadzwyczaj wymagającej atmosferze moralnej. Towarzysze pozwolą, że odczytam projekt uchwały. (Głos z miejsca: - Wydaje mi się, że należy w uchwale słowo kosmopolita zastąpić słowem sprzedawczyk). W projekcie jest również to słowo i słowo zdrada, ale człowiek zdradzający ojczyznę i idący na służbę międzynarodowej reakcji jest bezojczyźnianym kosmopolitą. (Głos: - tutaj mamy w formie pytania: komu jest potrzebny? Należy powoeidzieć wyraźnie, że nikomu). Czy będą jeszcze poprawki? (Głos: - To zdanie, że dawno oderwał się od rzeczywistości, od narodu, jest niesłuszne, bo nigdy nie był związany z narodem). Odczytam jeszcze raz to zdanie. Dawno oderwany od życia i narodu, zakochany w sobie estet i dekadent. Można sformułować: zawsze

odrwany. Kto głosuje za przyjęciem dokumentu, proszę podnieść rękę. Dziękuję. Kto przeciw? Nie ma. Kto się wstrzymał? Nie ma. Uchwała przyjęta jednogłośnie. (Oklaski).

Wielkie serce Dorysa Kostrzewskiej, czerpiące kondycję z sfery uczuć i tam go musiałem spotkać, a sfera w której spotkałem Witolda Gombrowicza, nie ma nazwy, nie można zdefiniować, bo wszystko, co wie o sobie, nie pozwala jej nazwać, świadomość fałszu każdego samookreślenia, parodyjności każdej powagi, znamy, znamy, już to opisano, wyzwana Gombrowicza dzięki nieustannemu pościgu gry sobie i innym, rujnowania sytuacji, ale sytuacje i do tego już się przyzwyczaiła, wszystko wie i podkłada się ochoczo i wciskając mu wrotkę sruty, odbiera je tym samym, jak wówczas, gdy dzwonił do fałszywej hrabiny.

On: Dzień dobry pani, przyjechałem właśnie i...

Hrabina: Witam, witam, panie Witoldzie, już czekamy na pana, jak przeszła podróż?

On: Kto się mnie spodziewała?

Hrabina: No jak to, przecież pan Florian...

On: Jaki pan Florian?

Hrabina: Chwileczkę, czyżby zaszło, mówię z panem Witoldem Wroczyńskim, nieprawdaż?

On (lodowato): Wroczyński ma na imię Wiktor, a tu Gombrowicz przyjechałem właśnie i...

Hrabina (speszona): Ach, pan Wiktor Gombrowicz.

On: Witold!

Hrabina: Słyszałam, naturalnie, bardzo proszę też przyjść na obiad.

Podczas obiadu, sztywny, z gębą, która mu przyprawia n b o g e o x, jakąś taką gębą karczochy i pieczyste smakować

jak że mieszać swój konwersacji, wreszcie przy owocach uboga protegowana hrabiny: więc osiedlił się pan w Vence, to urocza miejscowość, Chagall już od lat nie rusza się stamtąd.

On(z ulgą): Kto taki?

Hrabina i uboga protegowana, z wypiekami: Chagall! wielki malarz! światowej sławy! Marc Chagall! wie pan, te bydlątka, skrzypce, narzeczeni w powietrzu!

On: Nie słyszałem.

Już opanował sytuację, zniweczył swoje uprzednie zakłopotanie i poniżenie, to zostaję z gębą, że Gombrowicza wzięto za kogo, za Woroszylskiego, pomylono nasze imiona i z nas dwóch absurdalnym przypadkiem trochę więcej wiedziano o mnie, którego istnienia nie jestem w tej chwili pewien, bo moje mnie-kome n a p r a w d ę nie ma tu nic do powiedzenia, wchodząc w sferę Gombrowicza straciłem wagę i kształt, jemu zaś powróciła elokwencja, teraz pastwi się nad malarstwem, nad absurdem malenia płócien, wie już, oczywiście, że Florian jest malarzem, obie panie słuchają w świętej zgrozie, tylko że jest w tym zachwycie Gombrowicza, od pierwszego "kto taki" i "nie słyszałem", uciec rutyny, a że z Florianem kąpiemy się, i on kąpie, że my kąpiemy, i widać po nim, co [illegible] zobą i nami, ale właściwie dlaczego z oszczędności obcych [illegible] nie kiedyby uciekał się do rutyny, nie miałby przyzwyczaić "Gombrowicza" na Gombrowicza, którego stworzył z pobić z tych samych pierwiastków, tylę że nieznanych, niespodziewanych, więc to wysuwanie "Gombrowicza" przed Gombrowicza, ta mała doraźna destrukcja na odczepne, w której zapleczu kłębi się wielka destrukcja o tyle ocalo, o ile jakieś ocalo może istnieć w tej lekceważącej go świadomości, to wszystko objawia symptomatycznie swój dług nie dotyk znakiem dyskretnym, którego nie śmiem

tak nazwać, a zachwycona hrabina zorientowała się wreszcie, który gość najważniejszy, przysuwa mu owoce, a uboga protegowana, którą z czasów zanim wybrała wolność pamiętam jako wykwintną intelektualistkę w Kawiarni, cierpi, że nie może też wykonać jakiegoś gestu, sytuacja wszakże trwa w całym swym stłamszeniu i pomieszaniu, i rozwija się samoistnie, jedziemy do Vence, hrabina przy kierownicy, wracamy z Vence, już bez niego, hrabina z nienawiścią: boć to za okropna dziewuch widzieliście państwo te pończochy i biustonosze po kątach, uboga protegowana marzycielsko: nie taka potrzebna mu opiekunka, hrabina ostro: spóźniła się pani do technika dentystycznego, reguluję rachunek, ale w końcu to pani zęby, trzeba dbać o siebie, najdroższa, uboga protegowana buntowniczo: potrzebne mu ciepło, bardziej niż pieniądze, Florian chichocząc przecież on jest, panie nic nie wiedzą, on jest, i figlarnie obserwuje zawiedzione miny obydwu kobiet.

Gombrowicz w fotelu, Gombrowicz w złotej koronie, na wysokim koniu Gombrowicz nagi i chory, już nie musi się wpraszać na obiad do fałszywej hrabiny, mni listów pisywać, że , gdybyś zechciał, mój drogi, porozmawiać o mnie z tym wpływowym, co się tyczy zaś przekładu twoich sztuk w Argentynie, a to mi się udało, chichocze Gombrowicz bogaty i sławny (to jest druga, ostatnia moja wizyta u Gombrowicza), a to mi się udało, że ta głupia Amerykanka wtedy, nudne, oświadczyła, nie zdołałem przeczytać do końca, i nie dali nagrody, jestem winien jej wdzięczność, bo tym razem podwoili sumę, znów ktoś chciał mnie podkopać, to podejrzany zwyrodnialec ten Gombrowicz, masochista, onanista czy pederasta, no i dali chętnie, cieszy się Gombrowicz stary i żółty, wydawany we wszystkich

języka, udzielający serii wywiadów Francuzowi piekielnie inteligentnemu, lewicowo-prawicowemu, Gombrowicz w sytuacji, której nie pomieszą już szyków, no bo jak, wszystko mam, mówi nagle ze smutkiem i nie do mnie jakby, lecz dialog kontynuując z niewidzialnym partnerem innej gry niż zawsze, prymitywnej, zdyszanej, bez min i masek, wszystko mam, sławę, dom, pieniądze, nawet żonę, bo wie pan, ożeniłem się z tą dziewczyną, t e r a z mam, kiedy nic już nie mogę, kiedy, wzrok jego pada na aparat fotograficzny mojego towarzysza podróży, chce się pan ze mną sfotografować? potwierdzam skwapliwie i czekam na wydrzwienie swojej ochoty, lecz Gombrowicz już wkomponowuje się ze mną w niebo Venec przezroczyste, pstryknięcie, i odjeżdżam do siebie od jego umierania, tak nie mającego nic wspólnego ze zwycięskim Gombrowiczem literatury, kolorowa błona wywołana zostanie później, wszystkie zdjęcia wyjdą wspaniale, góry, morze, osiołek w parku, tylko jedna klatka zaświeci pustką, i w jej ciemnych smugach ostateczną minę odczytam, jaką robi do nas, bez premedytacji, ostateczna nieczułość świata.

Na paryskiej uliczce, stromej i wąskiej, którą od dwóch tygodni zbiegałem co rano, w gorączkowym pośpiechu, nieomal w transie, gnany łapczywością z dnia na dzień rosnącą i lękiem, że może to już po raz ostatni, nie oglądając się, powstrzymując rozbieg oczu i wszystkich zmysłów, żeby nie wyczerpać za wcześnie, żeby jeszcze starczyło na ten dzień i może następny, i dopiero na dole, pomiędzy rozgrzanym wylotem metra a pomnikiem spalonego na stosie kacerza, na którego cokole kredą wypisano "Wietnam zwycięży", wśród straganów z pomarańczami, rybami, połciami mięsa, tam dopiero pozwalając sobie na radosne spuszczenie ze smyczy wzroku, węchu i słuchu, otóż na uliczce, która

dotąd była zaledwie przejściem granicznym pomiędzy krótkim snem na najwyższym piętrze hoteliku a jawą-nie-jawą zapuszczania się w Miasto, krążenie na fali jego oddechu i tętna, zatrzymałem się nagle przed wystawą rosyjskiej księgarenki, by spośród wszystkich tłoczących się i usiłujących wyselorować jedna przed drugą książek dostrzec tę właśnie i poznać ją natychmiast, widziałem ją przedtem raz w życiu, wyjętą z półki i włożoną z powrotem na półkę, zdumiewające, powiedział, ważąc w dłoni zamkniętą książkę, moje wiersze były Marynie droższe niż mnie samemu, pchnąłem drzwi księgarenki i całym wysiłkiem woli pomyślałem, że nie kupię, ledwie starczy mi przecież na dwa ostatnie najtańsze obiady u Greka, przy stole pokrytym białym papierem z plamami po musztardzie i winie, skąd, nie kupię, tylko dotknę, tylko zważę w dłoni jak wtedy Pasternak.

Ocknąłem się późnym wieczorem w pokoiku nad krzywymi dachami, słaba lampka na suficie mrugała w takt ciosów, jakie za cienką ścianą Północny Afrykanin zadawał swojej jasnej dziewczynie, ta wznosiła gardłowe okrzyki rozkoszy i bólu, za drugą ścianą przeciągle rzęziły rury, potem tonacja okrzyków za ścianą zmieniła się, teraz było to słodkie pojękiwanie, lecz rury bełkotały ciągle to samo, i zdałem sobie sprawę, że Cwietajewa czytała Pasternaka i pisała o nim też w takim hoteliku, kilkanaście lat spędziła w takich hotelikach i stąd właśnie wróciła tam, dokąd nie radził jej wracać, i raptem, na chwilę, przestałem lubić to Miasto u dołu, i już przeciwko niemu, ch o nie tylko przeciwko niemu, rzuciły mi się do gardła zdania przeczytane zanim zamknąłem książkę, i poczułem się emigrantem, więźniem przestrzeni bez echa, stęsknionym za krajobrazem tak dalece otwartym, że prawie nieistniejącym, był to

przedostatni mój wieczór w Paryżu, nazajutrz nasłuchałem się w nim raz jeszcze, przebiegłem nabrzeżami Sekwany i z Małego Mostu wrzuciłem srebrną monetę do wody, lecz dopiero w startującym samolocie Polskich Linii Lotniczych pożałowałem, że to już i że może już nigdy więcej, i na nowo przejąłem się cudownością tego miasta uchodzącą spod skrzydeł.

Ze "Świetlnej ulewy" Maryny Cwietajewej (Berlin 1923?):

"Pasternak - to jedno wielkie naoścież: oczy, nozdrza, usta, wargi, ręce. Przed nim nie było nic. Wszystkie drzwi z zawiasów w Życie!... Piorunujący - Pasternak istnieje dla wszystkich brzemiennych doświadczeniem nieba. (Burza - to jedyny wydech nieba, podobnie jak niebo - to jedyna możliwość b y - c i a burzy: jedyny jej teatr!)

... To nie recenzja: próba wyjścia, żeby się nie zachłysnąć. Jedyny współczesny, na którego nie starczyło mi klatki piersiowej.

... Tylko z ufnością, nie oglądając się, z całkowitą pokorą: zniesie lub ocali! Zwykły cud ufności: jak drzewo, pies, dziecko w deszczu! - I nikt nie zechce do siebie strzelać, nikt nie zechce rozstrzeliwać..."

Wiktor Woroszylski

Jacek Bocheński

P R O S P E K T

(fragment książki o Tyberiuszu)

Coś dla morderców.

Poszukuje się młodego mężczyzny z temperamentem, o zdecydowanym zamiłowaniu do mocnych wrażeń, przeciętnie silnego fizycznie, dyskretnego, bez zahamowań. Może być egotystą, który czuje, że jego osobowość jest skrępowana i chciałby ją w pełni wyzwolić. Mistyka i marzycielstwo nie stanowią przeszkody. Potencja płciowa wymagana. Kandydatury impotentów nie będą rozpatrywane. Wygląd obojętny. Wykształcenie obojętne. Szansa dla nieukojonych! Poznacie sposobycz zabijania. Można objąć stanowisko kata.

Powiem to innymi słowami. Zdarza ci się czasem, że coś w tobie wzbiera, coś takiego dziwnego, jak wielki głód albo straszna gorączka, albo spazmatyczny płacz. Sam nie wiesz, co cię tak pali od środka, ale nie możesz już wytrzymać. Jesteś w tłumie, niby obojętny, niby zwyczajnie gdzieś idziesz, ale właśnie z tym, co w tobie wzebrało. Czy nie zdarza się, że myślisz wtedy na przykład tak: o Jezu, pierdolnąłbym jakąś kurwę w łeb?

Oczywiście, na tym beznadziejnym westchnieniu przeważnie się kończy. Musisz je w sobie taić. Żyjesz czasem całymi latami z dojmującym poczuciem niezaspokojenia. Bójki lub inne półśrodki nie wystarczają. Pragniesz po prostu zabijać. Tak jesteś stworzony i wiesz o tym doskonale. Jednocześnie widzisz wielu nadętych gówniarzy, których należałoby załatwić na amen. Czujesz nawet pewien rodzaj powołania, jakby w twoich popędach uosobiona była wyższa sprawiedliwość i mówiła ci całkiem jasno, co masz czynić. Nawiedzają cię sugez-

tywne sny. Twoje mordercze obrzędy są w toku. Widzisz je. Ten i ów leży niezupełnie jeszcze załatwiony, ale już nepoczęty. Nie brakuje kobiet. Właściwie jednak źle powiedziałem. W tych snach nie oglądasz nigdy wielu ofiar naraz. Skupiasz się tylko na jednej. Dlatego nie interesują cię wojny i ohydne rzezie zbiorowe, gdy morduje się chaotycznie byle kogo. To jest głupie i tego nie znosisz. W twoich marzeniach występuje zawsze obiekt należycie wybrany, a kiedy zbliżasz się do niego ze swymi narzędziami, stryczkiem na przykład lub nożem, przeświadczenie o słuszności wyboru, jasne jak płomień, rozświetla cię naskroś, zagrzewa i poniekąd uwznioślа. Jesteś wielki, szczęśliwy i niejako święty w tych czynnościach. Niestety, zdajesz sobie sprawę, że to są majaczenia, bo nikogo naprawdę nie zabijasz. Skupiasz się całym wysiłkiem wyobraźni już nawet nie na jednej wybranej osobie, lecz na jakiejś części jej ciała, na szczególe. Tak bywa przeważnie z kobietami. Twoim celem w tych przypadkach może być drgający mięsień szyi, kawałek bladej skóry z fioletowymi pasemkami żyłek, pachwina, pierś, pępek, byle wklęsłość albo wypukłość, byle meszek albo owłosienie. Zawsze jest jakieś takie miejsce, które aż się prosi o cios. Zamieniasz się w jedno ogromne pożądanie i tylko myślisz: o, tu, tu bym kurwę pierdolnął. A czujesz w sposób najzupełniej oczywisty, że byłoby to spełnienie sprawiedliwości i że dokonałbyś go z wielką ulgą. Za twoje zasrane życie! Za wszystkie krzywdy. Za nędzę całego twego istnienia w niedożycie i znikomości. O, tak, wiele różnych zgryzot się zebrało i długo by mówić o nich. Tymczasem słodkie wiatry kłębią się w tobie, rozkoszne smaki podpełzają do gardła, krztusisz się, dławisz, rozpaczliwie miotasz i nie możesz, nie możesz znaleźć ujścia, bo nie wolno zabijać, bo tak to jest wszystko

na endecie gżpio i fatalnie urządzone. Po zabójstwie nie wolno
a jeśliście wytrzymacie, zabijecie siebie. Dlaczego właściwie? Czy nie powinno się wam w końcu czegoś radykalnie zmienić, żebyście mogli robić na co macie ochotę?

Otóż posłuchaj. Nie musisz podpalać świata. Świat ci sprzyja. Są instytucje, w których twoje skłonności okazałyby się pożądane i użyteczne. Jeśli nie chcesz mordować dla grabieży ani dla innych celów ubocznych, lecz bezinteresownie i z wyższych pobudek, jak zamiłowany w sztuce artysta, jeśli twemu zapałowi towarzyszy ponadto głębokie przekonanie o sprawiedliwości mordowania i jeśli właśnie w imię jej gotów jesteś mordować, w takim razie masz niezbędne kwalifikacje na urząd kata. Pozbądź się tylko nieuzasadnionego lęku przed urzędami i wszelką organizacją. Doprawdy nie potrzebujesz samotnie walczyć z całym światem. Nie bądź dzieckiem. Nie żałuj się, bo wykroczysz coś w pojedynkę. Włącz się do instytucji. Znajdziesz oparcie. Twoje znaczenie wzrośnie. Zwielokrotnisz swoje siły. Ustabilizujesz się, wyzwolisz ze stanów depresyjnych, uzyskasz autorytet, poczujesz się człowiekiem, a nawet czymś więcej. O krok od ciebie są miejsca, gdzie na takich jak ty czekają. Podejmuje się przedsięwzięcia, w których byłbyś niezastąpiony. Zgłoś się natychmiast. Weź udział w podróży do Rzymu. Osiągniesz cel!

A tak, tak, w podróży do Rzymu... Musisz bowiem zrobić więcej niż ci się wydaje. Sprawa jest ogólnoludzka, choć uważasz ją za osobistą. Ponadto. Sprawa przekracza granice epok. Dopiero wtedy, gdy to pojmiesz, gdy odnajdziesz siebie samotnością i duszą w historii, gdy zawiążesz do wiecznych pierwiastków ludzkich i z nimi się utożsamisz, dosięgnąć prawdziwego dobra, uczynienia moralnego i będziesz mógł powiedzieć, że

Do załatwienia masz właśnie jedną ze spraw bieżących. Wykonasz kolejny wyrok. Sejan został, jak wiadomo, uduszony. Do tej egzekucji nie przyłożysz już ręki, ale musi jeszcze wyginąć jego potomstwo, o czym z aprobatą mówi pisarz Walerjusz Maksymus. Przypada ci więc w udziale stracić teraz córkę Sejana, Junillę.

Trzeba, abyś wiedział, że dziewczynka nie jest na to przygotowana. Wzięto ją z domu nagle, wprost od piłki i rysika, nie wyjaśniwszy, gdzie się ją zabiera i po co. Ta mała nie na pojęcia o winach ojca, o krwi, którą wylał, o grozie, którą budził, o prześladowaniach, gwałtach i torturach, które stosował, nie zdaje sobie nawet sprawy, czym w istocie zarządzał i jakie stanowisko publiczne zajmował w Rzymie. Jest przekonana, że musiała sama czymś zawinić. Gdy wtargnęli uzbrojeni mężczyźni z postronkami, by ją związać i przetransportować do więzienia, zdumiała się: dlaczego to są tak? Za co? Ale oni powiedzieli tylko: pójdziesz z nami. Postąpili z nią jak z kurą przeznaczoną do zarżnięcia. Zrazu usiłowali zmusić, a ponieważ uciekała, zaczęli się za nią uganiać, któryś chwycił ją za włosy, potem za nogę, nie zważając zupełnie uwagi na jej krzyki, jak nie zważa się uwagi na gdakanie kury. Nie rozumiała, co się właściwie dzieje. Próbowała ich pytać: czy byłam niegrzeczna. Robili swoje i nie odpowiadali. Kiedy ją wreszcie, skrępowaną byle jak, wywlekli z domu, poczuła, że zanosi się na coś okropnego, choć nie umiała sobie wyobrazić, na czym by to mogło polegać. Przyznała się im wtedy, że owszem, była niegrzeczna, ale to się już nigdy nie powtórzy i niech jej nigdzie nie zabierają, mogą jej przecież dać zwyczajnie w skórę. Nawet nie drgnęli. Byli trochę pochmurni, lecz spokojni. Do końca nie odezwali się słowem. Wrzucili ją do lochu, w którym urzędujesz, przez ten otwór na górze, który widzisz, co tak

się tu wchodzi, bramy żadnej ani drzwi nie ma. Wrzucili i odeszli.

Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak ważną rzeczą jest przygotowanie Junilli do uśmiercenia. Lepiej byłoby może powiedzieć, że przygotowanie stanowi już początek egzekucji. W tej chwili dziewczynka, ubrana w białą, czystą jeszcze tunikę, oderwana dopiero co od dziecinnych zabaw, przyznająca się do jakichś dziecinnych wykroczeń, blada, oszołomiona i niedojrzała, wydaje się samą niewinnością. Tej podniety właśnie ci trzeba. Nie śpiesz się. Także ty musisz przygotować się do swoich czynności. Pozwól, aby niechęć, którą czujesz do rzekomych czyścioszków i niewiniątek, wezbrała w tobie i dobrze przefermentowała. Przyjrzyj się tym bezradnym piąstkom, temu infantylnemu kształtowi paluszków od tabliczki i rysika, temu niewyrobieniu ciała, nie uformowanym biodrom, ledwo zaznaczonym piersiom i tym naiwnym oczom, przyjrzyj się dokładnie całej tej prowokacji, temu za przeproszeniem anielstwu, tej kurewskiej bezgruszeczności, przyjrzyj się, aż cię porządnie wkurzy. Cierpliwie nabierasz ochoty.

Zadanie twoje polega między innymi na tym, abyś udowodnił, że nie zabija się czyścioszków i niewiniątek. Ten, kto ginie, zasługuje na śmierć, skoro zabijanie jest sprawiedliwe samo przez się, o czym tak dobrze wiesz. Od tego, kto ginie, bije ohyda, zanim jeszcze zostanie zgładzony, ponieważ musi on być pełen winy, brudu i nikczemności, musi dostarczać wołających o pomstę do nieba powodów zabijania, aby można go było zabić ze sprawiedliwą satysfakcją. Dlatego według ~~rzymskich~~ rzymskich zwyczajów nie traci się dziewic. Takie są przepisy i to cię obowiązuje. Również pod względem cielesnym Junilla, jako dziewica, nie jest przygotowana do egzekucji. Dziewictwo poniekąd w sposób symboliczny przeczy winie. Lecz jednocześnie dziewictwo budzi po-

rzenia i drażni. Niby jest, ale tak, że go zarazem nie powinno być. Niby jest, ale tak, jakby go nie było. Na dziewictwo Junilli nie można się zgodzić. Niech się więc okaże pozorem, bezecnym fałszem i niebytością w chwili, gdy będziesz Junillę zabijał. Niech zostanie to udowodnione i niech razem z ostatnią konwulsją, którą wyda zabijana Junilla, potwierdzi się racja, że czystość nie istnieje. Twoim obowiązkiem jest zgwałcić Junillę, zanim pozbawisz ją życia. Tak ci polecono.

Nie zaszkodzi, jeśli teraz, przygotowując się do gwałtu, zobaczysz w niej ojca. Może ci wtedy pójdzie jeszcze lepiej. Nie wiele brakowało, a mogłeś przecież znaleźć się w tym lochu jako więzień i zabito by ciebie. Gdyby na przykład ojciec dowiedział się nieco wcześniej, że ty zostaniesz katem Junilli, z pewnością nie byłby omieszkał umieścić cię tutaj zawczasu i nakazać wykonanie egzekucji właśnie na tobie. Pomyśl, jak łatwo ten straszny człowiek mógł cię zgnoić. Pomyśl, o ile był większy od ciebie. Ale już nie jest. Już ty jesteś większy. I pomyśl, skąd się wzięła Junilla, za którą on miał cię zgnoić. Wyobraź sobie kroplę spermy wypływającej z ojca. Wyobraziłeś sobie? Więc to jest Junilla, z tej spermy jest, z tego plugastwa, które on z siebie kiedyś wydusił. To, co było jego, stało się nią. Teraz to o przed tobą leży i czeka na sprawiedliwość. Czujesz, że tak jest? Czujesz,że nie może być inaczej? Że ona nie zdoła podszyć się pod niewinność i zrzucić z siebie odpowiedzialności. bo decyduje nasienie? Bo córka jest z ojca, jak liść z łodygi, robak z robaka, Niemiec z Niemca, Murzyn z Murzyna, Żyd z Żyda?

Jeśli czujesz to wszystko, weź do ręki harap. Strzel nim w powietrzu. Okręć się na pięcie i w tym piruecie, jakbyś tańczył plaśnij harapem dwa, trzy razy po kamiennych ścianach lochu. Uderz także o ziemię. Przyskocz do leżącej. Smagnij raz, a dobrze

Kiedy się skurczy i krzyknie, podnieś harap, a sam nachyl się, przyklęknij sam, lecz nie bij, tylko tak trzymaj nad nią harap. Nagłym ruchem szarpnij tunikę i zadarłszy ją po pas, obejrzyj podbrzusze dziewczynki. Sprawdź, czy jest bardzo niedojszała. Zobaczysz, że pierwsze kłaczki już się wysypały. Zagra ci to na nerwach. Powiesz: - Ty, dzieciątko! Więc to tak? Więc ty, dzieciątko, już to masz? Ach ty, kurwo! - dodasz, ona jednak niczego nie zrozumie, będzie jeszcze usiłowała zachować obłudną pozę dzieciązka, a zarazem spróbuje okryć się na nowo tuniką. Poczujesz wtedy chęć przejechania się po niej harapem. Nie rób tego. Wstań i powiedz: - Musisz wiedzieć, że cię zabiję. Jestem katem i zrobię z tobą porządek. - Następnie zdejmij spodnie.

Ona szeroko otworzy oczy. - Ale za co? - krzyknie. Zwrócisz uwagę, że to ją przede wszystkim obchodzi, to idiotyczne pytanie "za co?", natomiast widok twego obnażonego członka męskiego wcale jej tak bardzo nie przeraża. Ze zgryźliwym zadowoleniem pomyślisz, jakim blagierskim picem jest od początku do końca całe to dziewictwo i jaki jeszcze za chwilę będzie. Już półnagi, możesz się głośno roześmiać. Wówczas ona zawtóruje ci nerwowym chichotem, zapyta, czy z tym zabijaniem tylko żartowałeś, bo dlaczego miałbyś ją zabijać, przecież nic takiego nie zrobiła. Ale zaraz urwie. Dopiero gdy zaczniesz do niej podchodzić w samej koszulce gimnastycznej i butach, a będziesz podchodził z ostrożnym napięciem, jakbyś się skradał, ona tknięta złym przeczuciem, znów powtórzy swoje, żebyś nie zabijał, nie~~m~~, nie, już raczej wychłostał, nawet harapem, tylko nie zabijał.

A ty się nie gorączkuj. Sztuka mordu, jak seks w dobrym gatunku albo twórczość, wymaga cierpliwości, wręcz samozaparcia i ofiarnego wysiłku. Będąc katem, jesteś wykonawcą pewnego rzemiosła a także rytuału. Musisz działać sprawnie i świadomie. Rozu-

miem, że zamiast rzymskiej dyscypliny wolałbyś może dzikość ludzi pierwotnych, taniec, wrzask, ogień, szarpanie surowego mięsa, może tak to sobie wyobrażasz i wydaje ci się, że dopiero wróciwszy do autentycznego stanu pierwotności, między tamtych żywiołowych ludzi, byłbyś prawdziwie wolny. Ale przecież i oni, zanim kogoś zabili, musieli naostrzyć topory i odprawić zaklęcia, potem zaś oddawali się swemu ludożerstwu, przestrzegając zasady starszeństwa, i - jak to w gromadzie - nie każdemu przypadał kęs równy lub wybrany wedle smaku. O nie, lepiej nie ulegaj złudzeniom, już ja wiem, co mówię, twoje miejsce nie w dżungli, lecz w rzymskim więzieniu.

Spokojnie przygotuj powróz. W takiej właśnie kolejności powinieneś działać. Junilla niech się przygląda, jej strach będzie wzrastał. Twoja rozkosz będzie się stopniowo potęgowała. Wypróbuj spodem dłoni, czy powróz nie ma zadr, odstających włosków lub chropowatych zgrubień. Zbadaj, czy pętla przesuwa się bez oporu. Gdyby poślizg okazał się niedostateczny, pociągnij odpowiednie miejsce woskiem i wypoleruj. Uwiąż koniec powroza do żelaznego zaczepu w ścianie. Rzuć okiem na szyję Junilli. Pohamuj się bjednak. Czas pracuje dla ciebie. Musisz jeszcze doprowadzić do porządku robotę tych partaczy, którzy wiązali Junillę. Nie takiego wiązania potrzeba. Przysznuruj do haka najpierw jedną rękę, potem drugą. Posłuchaj szlochów. Zerwij tunikę, a w momencie, kiedy to będziesz robił, posłuchaj histerycznego krzyku, który się nagle rozlegnie zamiast płaczu. Tunikę uszargaj w błocie i podepcz. Teraz dopiero chwyć na nowo harap, będąc przekonana, że chcesz ją rzeczywiście wychłostać. Niespodziewanie uciszy się jakby z ulgą. Zacznie rozsunąć nogi. Drgnie i zaciśnie je odruchowo, ale gdy podniesiesz harap, rozsunie. Doznasz gwałtownej erekcji. Krew

uderzy ci do głowy. Znów się pohamuj. W tym stanie podniecenia przywiąż jeszcze nogi Junilli do haków, jak przedtem wiązałeś r^ce. Odczuj triumf prawdy. Nasyć się i jednocześnie poirytuj widokiem tej obleśnej, nagiej niewinności, którą zdemaskowałeś i rozkrzyżowałeśnsobie u stóp. Przypatrz się dygotowi ciała, wstrząsom piersi, bezsilnym podrygom brzucha, ud, rozwarciu i poruszeniom sromu. Zwal się całym ciężarem tułowia na to bezwstydne rozwarcie. Nie zapomnij o powrozie. Musisz go mieć w pogotowiu. Być może, zapragniesz połaskotać powrozem szyję Junilli. Zrób to. Przymknij oczy. Nasłuchuj odgłosów przerażenia, jęków i próśb. Czując pod sobą beznadziejne próby wierzgania, poszukaj celu. Wbij się do wnętrza, aż usłyszysz pisk, wycie i rzężenie. Gdy będziesz przeżywał orgazm, zarzuć pętlę na gardło dziewczyny, a potem, trzymając koniec powroza, zerwij się, odskocz jednym susem i zaciśnij pętlę. Po śmiertelnym trzysku, który się rozlegnie, wpocznij.

Zechcesz pewnie poleżeć jakiś czas w spokoju. Masz do tego prawo. Odprężywszy się całkowicie, wstań, załóż spodnie i rozwiń tych bydlęcych, którzy uprzednio przywieźli ci do więzienia Junillę. Każ usunąć zwłoki. Wystawienie trupa na widok publiczny nie należy już do ciebie.

Jacek Bocheński

Barbara Sadowska

W I E R S Z E

x

x x

i tak z mego wieżowca zaczęli wyskakiwać ludzie
w lakierowanej zawsiłej na jednej z anten torebce
świstek: nie winić nikogo, jakoś nie mogłam się przecisnąć
Po drugiej stronie drżące i przekreślone: dezintegracja p
wna...
proszę się rozstąpić! Proszę się rozejść! Trupaście nie w
lil
i tak ruchliwość licytacji udziela się ruchomościom
martwe nabiera życia jak u Caldera
obrzeżanie nieobecnego to uobecnianie Robimy to ciągle
i nie ma się czego wstydzić klatek kagańców skalnych ogró
akwariów To my żelaznych snów kowale wysiadamy po prostu
nieprzypadkowych stacjach kiedy zaczyna się zabawa w nabi
nie
wody w usta w otwieranie ognia w pieczętowanie niemowląt n
wo
kat na prawo ofiara na prawo kat na lewo ofiara
codzienność schlebia sacharyną a trzepoczący w słowach gr
ochodzo zbiera się do dzieła
otworzyć usta serce mózg i martwe nabiera życia jak u Cal
lub zgarnąć zmówić uruchomić co jest
w kukiełki na UNICEF

x

x x

jest w dotykaniu rąk przyjaciółża
jest w pożegnalnym dotykaniu rąk przyjaciół
delikatna gwałtowność
którą zaczynam rozumieć

---

iść za głosem płaczu i zgrzytania zębów
iść omijając lustra
z których patrzy powszechna
radosna twarz niewolnika

---

tęsknić do leżenia pod rozłożystym drzewem
i do rozważań co może się wydawać a co nim jest
formą działalności przestępczej we własnym życiu
tęsknić do leżenia pod rozłożystym drzewem
bez wizji
nadchodzącego przyjaciela lub nieprzyjaciela
politycznego

Jakub Karpiński

Ossowski i Tocqueville

(o zadaniach ładu społecznego)

Artykuł ten dotyczy pewnego zbieżnego poglądu wadzonego przez Stanisława Ossowskiego i Alexisa de Tocqueville'a. Dwa nazwiska wymienione obok siebie mogą wydać się dziwne. Łączy je jednak zespół zagadnień nie bezpośrednio z nimi związanych.

Będzie mowa o koncepcji typów ładu społecznego, którą Stanisław Ossowski przedstawił w roku 1959, w referacie "Warunki i konsekwencje planowania społecznego", wygłoszonym na IV Międzynarodowym Kongresie Socjologicznym. Również w roku 1959 w "Studiach Filozoficznych" ukazał się artykuł Ossowskiego "Koncepcje ładu społecznego a typy idealne" (artykuł stał się później jednym z rozdziałów pracy "O osobliwościach nauk społecznych").

Ossowski zaczyna rozumowanie od wskazania trzech zasad kształtowania się działań zbiorowych. Działania te mogą być wyznaczone, po pierwsze, przez wspólny ośrodek decyzji, po drugie, przez interferencję decyzji poszczególnych osób lub grup, po trzecie, przez uwewnętrznione wzory postępowania, wchodzące w skład kultury jakiejś zbiorowości.

Tradycyjny zbiorowy taniec plemienny jest przykładem zbiorowego zachowania się kształtowanego przez uwewnętrznione wzory postępowania. "Dancing wielkomiejski - gdzie poszczególne pary tańczą, każda po swojemu, zaczynają i kończą w dowolnych momentach, a ich poruszanie się po sali jest uzależnione od ruchów innych nie skoordynowanych par" - to przykład działania zbiorowego wyznaczonego przez interferencję decyzji. Ilustracją na działaniu konsensowym jest zbiorowym zachowaniem

się wyznaczonym przez decyzje jednego ośrodka.

Odróżnienie to można traktować dwojako: może to być odróżnienie trzech typów idealnych zbiorowego zachowania się (różnią się one sposobem, w jaki zachowanie się jest wyznaczane), a może to być także odróżnienie trzech (współistniejących na ogół) sposobów wyznaczania realnych zachowań się w zbiorowości.

W każdym społeczeństwie zachowanie się jednostek jest w jakimś stopniu kształtowane przez wzory kultury. Pary na dancingu odnoszą się jakoś do przyjętych wzorów tańca. W zbiorowości zorganizowanej co najmniej niektóre działania jednostek są wynikiem decyzji centralnej władzy. W dodatku w każdym świadomym działaniu jakaś rola przypada indywidualnym decyzjom. Decyzje te mogą dotyczyć konformizmu lub nonkonformizmu wobec wzorów kultury (zachowanie się jest wtedy wyznaczone w sposób niejednorodny: zarazem przez wzory kultury i przez indywidualne decyzje). Indywidualne decyzje mogą też dotyczyć podporządkowania się otrzymywanym rozkazom (i wtedy także zachowanie się jest wyznaczane niejednorodnie). Rozkaz, jeśli nie jest wykonywany bezrefleksyjnie, nie stanowi jedynego motywu działania.

trzem typom zbiorowego zachowania się Ossowski przyporządkowuje trzy typy ładu społecznego, wyodrębnione ze względu na to, jaka w danej społeczności panuje zasada kształtowania się działań zbiorowych.

Ład przedstawień zbiorowych, to sytuacja w której życie społeczne jest kształtowane przez wzory postępowania, wchodzące w skład kultury danej społeczności. Wzory te są przyswojone przez członków zbiorowości i przekształcone w dyspozycje do zachowań. Ład przedtsawień zbiorowych pozwala na przewidywanie zachowań, jeśli zna się wzory kultury (nie koniecznie powszechne, czasem specyficzne dla poszczególnych ról społecznych) i

jeśli znany jest stopień przyswojenia tych wzorów.

W porządku policentrycznym życie społeczne jest wyznaczone przez interferencję decyzji, jest wypadkową nieskoordynowanych działań. W tym systemie można przewidywać działania, znając motywacje osób działających i relacje między tymi osobami (na przykład, znając prawdopodobieństwo kontaktów społecznych danego rodzaju, co jest ważne, gdy kogoś interesuje rozprzestrzenianie się innowacji, obyczajów, mody lub plotki).

W porządku monocentrycznym, życie społeczne jest regulowane przez wspólny ośrodek decyzji. Jeśli w tym systemie ładu pragnie się przewidzieć rezultaty działań zbiorowych, trzeba znać cele ośrodka decydującego, wiedzieć, jakimi zasobami ów ośrodek dysponuje, a także wiedzieć, co ośrodek decydujący wie, to znaczy , jakie środki skłonny jest uznać za właściwe do realizacji poszczególnych celów.

Przewidywanie komplikuje się w niejednorodnych systemach ładu społecznego, to znaczy w takich, w których działania zbiorowe wyznaczane są na różnych zasadach.

Wydaje się bowiem, że można odróżnić trzy czyste typy ładu społecznego (zgodnie z ideą Ossowskiego, przedstawioną powyżej) oraz rozmaite typy mieszane, w których poszczególne zasady wyznaczania działań zbiorowych współistnieją ze sobą.

Ossowski wyodrębnił ostatecznie cztery typy ładu społecznego i twierdził, że jego typologia jest wynikiem skrzyżowania dwu dychotomicznych zasad podziału. Jeśli bowiem skrzyżować dwa kryteria dychotomiczne, uzyska się cztery możliwości.

Oto kryteria sformułowane przez Ossowskiego:

Pierwsze kryterium związane jest z interferencją decyzji: albo na rezultat działań zbiorowych wpływa interferencja decyzji (tak jest w przypadku porządku policentrycznego) albo

interferencja decyzji nie wpływa na działanie (tak jest w przypadku ładu przedstawień zbiorowych i porządku monocentrycznego).

Drugie kryterium dotyczy koordynacji działań: albo działania są koordynowane przez jeden wspólny ośrodek decyzji (tak jest w przypadku systemu monocentrycznego) albo nie są koordynowane przez jeden ośrodek (koordynacja taka nie występuje w ładzie przedstawień zbiorowych i w porządku policentrycznym). Uwzględniając dwa kryteria, Ossowski buduje następującą tabelę:

		Czy działania zbiorowe są kształtowane przez interferencję decyzji?	
		nie	tak
Czy działania zbiorowe są kształtowane przez centralny ośrodek decyzji?	nie	ład przedstawień zbiorowych (1)	porządek policentryczny (2)
	tak	porządek monocentryczny (3)	system porozumień (4)

Opisywany przez Ossowskiego system monocentryczny odpowiada dokładnie kategorii (3): działania zbiorowe są w tym przypadku koordynowane przez wspólny ośrodek decyzji, a interferencja decyzji nie odgrywa roli w kształtowaniu działań.

System policentryczny odpowiada kategorii (2) i ma własności przeciwne niż system poprzednio omówiony: działania zbiorowe nie są koordynowane przez wspólny ośrodek decyzji, natomiast w ich kształtowaniu odgrywa rolę interferencja decyzji.

Ze względu na przeciwstawność cech, porządek monocentryczny i porządek policentryczny umieszczone są na przekątnej tabeli. Można jednak spytać, czy podobnie przeciwstawne są właściwości dwu pozostałych typów ładu. Okazuje się, że nie.

To, co Ossowski nazywa ładem przedstawień zbiorowych, zawiera się w kategorii (1), ale nie jest z nią tożsame. Zan-

są wszystkie trzy zasady , wyodrębniające proste systemy ładu).

W ten sposób można by mówić o ośmiu typach ładu społecznego: o czterech typach mieszanych i czterech czystych, innych niż u Ossowskiego, bo dochodzi sytuacja jakby zerowa: trzy wymienione uzyskują wtedy wartość negatywną - ośrodek centralny nie steruje, zachowania nie są wyznaczane przez interferencję decyzji ani przez uwewnętrznione normy i wzory postępowania.

Pewnego rodzaju odkryciem Ossowskiego jest "system porozumień", umieszczony w tabeli jako czwarty typ ładu. Na podstawie dotychczasowej analizy wydawałoby się, że jest to jeden z typów mieszanych. Według autora, ten czwarty typ ładu społecznego istnieje w zbiorowości, w której jeden wspólny ośrodek koordynuje działania, ale na ich rezultat wpływa także interferencja decyzji. Ossowski nie omawiał natomiast zależności norm i wzorów postępowania w tym typie ładu społecznego.

Przyjrzyjmy się dokładniej opisowi "czwartego typu ładu społecznego". W przypadku ładu przedstawień zbiorowych okazało się, że opis był bogatszy niż by to wynikało ze skrzyżowania dwu kryteriów. Tak samo jest w przypadku systemu porozumień. Określenia porządku policentrycznego i monocentrycznego zostały wprost podane w tabeli. Natomiast pozostałe dwa systemy wymagają określeń dodatkowych.

Opisując "czwarty typ ładu społecznego", Ossowski pisze o policentrycznej interferencji, prowadzącej do skoordynowania działań. Wydaje się zatem, że charakterystyka "czwartego typu ładu społecznego" (nazywanego systemem porozumień") zakłada istnienie wielu grupowych ośrodków decyzji. W programowej pracy " Ku nowym formom życia społecznego" Ossowski pisał wprost o "systemie międzygrupowych porozumień". "a nazwa ma podkreślać rolę grup pośredniczących w proponowanym przez Ossowskiego w tej pracy sposobie organizacji przyszłego społeczeństwa.

stwa.

Poprzednio była mowa o tym, że kierowanie się uwewnętrznionymi normami i wzorami stanowi dodatkowe kryterium wyróżnienia jednego z typów ładu (ładu przedstawień zbiorowych). Okazuje się, że charakterystyka systemu porozumień jest oparta na jeszcze jednym dodatkowym kryterium. Kryterium tym jest istnienie lub nieistnienie grupowych ośrodków decyzji.

Oczywiście, chcąc odróżnić rozmaite rodzaje systemów społecznych, trzeba uwzględniać rozmaite kryteria. W prowadzonej tu analizie istotne jest jednak, że Ossowski rzeczywiście uwzględnia dodatkowe kryteria w opisie poszczególnych systemów ładu. "Czwarty typ ładu społecznego" to, zgodnie z niektórymi stwierdzeniami autora, system, w którym między poszczególnymi ludźmi i decyzjami ośrodka centralnego pośredniczą jeszcze grupowe ośrodki decyzji.

jest to kryterium niezależne od pozostałych. Istnienie (lub nieistnienie) grupowych ośrodków decyzji to co innego niż interferencja d cyzji. Interferncja decyzji może zachodzić po ich podjęciu przez poszczególnych ludzi, bez pośrednictwa zbiorowości. Istnienie grupowych ośrodków decyzji jest również czym innym niż istnienie jednego centralnego ośrodka d cyzji. Grupowe ośrodki decyzji mogą istnieć wtedy, gdy istnieje jeden centralny ośrodek decyzji, ale także i wtedy, gdy taki jeden pśrodek nie istnieje.

Przyjmijmy teraz umowę terminologiczną, polegającą na tym, że systemy, w których działania są kształtowane przez centralny ośrodek decyzji, nazwiemy systemami monocentrycznymi. Ossowski odróżnia dwa rodzaje takich systemów, jednym z nich jest system, którego modelem jest zdyscyplinowana armia. Jest to ład społeczny, w którym nie występuje interferencja decyzji

i nie ma pośredniczących ośrodków grupowych. Można by ten system nazwać prostym monocentryzmem.

Ossowski pisał także o systemie monocentrycznym z interferencją decyzji i z pośredniczącymi ośrodkami grupowymi. Jest to "czwarty typ ładu społecznego", który za Ossowskim można by określać jako "system międzygrupowych porozumień".

System międzygrupowych porozumień jest typem ładu może rzadko spotykanym w rzeczywistości, bywał jednak nadzieją tych, którzy chcieli łączyć zalety centralnego planowania z poszanowaniem ludzkiej wolności i z zapewnieniem ludziom wpływu na decyzje, które ich dotyczą.

Tak więc istnienie (lub nieistnienie) ośrodków pośredniczących jest dodatkowym kryterium rzeczywiście stosowanym przez Ossowskiego. Jeśli jednak uwzględni się to kryterium, to można wskazać jeszcze jeden typ systemu monocentrycznego: system monocentryczny z interferencją decyzji, ale bez grupowych ośrodków pośredniczących. System ten można by nazwać plebiscytową demokracją bezpośrednią. Interferencja decyzji może bowiem polegać na ich wyznaczaniu przez głosowanie. Może także w tym typie ładu przebiegać w inny sposób, jednak nie upośredniczony przez zbiorowe ośrodki porozumienia i decyzji.

To właśnie za czasów Tocqueville'a Ludwik Napoleon w niecałe trzy tygodnie po zamachu stanu zorganizował plebiscyt, w którym olbrzymia większość głosujących zatyfikowała zamach stanu (7,5 mln głosów, co stanowiło aż 92 % głosujących, przy niewielkiej absencji). W rok później jeszcze znaczniejsza większość zadecydowała w plebiscycie o przywróceniu cesarstwa (7 mln 800 tys.). Tocqueville, do którego jeszcze wrócimy, po zamachu stanu wycofał się z życia politycznego, w którym dotąd aktywnie uczestniczył.

Ale uwzględnione przez Ossowskiego kryterium istnienia (lub nieistnienia) grupowych ośrodków decyzji można odnieść również do systemów policentrycznych. Na podstawie podanych przez Ossowskiego przykładów można sądzić, że pisząc o systemie policentrycznym Ossowski miał na myśli system z interferencją decyzji, ale bez grupowych ośrodków pośredniczących. Takim systemem byłby wolny rynek, na którym występują indywidualni producenci i indywidualni konsumenci. Rezultat decyzji, dotyczących zakupów, produkcji i zatrudnienia, jest wtedy bezpośrednią wypadkową decyzji indywidualnych. Można by ten system nazwać policentryzmem zatomizowanym.

Ale jest przecież możliwy inny system policentryczny. Taki, w którym występują grupowe ośrpdki decyzji. Byłby to policentryzm zorganizowany.

Kiedy polemizuje się z klasycznym liberalizmem w ekonomii, zadanie jest łatwiejsze, jeśli liberałów zwalcza się jako zwolenników gospodarki, zorganizowanej w duchu policentryzmu zatomizowanego. Ale jest też do pomyślenia - a ponadto w wielu krajach i w wielu działach gospodarki jest realizowany - system policentryczny, w którym producenci, pracownicy i konsumenci powołują organizacje broniące ich interesów, tworzone na różnych, nie pokrywających się ze sobą zasadach. Taka gospodarka jest realizacją ładu społecznego, który nazwaliśmy policentryzmem xxxxxxxxxxx zorganizowanym.

Systemy, w których brak jest grupowych ośrodków decyzji są "zatomizowane": ludzie działają tam w izolacji, nie ma koalicji i nie przekształca się decyzji przez łączenie decyzji indywidualnych. Na doniosłość tak zwanych "ciał pośredniczących" zwracał uwagę Monteskiusz. O systemie międzygrupowych porozumień pisał Ossowski. Ale podkreślmy: międzygrupowe porozumienia, omawiane przez Ossowskiego, mogą wys-

tąpić nie tylko w ładzie monocentrycznym (mamy wtedy typ ładu nazywany przez Ososowskiego "systemem porozumień"), ale i w ładzie policentrycznym (który jest wtedy "policentryzmem zorganizowanym").

Socjologowie, może dzięki filozofom nauki, lubią analogie termodynamiczne. Odwołamy się do takiej analogii. Dostrzegalne bezpośrednio i stwierdzane za pomocą przyrządów makroskopowe własności gazów i cieczy (takie jak temperatura) są, jak wiadomo, wyznaczane przez własności mikroskopowe (czyli przez własności cząsteczek i przez oddziaływanie między nimi). Cząsteczki poruszają się i zderzają się ze sobą i na przykład temperatura gazu zależy od średnich prędkości cząsteczek. Na podobnej zasadzie funkcjonuje opisywany przez Ososowskiego model policentryczny. Cząsteczki nie tworzą koalicji i zrzeszeń, których własności pośrednio decydowałyby o własnościach całości. Odosobnionymi cząsteczkami stają się ludzie w systemie policentryzmu zatomizowanego, ale także w plebiscytowej demokracji bezpośredniej, w której władza uwzględnia zachowanie się poszczególnych jednostek z osobna, wyrażone w jakiegoś rodzaju głosowaniu lub choćby w badaniach opinii publicznej.

Plebiscytowa demokracja bezpośrednia nie jest systemem porozumień, ale co najwyżej systemem konsultacji władz z poszczególnymi ludźmi występującymi odrębnie. A decyzje ośrodka centralnego mają wtedy wpływ zachowania się izolowanych jednostek. Jest to inna sytuacja niż w prostym monocentryźmie, gdzie takiego wpływu nie ma. Prosty monocentryzm jest, jak pisze Ososowski, systemem cybernetycznym (stanom "wejść" przyporządkowane są stany "wyjść"). Ale zauważmy, że jest to system cybernetyczny bez sprzężeń zwrotnych. W plebiscytowej demokracji bezpośredniej istnieją sprzężenia zwrotne, ale mają

inny charakter niż w systemie porozumień, w którym władza uwzględnia działania i decyzje wypracowane w pośredniczących ośrodkach grupowych.

Dotychczasowe rozważania prowadzą do następującego rozwinięcia początkowego schematu Ossowskiego:

		Czy działania zbiorowe są kształtowane przez interferencje decyzji?			
		nie		tak	
		Czy zbiorowość kieruje się uwewnętrznionymi normami i wzorami postępowania?		Czy istnieją grupowe ośrodki decyzji?	
		nie	tak	nie	tak
Czy działania zbiorowe są kształtowane przez centralny ośrodek decyzji?	nie	dezorganizacja, izolacja społeczna, anomia (1)	ład przedstawień zbiorowych (2)	policentryzm zatomizowany (skrajny model liberalizmu) (3)	policentryzm zorganizowany (policentryzm z koalicjami) (4)
	tak	prosty monocentryzm nie oparty na indoktrynacji (despotyzm, tyrania) (5)	oparty na indoktrynacji (organizacja wyznawców) (6)	plebiscytowa demokracja bezpośrednia (7)	system międzygrupowych porozumień (monocentryzm z koalicjami) (8)

Analizując tekst Ossowskiego, można wnioskować, że cztery typy ładu społecznego, o których Ossowski pisał, to ład przedstawień zbiorowych (2), policentryzm zatomizowany (3), prosty monocentryzm (5=6) i system międzygrupowych porozumień (6). Jak widać, typologia Ossowskiego nie wyczerpuje wszystkich wyłaniających się możliwości.

Typologie, czasem odbiegające od rzeczywistości, buduje się między innymi po to, by łatwiej było opisywać sytuacje rzeczywiste. Opis może bowiem polegać na stwierdzeniu, jak dalece sytuacja rzeczywista odbiega od uproszczeń, które założono w sytuacjach scharakteryzowanych typologicznie.

Zwróćmy uwagę na modyfikacje lub uzupełnienia, jakich trzeba dokonać posługując się typologią Ossowskiego przy opisie rozmaitych zbiorowości społecznych.

1. Dość powszechne są sytuacje pośrednie, w których działania zbiorowe wyznaczone są nie tylko w jeden sposób. Na ostateczny rezultat, jakim jest działanie zbiorowości, mogą wpływać decyzje ośrodka centralnego, decyzje indywidualne, ustalenia dokonane w zbiorowościach i organizacjach pośredniczących, wzory kultury.

2. Wymieniono cztery sposoby kształtowania działań występują w różnych zbiorowościach w mniejszym lub większym zakresie i z różnym nacileniem. Wskazanie tych sposobów może więc służyć do porządkującej klasyfikacji systemów ładu społecznego, uwzględniającej cztery wymiary, różnicujące systemy społeczne.

3. Można osobno analizować podsystemy społeczne, wchodzące w skład danego systemu. System w znacznej mierze monocentryczny może mieć podsystem sterujący, który sam będzie policentryczny lub będzie w znacznej mierze kierowany tradycją. Policentryczny rynek, na co zwraca uwagę Ossowski, może współistnieć z monocentrycznym kierownictwem w zakładach pracy. W policentrycznym społeczeństwie może istnieć monocentryczna armia i policja, jako enklawy, czasem rozrastające się, rozszerzające zakres swego działania i zagrażające policentryzmowi.

4. Kryterium Ossowskiego dotyczące znaczenia istnienia lub nieistnienia centralnego ośrodka decyzji jest uproszczeniem sytuacji, która może polegać na tym, że decyzje są podejmowane w zhierarchizowanej organizacji i przez wiele ośrodków (z których jakiś może być szczególnie wyróżniony i uprzywilejowany w sprawowaniu władzy). Możliwe są rozmaite schematy strukturalne podejmowania decyzji a także ich realizowania. A na ogół dopiero

w trakcie

realizacji nadaje się decyzjom kształt ostateczny, interpretuje się je, precyzuje i zmienia. Wiedzą o tym ludzie, którzy praktycznie lub teoretycznie interesują się realizacją planu w systemach planowania centralnego. Podobne zjawiska przekształcania i interpretowania decyzji występują zresztą także w fazie przygotowywania planu. Podział systemów na monocentryczne i policentryczne zdaje sprawę z różnic zasadniczych, nie uwzględnia jednak komplikacji, związanych z istnieniem i funkcjonowaniem grupowych ośrodków pośredniczących, z hierarchią organizacyjną i z wielością ośrodków, w których podejmuje się i interpretuje decyzje.

5. W systemach, które nie są "zatomizowane", w których istnieją grupowe ośrodki podejmowania decyzji, warto zwrócić uwagę na różne zasady wyodrębniania tych ośrodków, a także na różnice w ich liczebności. Istnieją na przykład systemy policentryczne o dwu zasadniczych ośrodkach pośredniczących i systemy o większej liczbie takich ośrodków. Tę zasadę odróżniania uwzględnia się w klasyfikacji systemów partyjnych. Wiadomo, że systemy, w których występują dwa równoległe pośredniczące ośrodki decyzji, dają sobie względnie dobrze radę z konfliktami. Łatwiej wtedy o ujawnianie konfliktów i o ich rozwiązywanie w pełnym świetle. Na tym biegunowym modelu oparty jest proces sądowy, jeśli nie jest procesem inkwizycyjnym (jeśli stosuje się w nim zasadę kontradyktoryjności). Systemy, w których występuje wiele równoległych ośrodków pośredniczących (a nie tylko dwa) skłonne są do zmienności koalicji i bywają niestabilne.

6. Niekiedy trzeba użyć różnych kategorii typologicznych do opisu poszczególnych etapów podejmowania i realizowania decyzji: przygotowanie decyzji może przebiegać zgodnie z re-

gułami któregoś z systemów policentrycznych. Jej podjęcie może następować w jednym tylko ośrodku, a realizacja decyzji i związane z tym jej przekształcenia mogą mieć znów charakter policentryczny. Można spotkać się z działaniami, które we wstępnej fazie są planowane i podejmowane przez wspólny ośrodek decyzji, a następnie przybierają kształt ostateczny w drodze interferencji decyzji (może to być interferencja decyzji podejmowanych w instytucjach, na przykład przez kierownictwa przedsiębiorstw). Walka polityczna, dyskutowanie alternatyw i kompromisy zawierane przez rozmaite ugrupowania występują więc czasem w niektórych tylko stadiach procesu podejmowania i realizowania decyzji.

7. Warto zwrócić uwagę na to, że różne dziedziny życia społecznego mogą być zorganizowane według zasad charakterystycznych dla różnych systemów ładu. Tradycje marksistowskie kazałyby zwracać uwagę na sposób, w jaki zorganizowane jest życie gospodarcze i spodziewać się, że sposób ten będzie oddziaływał na inne dziedziny życia społecznego. Monocentryczna organizacja gospodarki jest w zasadzie dorobkiem XX wieku, choć zbliżała się do niej tak zwana formacja azjatycka, w której znaczną rolę odgrywało niewolnictwo państwowe. Monocentryczne systemy polityczne można znaleźć już u zarania dziejów, a rozbudowaną analizę takich systemów przynosi "Polityka" Arystotelesa. Monocentryczne panowanie ideologiczne to również sprawa dawna, ale dawniej częściej wiązano panowanie ideologiczne z uwewnętrznieniem norm i wzorów postępowania, a więc z elementami ładu przedstawień zbiorowych. Dorobkiem dwudziestowiecznym jest monocentryzm ideologiczny bardziej plastyczny, taki, w którym dba się o gotowość do zmiany idei na dany znak.

Artykuł ten rozpoczynał się od przypomnienia - za Ossowskim - zasad kształtowania się działań zbiorowych i trzech

prostych typów ładu społecznego (ład przedstawień zbiorowych, system policentryczny, system monocentryczny). Ossowski, zastanawiając się nad humanizacją centralnego planowania, zwrócił uwagę na czwarty typ ładu: system porozumień i twierdził, że wyodrębnienie tego czwartego systemu wiąże się ze skrzyżowaniem dwu zasad podziału, jakie służyły do wyodrębniania systemu policentrycznego i monocentrycznego. System porozumień miał więc właściwości pośrednie.

Okazuje się jednak, że określenia, jakie Ossowski dawał poszczególnym typom ładu są bogatsze, niż by to wynikało ze skrzyżowania dwu zasad podziału. Opierając się na tych określeniach można klasyfikację Ossowskiego rozbudować i wtedy okaże się, że spośród wielu zarysowujących się możliwości Ossowski wyróżnia tylko niektóre, a inne pomija.

Te wyróżnienia i pominięcia mają znaczenie przy zastosowaniu koncepcji Ossowskiego w polemice z liberalizmem ekonomicznym. Łatwiej polemizować z przedstawicielami tego kierunku, jeśli przeciwstawia się z jednej strony system międzygrupowych porozumień, a z drugiej - policentryzm zatomizowany. Znacznie trudniej byłoby zwalczać liberalizm, gdyby jego obrońcy mówili o policentryzmie zorganizowanym, przeciwnicy zaś o plebiscytowej demokracji bezpośredniej. Między innymi na tym przykładzie okazuje się, że w klasyfikacji systemów ładu społecznego doniosłą rolę odgrywa istnienie (lub nieistnienie grupowych ośrodków decyzji. ten wymiar analizy struktury społecznej można by wiązać z nazwiskiem Monteksiusza. Tu jednak zostało wybrane nazwisko Tocqueville'a.

Często mówi się o życiu społecznym w szerokim sensie, mając na myśli to wszystko, co się w społeczeństwie dzieje. Ta metafora biologiczna ma jednak zastosowanie przede wszystkim

w odniesieniu do tych typów ładu, w których występują ośrodki pośredniczące. Ludzie nie są wtedy izolowani i ich działania nie przypominają ani musztry na dziedzińcu koszarowym, ani nieskoordynowanego ruchu cząsteczek badanego w termodynamice. Jak stwierdzono, życie zaczyna się tam, gdzie cząsteczki tworzą koalicje.

Systemy, które zbliżają się do prostego monocentryzmu, w miarę tego zbliżania się niszczą życie społeczne. Może to być wygodne i użyteczne, jeśli pragnie się rozszerzać zakres władzy, jeśli zmierza się do władzy całościowej. Ale takie dążenie jest obosieczne. I tu warto odwołać się do Tocqueville'a. W "O demokracji w Ameryce" Tocqueville wiele pisał o roli stowarzyszeń, przeciwdziałających zarówno słabości izolowanych jednostek jak i tendencjom rządu do centralizmu. Sięga druga "Dawnego ustroju i rewolucji" zdaje sprawę ze stanu społeczeństwa francuskiego u schyłku XVIII wieku. Oto pogląd, którym Tocqueville kończy opis stanu klas społecznych ówczesnej Francji: "... prawie wszystkie zgubne przesądy, które tu opisałem, zawdzięczają bądź swoje istnienie, bądź trwałość, bądź rozwój sztuce uprawianej przez większość naszych królów - sztuce dzielenia ludzi po to, by móc nimi rządzić bardziej bezwzględnie.

Ale kiedy mieszczanin został tym sposobem dokładnie oddzielony od szlachcica, a chłop od szlachcica i mieszczanina, kiedy analogiczne dzieło dokonało się w łonie każdej klasy i każda z nich podzieliła się na małe grupki, niemal tak samo od siebie odizolowane, jak jedna klasa od drugiej - wówczas okazało się, że całość społeczeństwa stanowi już tylko jednorodną masę, ale jej cząstki nie są już ze sobą powiązane. Żadne organizmy nie mogły już krępować rządu, ale żadno

też nie mogły mu pomagać. Tak dalece, że cały gmach wielkości tych władców mógł od razu runąć w chwili, kiedy ruszyło się społeczeństwo, stanowiące jego fundament.

I wreszcie ów lud, który jedyny, zdawałoby się, wyciągnął korzyść z błędów i omyłek wszystkich swoich władców - choć rzeczywiście wyzwolił się spod ich panowania, nie potrafił uwolnić się od jarzma fałszywych poglądów, zgubnych przyzwyczajeń i złych skłonności, jakie mu tamci przekazali lub pozwolili przejąć. Zdarzało się, że nawet korzystając ze swoich wolności zachowywał dawne zamiłowania niewolnika, równie niezdolny, by rządzić się samemu, jak bezwzględny okazał się dla swoich nauczycieli."

Jakub Karpiński

U C I E C Z K A D O N I E B A

(fragment powieści)

STRAŻNIK: - No, chłopcy, do łóżek.

Co za poufałość, ostatecznie ja odpowiadałem za wszystko. Strażnik, przecierając oczy, przechylił się poprzez próg pokoju. Ziewał. Nagle zatrzymał si ą w pół słowa, cofnął na korytarz i zaczął nasłuchiwać. Trwało to pół minutki. Potem, w dalszym ciągu nasłuchując, wlał nas gestem.

- Stary jestem, lecz wydaje mi się, że tam na dole ktoś jest.

Muszę się przyznać, że nic nie słyszałem.

- To niech pan idzie zobaczyć - powiedziałem.

- O nie, nie,panoczku. Stary jestem, ale mi życie miłe.

Nazałem mu zabrać ze sobą Dziełaka i rarytę. Poszli. Zostałem sam na górze. Choć nic podejrzanego nie słyszałem, czułem w sobie dreszczyk emocji. Rozumie pan, pracowałem krótko... a może jednak...

Usłyszałem na dole szuranie, potem jakieś podniesione głosy. Chłopców się nie bałem, nie przychodziło mie wtedy na myśl, że mogą właśnie mnie zrobić coś złego. Najgorsze te szelesty, skrzypienia... I oto ujrzałem, jak za triumfalnie wstępującym Stypą chłopcy prowadzili Plewę.

- Wawco - z daleko już wołwał Dziełak. - Zeszliśmy na dół. Wziąłem taboret. Reszta za mną. Wskoczyłem i szybko zapaliłem światło. I co widzę? ten... ten ptaszek stoi.

Wszyscy zaśmiali się cichutko. Widocznie jednak też trochę się bali. Patrzyli na mnie.

- Co masz, hm... na swoje wytłumaczenie? - spytałem sotro.

- Ja... ja zszedłem do kuchni i chciałem coś zjeść... głodny jestem... naprawdę...

-- Nie udawaj świra -- szturchnął go Dziełak. -- Za kogo masz wawcę?

-- Naprawdę, naprawdę -- składał ręce Plewa.

trzeba było coś zrobić.

-- Naprawdę chciało ci się jeść? (Plewa kiwnął głową) -- No dobrze. Wierzę ci -- powiedziałem poważnym tonem. -- Masz tu ciastko. Bierz i na sypialnię...

Chłopcy i strażnik spojrzeli na mnie, mówiąc delikatnie, ze zdumieniem. teraz też powinienem się czerwienić, ale wtedy naprawdę wierzyłem... Mówił przecież: naprawdę, naprawdę...

Plewa wziął paczkę herbatników i wszedł do sypialni. Chłopcy za mną skierowali się do pokoju wychowawcy.

-- Wawco, co wawca zrobił? -- naskoczyli na mnie, gdy byliśmy środku. Przecież on napweno chciał uciekać, Już my się znamy na tym. Rąbnąć go raz w gębę, na pewno się przyzna.

Nie chciałem wierzyć, by mógł mnie tak oszukać. Przecież pytałem się, czy to prawda. Rozmawiałem z nim jak równy z równym i mógł mi przecież wyznać otwarcie, co chciał zrobić. Możliwe, że pod wpływem bicia powiedziałby prawdę. Możliwe... ale ja nie chciałem bić!

Wypadało jednak w jakiś sposób działać, w każdym razie pokazać że się coś robi. Pomyślałem sobie: on tam, w łóżku je teraz moje ciasteczka i zastanawia się - oczywiście docenia moją dobroć i serce. Jak najukochańszemu ojcu powie wszystko... absolutnie wszystko. Okaże się, że mnie wcale nie oszukał. Wtedy Raryta, Dziełak i strażnik pogratulują mi sukcesu. A może jednak...

-- Jak uśnie -- powiedziałem zdecydowanie - zbudzicie go i zaczniemy przesłuchanie.

Człowiek wyrwany ze snu jest bezbronny i bezmyślny jak dziecko, sądziłem więc, że w krzyżowym ogniu pytań, rzucanych podnie-

sionym i zdecydowanym głosem, a nuż uda mi się coś z niego wydobyć. Tylko bez bicia! Co to, to nie!

Poczułem się pewniej. Wydałem polecenie, by Raryta zszedł na dół, do klasy i obejrzał dokładnie okno, czy było otwierane, czy są zadrapania na kratach, czy w ogóle są jakieś ślady... Na strażnika spojrzałem surowo. Sprawdziłem godzinę - było piętnaście po pierwszej.

Raryta przybiegł, przeskakując po dwa stopnie.

- Wawcuniu - szepnął. - Niech wawca idzie zobaczyć... - Nie chciał nic więcej powiedzieć, tylko prosił, bym sam obejrzał.

Zszedłem na dół. W kącie klasy koło okna spostrzegłem ekskrementy.

Istnieje pewien szczególny, powiedziałbym nawet, specyficzny rodzaj okrucieństwa, charkaterystyczny dla ludzi ogarniętych wielką miłością.

Miłość jest uczuciem irracjonalnym, bo wynika z irracjonalnych pobudek - lubię to skądinąd słuszne spostrzeżenie, gdyż znakomicie kompromituje postawę tak zwanego postronnego obserwatora. Już pan wie, jak nienawidzę tej postawy, dla której zagadką jest namiętność jdenostronnie ukierunkowana, wyspecjalizowana... Tylko nienawiścią można objąć cały świat - miłość tyczy szczegółów i każdy wielbi inną część bóstwa. A że wszystkie części już dawno zajęte, trzeba bronić swej miłości, by nie wygasła. O ile jednak namiętność nie rodzi się z rozumu, rozum namiętności broni. Broni jej z całym okrucieństwem, uderzając w dzwony wyprowadzające krew z boku, abyśmy mogli chłoptać ją do woli; szarpiąc wschodzącą bliznę i dręcząc ranę, abyśmy niby włócznie mogli w swoim sercu gościć zawsze

abyśmy mogli w swoim sercu gościć zawsze obolałe dłonie. Moją miłością było - nie bić.

Plewa siedział na łóżku, robiąc głupią i niewinną minę.

- Naprawdę... chciałem tylko jeść... coś zjeść.

Powtarzał ciągle to samo, idąc przy mnie po schodach. W klasie zaczął się rozglądać wolno, omijając wzrokiem kąt. Trwało to chwilkę. Przyciągnąłem go bliżej. Śmierdziało już ob[illegible]no. I wtedy, w dalszym ciągu nie patrząc w kąt, zmiękł jak ciasta.

- Ja wszystko powiem, tak to ja zrobiłem. Och... - spojrzał na mnie i rozpłakał się.

Zastanowiłem się co robić. Bić nie wolno. Trzeba ukarać, ale broniąc swojej miłości.

Kazałem mu wynieść kał w rękach... o tak, zgarnąć w dwie garście... i zanieść do ubikacji.

Nosił ze dwa razy - łzy kapały mu na ręce, z rąk kapało na podłogę. Rozbiegliśmy się ze wiadrem po korytarzu. Plewa stał nad klozetem i wpatrywał się we swoje brudne dłonie.

- Nie wiem, gdzie umyć - szepnął poprzez łzy.

Wskazałem na kloset. Posłusznie pociągnął za sznurek i zanurzył ręce w strumieniu wody.

Dziełak przyniósł wiadro z wodą, szmatę i szczotkę ryżową. Zostawiłem ich razem. Usiadłem znowu w pokoju. Karyta zrobił już dla mnie kawę, zapaliliśmy papierosy i zaczęliśmy komentować wydarzenie. Czasami zaglądał strażnik i mrugał porozumiewawczo. Chłopak śmiał się z Plewy, kilka razy powracał do tego, co się stało, nawet wykazał tyle śmiałości, że zwrócił uwagę na mój brak doświadczenia i łatwowierność. Wyśmiał go na dół, na zwiady. Przybiegł roześmiany.

- Nowcuniu, Dziełak wciągnął Plewę do ubikacji i bawią

nie dał mu czadu: jest już cały czerwony. Przyznał się, że chciał uciekać. Już prawie kończy zmywanie.

Zszedłem sam. Plewa rozebrany do pasa, klęczał z podwiniętymi spodniami od piżamy. Na każde skinienie Dziełaka, wcierał wskazane mu miejsce. Jeszcze tu... i tu... Gdy mnie ujrzał rzał podczołgał się na kolanach i z płaczem błagał, bym przysłał innego chłopaka.

- On mnie zabije!... Proszę go wziąć!... On mnie zabije!

Ruchem głowy dałem do zrozumienia Dziełakowi, by pohamował swe rozbrstwienie. Wręcz zabroniłem mu znęca się nad Plewą.

- Już skończył - powiedział ziełak, by zmienić temat rozmowy.

- Wylej mu teraz dziesięć wiader wody na korytarz - powiedziałem. - Niech ją ściągnie szmatą. I bez okrucieństwa.

W pokoju znowu zapaliliśmy papierosy. zadowoleni, że tak cieławie przebiega noc. Raryta kilka razy schodził na dół - a kiedy wracał, z wymownym uśmiechem uderzał pięścią w otwartą dłoń. Było to trochę bezczelne - zabroniłem przecież, ale oni jakoś nie mobli powstrzymać się od dania lewie nauczki na przyszłość.

Musiałem wykonać troszkę więcej zaradności i zdecydowania. Nie spodziewałem się po tym kroku czegoś nadzwyczajnego... ot, zrobiłem to dlatego, by nikt nie miał do mnie pretensji, iż za niedbałem swych obowiązków. oszedłem wi c sprawdzić łużko lewy. Zrzuciłem koce na podłogę /Musiedłak tak robił, gdy łużko nie było prawidłowo nakryte/, a podniosłem materace - nic nie ma. Już chciałem się cofnąć, ale dla przyzwoitości wsadziłem rękę pod zagłówek i podnszkę. No i znalazłem - leżała tam twarda, dębowa deska z wycyrowanym na niej indianinem i tomahawkiem.

Zadrżały pode mną nogi. Wprawdzie Indianin i tomahawk dojrzałem znacznie później, ale - nie wiedzieć dlaczego - zaraz przypomniałem sobie strażnika, jego rozbitą głowę spoczywającą w kałuży krwi. To ciekawe - zaraz pomyślałem, że deseczka jest przeznaczona dla niego. Proszę mi wierzyć, dla niego, nie dla mnie.

W sypialni niektórzy pobudzili się. Karyta spojrzał na deseczkę, potem na mnie i znowu na deseczkę - po czym pobiegł na dół.

Powtarzałem, że tego już za wiele...

Mówiłem sobie, że tym razem jestem wręcz zmuszony...

Karyta brutalnie ciągnął Plewę. Światło paliło się w sypialni. Na podłodze leżało pudełko od ciasteczek. Z łóżek wychylały się rozespane głowy wychowanków. Karyta podprowadził, ustawił odpowiednio przede mną i odszedł na bok. Plewa - blady z brudnymi kolanami, siniaka i na całym ciele, rozebrany do połowy, w czarnych, ciężkich butach - rozumiał już wszystko.

No i stało się - dostał kolanem w brzuch, potem cios w szczękę przewrócił go na ziemię... Ale prawdę mówiąc, wszystko to było trochę niezgrabne. Biłem przecież pierwszy raz.

Kryta pan, co wtedy czułem? Czułem zapach gnijącego zboża.

Zauważył pan chyba, że u oprawcy rozszerzają się nozdrza. Nie, nie wciągają one zapachu, chociaż aromat jest konkretny... bardziej konkretny niż może to ująć język - swoimi określeniami: balsamiczny, cierpki, drażniący, delikatny, wstrętny, orzeźwiający... Każdy rodzaj okrucieństwa posiada swój zapach, lecz mogę panu opisać tylko mój własny, ponieważ zapach powstaje w nas samych i jest, jak sądzę, pewnym napięciem w mózgu, napięciem pierwotnym w stosunku do układu nozdrzy. Krótko mówiąc, wierci w nerwach, a nie w nosie. Powie pan, że w takim

razie został nam dany. Zgoda. Został nam dany - wszystkim. I całe szczęście, że ja w chwili uderzenia poczułem się tak, jakbym zarył głową w śmierdzącym stogu spleśniałego zboża. Już nigdy potem nie doznałem takiego obrzydzenia - nie doznałem, więc mogę śmiało stwierdzić, że wtedy, jedyny raz w moim życiu dopuściłem się okrucieństwa. Lecz pan, proszą wybaczyć, może stojąc nad swym pierwszym Plewą dotknie wonnej kropli żywicy, spływającej po rozgrzanej korze, by w oddali wypwłmić niszę doliny łanem bursztynowego zboża. I powrócić...

Och! niech się pan nie oburza. Jakże śmieszy mnie ta naiwna postawa.

Patrzy pan ta to wszystko, niby podczas zabijania świni patrzy pan z obrzydzeniem, niesmakiem, bolejąc nad okrutnym losem biednego zwierzęcia, po czym ze zdenerwowania idzie pan do restauracji i zamawiasetkę wódki i nogę wieprzową. A tu dzień bezmięsny, nie ma, pan złości się jeszcze bardziej, może nawet wpisze coś do książki zażaleń...

Podobnie jest z biciem. Przychodzi pan do nas jako nowy pracownik i z obrzydzeniem patrzy, jak Musiedlak kopie wychowanka za to, że podłożył koledze nogę. Oburza się pan, bo pcha do tego pańskie wykształcenie, etyka, wychowanie w porządnej rodzinie. Przysięga pan sobie, że będzie postępował humanitarnie, jak angielska lady. Czas płynie... zauważa pan /a dokładniej, nie zauważa/, że łagodniejsze ekscesy wychowawcy Musiedlaka nierażą już pańskich uczuć i musi pan jakoś sobie specjalnie przypomnieć, że właściwie należałoby się oburzyć. Przyzwyczajenie... Oczywiście jest pan absolutnie za zniesieniem bicia... Absolutnie Ale chłopcy nie słuchają. Dziwi się pan, dlaczego na innych zajęciach jest spokój i wszyscy zachowują się wzorowo. U pana wąś rozmawiają, nie są posłuszni, nawet stawiają opór. Buntuje się

ambicja: wszystkich słuchają, a mnie nie? Zdenerwuje się pan. Krzyknie. Potem krzyczy. I w zdenerwowaniu muśnie pan wychowanka... Właściwie obojętnie, czy w czoło, czy w bark czy nawet pstryknie palcami w głowę... Najważniejsze, że rozpoczął. Następnym razem pstryknie pan już bez zdenerwowania. W innych warunkach pewnie by się to nie zdarzyło, ale u nas, po pierwsze: wszyscy to robią, po drugie: robią to mocniej, o wiele mocniej, po trzecie nie wolno te o robić... ale czasem nawet nie ma innej rady /ój głupia myśl... he, he/. Zresztą mówi pan... i myśli, że to inni biją, a ja - ot jak ojciec, daję klapsa. Czasem nawet kopnie się - Broń Boże mocno, po prostu głupie szurnięcie butem. I tu - niespodzianka, bo nic a nic nie pomaga. Niespodzianka jest przykra, bo stwierdza pan, że bicie nie pomaga, gdy jest lekkie, bezbolesne. Wycofać się? O nie! Jest pan przecież mężczyzną. Poprzestać?Nie!, nie odnosi to przecież skutku. No więc, co? Oczywiście zwiększyć siłę. I zwiększa pan siłę uderzenia - po prostu silniejsze, ojcowskie klapsy. I sprawiedliwie bije pan ręką - wtedy też samego boli. No cóż, trzeba się poświęcać. Specjalizuje się pan na przykład w "kokosach" - zaciśniętą pięścią bije pan w czoło, wystawiając kości palców. Kości nabrzmiewają, puchną, bolą przy uderzeniu - ale z czasem ból przechodzi, ręka się przyzwyczaja, kości twardnieją. Zauważa pan, że danie "kokosa" w wypukłość czoła obok skroni odnosu murowany skutek. Uważany pan jest za specjalistę od "kokosów" i kiedy przywoła pan wychowanka, by mu dać zasłużoną karę, chłopiec trzęsie się ze strachu, schyla głowę, patrzy błagalnie ja kpsiak. Czasem wystarczy panu ta uległość - darowuje pam karę, nie jest pan przecież oprawcą. Ale przewinienia są różne: i cięższe i lżejsze, a kara powinna być dostosowana do winy. I kie-

dyś zdenerwował pana jeden - taki dziwny, który z niewdzięczną nienawiścią na pana spogląda /zawsze się taki znajdzie/, nie uśmiecha się, źle mu z oczu patrzy. Teraz tylko czekać, aż coś zbroi. Woła go pan do siebie i - by złagodzić sytuację - z uśmiechem daje mu pan w łeb linijką. I oto ma pan już narzędzie w ręku. nagle spostrzega pan, że wychowankowie są mniej serdeczni... nie, właściwie to nigdy nie byli serdeczni - powiedzmy, są mniej swobodni. To dobrze. Owszem, dowcipkują z panem, śmieją się, ale są posłuszni, dziwnie posłuszni... Dlatego też ich poszczególne wybryki wydają się zupełnie niestosowne, nawet niedowzolone. Trzeba się więc szybko zdenerwować, złapać cokolwiek jest pod ręką i uderzyć. Nie wytrzymał pan i rąbnął w szczękę pięścią... i pierwszy raz widzi pan jak człowiek /który nie może panu oddać/ leży na ziemi. Żal - nawet wyrzuty sumienia. Potem drugi raz, trzeci... W pokoju wychowawcy opowiada pan: jeden cios i poleciał pod ławkę. Musiedlak pana gasi czymś o wiele lepszym, efektowniejszym, więc następnym razem, widząc, że na pana patrzy, bije pan zręcznie, przykładnie, solidnie... stosując najróżniejsze chwyty dla rozśmieszenia widzów, bo jest pan komediantem, wielkim i nieśmiałym komediantem, jak każdy prawdziwy wkładca. W sprawnie wyinscenizowanym skeczu ofiara zawsze wykonuje cudaczne ruchy - to się potknie, to złapie za ucho, to nie zauważy z tyłu kałuży... lecz widzowie nie śmieją się z ofiary - to tylko pretekst. Okrucieństwo na innym wyzwala w nich odruch zadowolenia, ale to nie oni są ćwiczenie. Ich rechot upewnia pana o tym, że się już bardzo boją.

Cóż widzę, że przstraszyłem pana? Niech się pan jednak nie martwi. Po tym głośnym wypadku, ja i się u nas wydarzył, skończyła się hegomonia wychowawcy Musiedlaka. Mianowicie, na kolumnę ilących chłopców wpadła rozpędzona ciężarówka.

Jak to mówią: kierowca nie wyrobił zakrętu. Masakry nie będę opisywał i nie podam liczby ofiar, by nie kompromitować losu. W każdym razie Musiedla wyszedł z tej jatki bez szwanku. Oczywiście, nie była to jego wina, ale miał nieprzyjemności: wyjaśnienia, przesłuchania, komisje - to nic przyjemnego. Po tych przeżyciach oklapł zupełnie - stał się nerwowy i wprost nieprzyzwoicie przestraszony. Właśnie przysłano zupenie nowych chłopców - to zawsze jest najokropniejsze, co może nas spotkać - Musidlaka można było zastać na zajęciach, jak smacznie spał. Obudzony machał gwałtownie rękami o okropnie krzyczał. I wtedy ja musiałem objąć koło sterwownicze. Umarł Konrad i narodził się kulawy.

Ja musiałem zaprowadzić porządek, przede wszystkim skończyłem z tym biciem anarchicznym, chaotycznym, powiedziałbym nawet - okrutnym - czyli z tym wszystkim, co kojarzyło się z wychowacą Musiedlakiem. Ze zmianą kierownictwa zmieniła się idea bicia.

Na korytarzu wisi gazetka ścienna z wyhaftowanym przez chłopców napisem:NIEMADRY, KTO WSROD DROGI ZE STRACHU STRACIŁ MESTWO, IM WIEKSZE CIERNIE, GŁOGI, TYM MILSZE JEST ZWYCIESTWO; pod tym hasłem przypięte są dwa kawałki bristolu; na jednym wypisano nagrody, na drugim kary: UPOMNIENIE USTNE: UPOMNIENIE NA APELU, NAGANA PUBLICZNA, NAGANA Z WPISANIEM DO AKT, IZOLATKA KARNA." W pokoju wychowawcy, obok planu zajęć wisi na gwoździu gumows kabel z przewodem w środku;ókabel długi na pół metra i grubości serdecznego palca.

Cóż te dwa fakty mają ze sobą wspólnego? Otóż wychowanek, który w danym dniu został, załużmy, upomniany ustnie za zbyt wolne ustawienie się w zbiórce, ten wychowanek przed ciszą nocną, ubrany już w piżamę wchodzi sam, z własnej woli /muszę

to podkreślić, że nikt go nie przyzywa/, zamyka za sobą drzwi, odwraca się, pochyla tak, że palcami dotyka podłogi - wtedy ja zdejmuję kabel z gwoździa i aplikuję jedno uderzenie: wychowanek prostuje się, mówi: przepraszam lub dziękuję, i wychodzi oczyszczony.

Jak pan widzi, skończyłem ze znęcaniem się nad wychowankami, skończyłem z atmosferą strachu, w jakiej przebywali, nie wiedząc kiedy i za co kułak spadnie na ich głowę. Nareszcie zapanowała sprawiedliwość: kara uzależniona jest od przewinienia i tak jak wzrasta stopień kary wypisanej na gazetce, tak wzrasta w postępie geometrycznym ilość uderzeń. Tak, postęp to odpowiednie słowo. Wszystko zostało wyliczone matematycznie i obiektywnie, nawet każde uderzenie jest jednakowo silne. Z tym ostatnim jest trochę trudności - wychowaca Kusiedlak strasznie zawyżał poziom, stosując dla zniszczenia konkurentów rozbieg i przekładankę, jak przy rzucie oszczepem. Ale z czasem człowiek wszystkiego się nauczy, lecz niech pan, broń boże nie myśli, że karzę tylko kablem. Nie, wychowanek otrzymuje jedną karę w dwu postaciach. I tak - upomnienie można by przyrównać do notatki w gazecie, że taki to a taki - dowiedzmy Plewa - został skazany na karę śmierci. A jeden "kabel" - to taniec ciała na stryczku, wybałuszone oczy, trzask kręgosłupa, wywalony język... Upomnienie i "kabel" to treść i forma.

Przyznaję: jestem katem, lecz nie katuję. Kat w odczuciu ludzi jest czymś nieczystym, równym śmieciarzowi, ale nikt nie ma pretensji do niego, że ścina głowę złoczyńcy. Czyż społeczeństwo może nie chcieć się wychować? I ja wziąłem na siebie tę czarną robotę. Tak, biję - nie ma w tym jednak już czynnika emocjonalnego: bicie stało się karą i tylko

karą: kat stał się chirurgiem, a nie sadystą. Gdzież jednak moja miłość? Utracić ją, to objąć nienawiścią cały świat. Lecz nienawiść to cierpienie. Nienawidzieć świata to cierpieć za niego. Kisch mi pan pozwoli w to uwierzyć. Niech mi pan pozwoli tu żyć. Przyjmę za to wszystkich, którzy o własnych siłach nie mogą zwyciężyć pychy i niepokoju, i będę doświadczał ich wszechpotęgą swej ciągle odnawiającej się rany, aby zdarłszy skórę z ich stóp, zawrócić ich z drogi. I teraz wiem, że kiedy Plewa, posiniaczony i nagi, leżał na posadzce z rozrzuconymi rękami, litować powinno się nade mną, gdyż to ja biorę na swe barki jego cierpienie. A ty do którego wysyłamy kadzidlane wici, byś ujawnił swój obraz i potwierdził podobieństwo, wiedz, że trzymałeś się wtedy mego cienia, by być bliżej szkarłatem cuchnącej piżamy naszego wspólnego Kioba, bo odkryłem, że nade wszystko uwielbiasz zapach gnoju.

Plewa wstał ciężko. Chwiał się ze zmęczenia. Na pytanie, kto wiedział o planowanej ucieczce, podał od razu nazwisko Cygana. Nie spodobało mi się tylko, że jakoś tak głupio zasłonił się łokciem.

Kazałe przyprowadzić do siebie współwinowajcę. Wyszedł zaspany. Był bardzo zdziwiony i nie chciał się przyznać, ale Plewa zaczerwieniony, z szeroko otwartymi oczyma wpatrzonymi w twarz Gomana, krzyczał:

Wiedziałeś, rozmawialiśmy przecież wtedy na sypialni. Wiedziałeś. No, przyznaj się!... przyznaj się!...

Poleciłem zaciągnąć Plewę na dolny korytarz, by dokończył pracy. Zaczynał historyzować. Ale jego wypowiedź uznałem /i tu przyzna mi pan rację/ za pierwszy objaw zdrowego, społecznego myślenia.

I choć Goman bronił się i zaprzeczał /cyganie to urodzeni

oszuści/, otrzymał porządną nauczkę za okłamywanie przełożonych.

Około czwartej Plewa skończył swe porządki. Stał teraz na baczność przed strażnikiem, to znaczy kazałem mu stać na baczność, jednak kilkakrotnie zmuszony byłem wychodzić na korytarz, by utrzymać go w kondycji sprzyjającej kształtowaniu nowej, pozytywnej postawy.

Kiedy usłyszałem dzwonek u drzwi, wysłałem Dzielaka i Parytę do łóżek. Przyszedł Musiedlak - strażnik już po drodze opowiedział mu wszystko - wszedł na korytarz, rąbnął Plewę w twarz, nie patrząc się wcale na niego, przestąpił próg pokoju i wyśmiał moją paczkę ciastek.

ć Panie, gdybym to ja był na pana miejscu, on by teraz nie stał na korytarzu, a leżał...

Nie mógł się uspokoić i wybiegł potarmosić Plewę:

- A mówiłem ci..., mówiłem... mówiłem...

Zabuczała syrena.

- Pobudka! - ryknął Musiedlak i zaraz wkroczył do sypialni wybadać, kto zbyt wolno wyskakuje z łóżka. Po sprawdzeniu stanu, pomaszerowaliśmy na dziedziniec.

Było szaro i mglisto. Chłopcy trzęśli się z zimna w swoich wybłakłych piżamach. Musiedlak osobiście poprowadził gimnastykę. Zawsze się chwalił, że robi to najlepiej. Pokazywał ćwiczenie, a Plewie kazał biegać dookoła ćwiczących. Popędzał go stale, więc chłopcy cieszyli się, że na nich nie zwracał uwagi.

- Przysiad podparty. Nogi do tyłu - raz. Nogi do przodu - dwa. I raz... i dwa i raz... i dwa... i raz... Plewa szybciej... i dwa... Raz - Musiedlak położył nogę na plecach Plewy, jakby przygotował się do zdjęcia z ustrzeloną zwierzyną.

- I myjmy r^ce... i dwa...

Wszystko odbywało się sprawnie i szybko. Byłem w trumnie, nie dopuszczając prawie lusiedlaka do pracy. Atmosfera była napięta, nerwowa, ale w tym lepszym sensie, bo chłopcy czując, że coś wisi w powietrzu, starali się swym prawie że mechanicznym, automatycznym zachowaniem pomóc mi w prowadzeniu zajęć. Nikt nie rozmawiał, nie stukał łaszkami, nie trenował szyku... Wystarczyło, żebym zerknął na kogoś, a zaraz ten się robił taki maluteńki... I nawet tarna, zdy - jakże odbute czuję się samotny, otwieram cichutko drzwi /zbyt szybko, by były wolno nasmarowane/ i stawiam się na palcach, nie niepokojąc ciemnoci. Nie darowuję żadnego przewinienia, żadnego błędu... I kiedy znajduję winowajcę, który źle zamiast czuwać, lub wychowanka, który czuwa zamiast spać - oni tłumaczą się przede mną, patrząc mi błagalnie w oczy - wtedy czuję, że jestem wśród naprawdę bliskich mi ludzi.

Tak, pracowało mi się świetnie, choć byłem już tyle godzin na nogach. Z umywalni komendy padały zdecydowanie: Myją zęby? Myją r^ce! Myją twarzi Myją uszy! Myją szyje! Uchwaliłem się między nimi sprężystym krokiem... /czy pan dla czasem nie udziecha? Nie/ No nic, może zresztą przesadziłem trochę/, a więc przechodziłem mi^dzy nimi i sprawnie wyłapywałem wszelkie niedociągnięcia: kto zapomniał pasty do zębów, kto tylko potarł szyję mokrą r^ką, kto nie umył uszu - i natychmiast reagowałem na to niedopuszczalne niedbalstwo. Natychmiast!

A Plewa w biedaczek - nie miał chwili wytchnienia. Cały czas w biegu. Na dyżurach lusiedlak co chwila wołał go do siebie i pytał dosłownie o głupstwo. Łuszko rozrzucił mu kilka razy, a z dyżur sprawdził "specjalnie". Chłopcy też

nie uprzyjemniali mu życia - skoro skompromitował się - przegrał, - a więc nie był nic wart. W jadalni nikt nie chciał siedzieć obok niego, zresztą on nawet nie usiłował usiąść, dlatego Musiedlak kazał mu zabrać blaszany talerz z kawałkiem smalcu i chleb /wziął tylko jedną kromkę, a taki był głodny, he, he.../ wyjść na korytarz i tam jeść z podłogi. Posłuchał bez słowa.

- Kasztan! Kasztan! - posypało się za nim.

Sprawnie przypomniałem, że nie zapisaliśmy chorych na wizytę do lekarza. Zgłosiło się jak zwykle kilku. Jeden powiedział, że gardło go boli.

- Cygańska choroba. Już wróciłeś z badań - odpowiedział Musiedlak, z ustami pełnymi chleba. Potem innemu długo oglądał wrzód na nodze, obmacywał, naciskał.

- No, wyjątkowo - powiedział

- Ale dlaczego Plewa nie zgłasza się po pigułki przeczyszczające?

Chłopcy ryknęli przypochlebnym śmiechem, a Łomako, korzystając z chwili wesołości, wstał, zatkał sobie nos dwoma palcami i powiedział, że chciałby iść do lekarza, bo ma silny katar. Nie można dopuszczać do zbytniego rozluźnienia, więc przykróciłem zaraz lejce.

Wszyscy się ubrali i raźno wyszliśmy na dziedziniec, gdzie miał się odbyć poranny apel. Chłopcy czyścili buty, otrzepywali spodnie z kurzu, spoglądali w niebo, czy pogoda będzie sprzyjała pracy. Plewa zaś zbierał papierki, a potem czyścił ubikację. No i oczywiście na apelu stał w niewyczyszczonych butach. Wśród wysokich murów otaczających dziedziniec rozbrzmiewał nasz hymn:

Twórzmy razem nowe życie
Twórzmy razem nowy świat
W którym szczęście będzie lesze
W którym nowy będzie ład...
I tak chciałbym zakończyć tekst dramatu. Właśnie tak chciałbym zakończyć ten dziwny dzień, który często zaciera się w nas, bo zbyt ważny jest dla pamięci. Więc czy istotnie tak wyglądał? Nie dowie się pan nigdy prawdy. Nie odnajdzie pan wszystkich aktorów. Musiedlak i Zgrabka nie pracują już tutaj, Stypa odszedł na emeryturę, zabiwszy ostatnią świnię, nie ma już między nami i Dziekana i Maryty, i Łomaki, i Dłużyji... Tylko Plewa istnieje - jakże to jednak mało, aby go odnaleźć. Tylko On mógłby potwierdzić, że ja go uratowałem. Uratowałem.

Jan Komolka

OPOWIADANIA MARKA NOWAKOWSKIEGO

M O N G O L Y

Kwaterowali u nas, a jeździli na Wolę. Wola płonęła. Z naszego domu widać było łunę. Mówili w miasteczku, że tam na Woli gwałcą i rabują. Marcelek Biłardzista, który nocą przeprowadził stamtąd swoją rodzinę, widział w gruzach martwą kobietę z odciętymi piersiami. To zrobili oni. My, paka Janka Piechura z Bud patrzyliśmy na nich z ciekawością. Wszyscy w papachach, wyglądali jak zrośnięci ze swoimi kudłatymi konikami. Wracali szosą od wiaduktu, skręcali w ulicę Piłsudskiego. Tak się kolebali na tych swoich konikach, karabiny przewieszone przez pierś, niektórzy mieli szable u pasa, te szable podzwaniały obijając się o ostrogi. Rozmawiali ze sobą gardłową, niezrozumiałą mową, twarze mieli śniade, oczy skośne, wąskie, a włosy czarne, sztywne jak końskie ogony. Mongoły. Tak na nich mówiono. Z Woli zawsze wracali obładowani rozmaitym dobytkiem, ręce opięte aż do łokci zegarkami, palce pobłyskiwały od pierścionków i sygnetów. Widziałem też jednego co budzik sobie powiesił na szyi. Zrabowany dobytek upychali przeważnie w czerwone poduszki, które opróżniali z pierza cięciami szabel i przytraczali do siodeł. Zawsze jednak białe kłaczki pierza wirowały koło nich i osiadały na papachach i końskich grzywach.

Wieczorem napoiwszy konie i puściwszy je na ogrodzony placyk przy piekarni pana Rappa, wybierali się na targ i tam zaczynał się handel. Wszystko można było od nich kupić za spirytus lub bimber. Przekupki z targu dobrze wychodziły na tym handlu. Należało tylko bardzo na nich uważać. Oni byli nieobliczalni. Te przekupki przeważnie handlowały z nimi

pod opieką swoich chłopów. Niejeden z nich ściskał za pazucha siekierę lub kasak. Z każdą samotną kobietą rozmaicie mogło się wydarzyć. Lucynę, tę ładną kelnerkę z Wenecji złapali wieczorem jak wracała do domu. Trzech ich było i z każdym musiała po kolei. Dwóch wykręcało jej Ręce, trzeci przyciskał usta dłonią, żeby nie wrzeszczała i robił swoje. Mówili u nas w miasteczku, że i tak miała szczęście. Oni po wszystkim lubili przygwoździć do ziemi bagnetem i tak zostawali. Tam na Wolli pełno takich przygwożdżonych kobiet. Starsi chłopcy co kity odwalali z pociągów, wybierali się czasem na wolę, myszkowali wśród ruin i opuszczonych mieszkań i rozmaite rzeczy tam widzieli.

Taki Olek Karczoch tylko spluwał na widoka każdego Mongoła i żegnał się zamaszyście.

— Antychrysty — powiadał.

Nie tylko młode kobiety były przy nich w niebezpieczeństwie. Starą Raczkową też dopadli. Babka to przecież, dwóch wnuków już miała, a oni do niej. Stara Raczkowa narobiła wielkiego wrzasku i wydarzenie to miało miejsce blisko posterunku żandarmerii. Zapaliły się tam światła. Na ulicę wybiegli Niemcy. Jeden nawet strzelił. Wtedy oni uciekli.

A jak pohandlowali na targu sobie, odchodzili z flaszkami i bańkami do parku, gdzie przed pałacykiem Koelichena rozpalali ognisko. Piekli mięso nadziane na długi kij i dwóch nieustannie obracało ten kij. Siedzieli kręgiem, kurzyli machorkę, pociągali spirytus z butelki albo wprost z blaszanego kanistra i śpiewali. Rzewnie tak, zawodząco, inaczej niż wszystko co słyszeliśmy dotąd. W tych swoich wielkich papachach, podwinąwszy nogi pod siebie, kołysali się w takt melodii i śpiewali, czasem rytmicznie klaskali w dłonie. Ty, chłopcy z pułku

Janka Piechura z Bud podchodzili[by] my do ogniska jak oparzeni. Oni lubili dzieci. [M]awet moi rodzice przyznawali to niechętnie. [Z]apraszali nas gościnnie, częstowali pieczoną, pachnącą dymem baraniną i mówili pieszczotliwie - maleńki, kinder, albo jeszcze tak jakoś. Tylko dziewczynki musiały uważać. Oni chyba nie rozróżniali wieku. [Z]szowatą Jadźkę od Pronczaków zwabili czekoladą i tak szczypać i głaskać zaczęli, jeden już jej zadzierał sukienkę. Ladzo Kraczak, który miał jedwabnię i oni oczywiście pili u niego, zdążył dopaść do nich i odepchnąć tego co zadzierał Jadźce sukienkę.

- Dziewczonka... - zaczął im tłumaczyć i ręce mu się trzęsły. [P]ostawił palce, pokazując, że ona ma tylko osiem lat. [N]a koniec z jedwabnii wybiegła [P]ronczakowa z litrową flachą bimbru. Wtedy zostawili Jadźkę i zajęli się bimbrem. Ale nam, chłopcom nic złego z ich strony nie groziło. [P]rzy ognisku poznałem się z jednym Mongołem. Miał ubranie na ozdobnych, nabijanych srebrem pasach i spodnie z czerwonymi lampasami. Wyszczerzał mi na dzień garść złotych zębów.

- Bambon - powiedział i w ubraniu łyknął jak burzyn białkami.

[P]a migi dał mi do zrozumienia, że też ma syna. A nazywał się tak jakoś Girej-O[ł] i coś, nie zrozumiałem dokładnie. Wtedy to w odblasku ognia pokazał się krzyż z Panem Jezusem. Ten krzyż stał przy samym palenisku. Wiatr poruszył ogniem kłąb dymu zasnuł krzyż i w ostatnim przebłysku twarz jego Mongoła, dzika, straszna. Odruchowo przeżegnałem się. Czułem się trochę jak w towarzystwie diabła. Podziałało co prawda, ale był też strach. Mongoł pokiwał ze zrozumieniem głową, zaczmokał, dłoń przyłożył do serca i powiedział - Allach.

[P]owiedziałem o tym Jankowi Piechurowi z Bud.

Tak jest - rzekł - zgadza się. Ten ich Bóg nazywa się Łach.

Śmieliśmy się, że tak się nazywa ten ich Bóg Łach.

- Longeży -, spluwał Olek Karczoch co chodził na kitę - co oni mogą mieć za wiarę. Mój stary mówi, że to psia wiara.

Mimo to chciałem jeszcze zobaczyć tego Girej-Ogi czy jak go tam. W następny wieczór znowu podszedłem do ogniska. Ale nie mogłem go poznać. Wszystkie twarze były jednakowe. Siedzieli wokół ogniska z podwiniętymi nogami. Wystające kości policzkowe i wąskie, skośne oczy, a na czole nisko nasunięte papachy. Nie zobaczyłem już nigdy więcej tego Girej-Ogi.

Wanka i przed wyjazdem na Wolę oni przeważnie pili bimber w sodowiarni pana Frączaka. Podobno płacili nie tylko pieniędzmi, ale pierścionkami, obrączkami i monetami ze złota.

- Jak się dobrze rozgrzeją... - opowiadał ojcu pan Frączak - to nawet da radę zarobić, nie powiem, tylko ryzyko paskudne. Nie wiadomo co im strzeli do głowy. - wzdychał pan Frączak i pukał przesądnie trzy razy w niemalowane drzewo. Z jego sodowiarni często dochodziły wrzaski, śmiech, jakby wycie. Stawaliśmy od tyłu tej wpadniętej w ziemię, byle jak sklejonej z desek budy i słuchaliśmy w napięciu. Kiedyś dwóch pijanych mongołów wytoczyło się po schodkach i z szablami na siebie... Dopiero jakiś starszy rangą wjechał koniem między nich, siekając po twarzach do krwi nahają. A ich konie zawsze stały uwiązane do płotu i skubały rzadką, pokrytą kurzem trawę. Te konie też dzikie takie: jeden zarżał, wyszczerzył żółte zęby. Te koni rzucił się za mną. Krótko był uwiązany i tylko trącił mnie bokrym pyskiem w ramię. Wtedy też Janek Piechur z Bud odwiązał od płotu takiego kosmatego, mongolskiego konika. Waląc gałęzią po kłębach i krzycząc przenikliwie, pognał go w stronę

glinianki. Konik rozbrykał się, popędził jak oszalały i wierzgał tylnymi nogami aż iskry szły z bruku. Z sodowiarni wypadł Mongoł, rozglądał się chwilę, zaraz ściągnął karabin i zaczął strzelać na oślep. Ludzie chowali się do bram, a on tak strzelał. Wreszcie kiedy już nie miał nabojów i uspokoił się trochę, to jeden inwalida pokazał mu gdzie pobiegł jego koń. Ten kosmaty konik też się uspokoił już i pasł się na łące między glinianką zwaną Oceanem a tą drugą przy szkole. Oni bardzo dbali o konie, czyścili je zgrzebłem, oglądali kopyta i okrywali derkami po każdym powrocie z woli, klepali po karku i delikatnie muskali w chrapy... te konie też ich lubiły, za jednym kiedy zagwizdał to koń szedł jak pies. Więc jak te konie obładowali rabunkiem zbyt ciężko, to nawet z nich zsiadali. Kiedy znów tam na woli za mało zdołali się obłowić, to potrafili już po naszej stronie torów wpaść do jakiegoś domu, przystawić gospodarzowi karabin do piersi albo szablę pod gardło i wrzeszczeć dziko. I zabierali wtedy co bądź. A jak wypili więcej albo zły humor ich naszedł, mogli taki dom podpalić. Mongoły. Kobiety bały się ich jak ognia. Chociaż bywały w naszym miasteczku takie co same do nich lgnęły. W Pekinie mieszkały trzy siostry. Pan Frączak opowiadał w Wenecji przy bilardzie, że i przed wojną cały komisariat policji granatowej do nich zachodził. Trzy siostry przyjmowały Mongołów. Z okna ich mieszkania do późna w noc rozbrzmiewało dzwonienie szkła i smętne pieśni w niezrozumiałym języku. Raz taki bal z Mongołami przeciągnął się aż do dnia i my, chłopcy z paki Janka Piechura z Budy czailiśmy się w łopianach przy komórkach na węgiel, patrząc bacznie w trzecie okno na parterze. I zobaczyliśmy

kobietę zwróconą plecami do okna w samej tylko koszuli i obłapiały jej plecy męskie, żylaste dłonie. Ona oparta o parapet kołysała się, zrazu miarowo, później coraz gwałtowniej i zza jej pleców wynurzyła się twarz Mongoła z zamkniętymi oczyma i białymi zębami, którymi przygryzał sobie wargi. Widok był straszny i porywający. Doniczka z pelargonią spadła wtedy z parapatu. Ale która to była z tych Trzech Sióstr? Na to pytanie nie moglibyśmy odpowiedzieć. Janek Piechur z Bud próbował później odgadnąć z ich dłoni. Jeżeli zobaczy jakieś pierścionek lub zegarek, znaczyć to będzie - właśnie ta! Jednak wszystkie trzy miały zegarki i wszystkie miały pierścionki. Janek Piechur z Bud doszedł do wniosku, że wszystkie one kolejno z Mongołem.

Murarz Sierotnik opowiadał, że tam na Woli kobietom palce odrąbują szablami, kiedy pierścionka czy obrączki ściągnąć nie mogą.

- Tacy zawzięci... jak za cara Mikołaja co miał wielkie jaja - kończył swoim niezmiennym rymem murarz Sierotnik i toczył się rozkolebanym krokiem ulicą Kościuszki. Zatrzymywał się jeszcze raz i patrzył tam daleko gdzie dymiła Wola.

My, chłopcy z paki Janka Piechura z Bud, bawiąc się w powstańców i Niemców koło szczęśliwickiej wagonowni, zobaczyliśmy jak Mongoł kozę zabrał głupkowatej Wilczyńskiej. Pasała ona kozę na nasypie kolejowym. Mongoł szedł sobie piechotą. Ręce założone do tyłu, jakby spacerował. Zatrzymał się i popatrzył na kozę. Podszedł do głupiej, wyrwał jej z dłoni postronek i pociągnął kozę za sobą.

Ta Wilczyńska rozpłakała się i obejmując go za buty, wołała - Ojczulku, nie zabierajcie jedynej mojej rzywicielki!

Odkopał ją buciorem i zęby złowrogo wyszczerzył. Koza

też mu się opierała i pobekiwała mętnie. Wtedy wyciągnął z za cholewy granat i tak postukując ją granatem po kościstym zadzie, zmuszał do posłuszeństwa. My, paka janka Piechura z Bud, kryjąc się po krzakach, podążyliśny za nim. Doszedł do stacji z kozą. Akurat z dworcowego bufetu dziadka wynurzył się ten Pesel co pracował na poczcie. Chudy, malutki i ostatnio rzadką bródkę sobie zapuścił. Mongół już go mijał. Przystanął, tak przeciągle na niego popatrzył i - mkmmm! - zawołał

Pesel zbladł. On najbardziej obawiał się Mongołów. Nieraz słyszałem jak powiadał do ojca - Azja!... panie szanowny, najgorsza plaga!-

I ten Mongoł wręczył mu postronek. Kazał prowadzić kozę. Tak szli Kościuszki ulicą. Pesel ciągnął kozę, za nim Mongoł obtłukował ją granatem po kościstym zadzie. Ludzie wyglądali z okien, gromadzili się w bramach. Wszyscy się śmieli. Mongoł też się uśmiechał do ludzi i machał im życzliwie ręką.

- Miałem duszę na ramieniu... - zwierzał się potem Pesel ojcu - Konspiracyjna bibuła w kieszeni, a tu taka heca, panie szanowny rozumie! - Ojciec z trudem dusił śmiech i kiwał gorliwie głową. Ten Pesel z tą rzadką bródką i ta koza z tą swoją kozią bródką. Ojciec był przekonany, że konspiracyjna bibuła została wymyślona przez Pesela dla podreperowania ośmieszonego autorytetu.

Ostatni raz widziałem Mongołów w niedzielę. Kołysali się na swoich kudłatych konikach i spoglądali czarnymi, nieprzeniknionymi oczyma przed siebie. Podążali tym razem już nie na Wolę, skierowali się bowiem do krakowskiej szosy. Próbowałem policzyć ich wtedy. Doszedłem do stu dwudziestu i konie ruszyły galopem. Dalej już liczyć nie mogłem. Opuszczali nasze miasteczko.

A później żona Felka Piaskarza urodziła dziecko. Mówili u nas, że z Mongoła. Jej mąż siedział w obozie i ten chłopak, który się urodził niepodobny był wcale do dwóch jego jasnowłosych synów. Śniady, wąskooki, z czarnymi jak drut włosami. Po wojnie Felek Piaskarz powrócił szczęśliwie z obozu i przez długi czas wieczorami tłukł zawzięcie swoją babę, a na tego małego patrzył jak na zarazę. Raz nawet chwycił go za nóżkę i chciał nim o ścianę. Ledwie go przytrzymali sąsiedzi. W końcu się przyzwyczaił i nawet tego małego, czarniawego polubił. Ten mały, Munek przez matkę zwany, jego też. Chodził za nim jak psiak. Chował się zdrowo i dobrze. Już jakoś siedmioletni chłopaczek zaczął prym wodzić wśród swoich rówieśników i nikt się nie ośmielił - Mongoł! - wołać na niego. Bił za to przezwisko bez opamiętania.

Marek Nowakowski

TRYBUN

Gromadka chopaków w beretach i samodziałowych czapkach zbliżyła się do obelisku na Placu defilad. Szli niedbale, popychając się i śmiejąc. Otoczyli kamień i z zainteresowaniem odczytywali odległości od różnych miast Europy. Młody w czerwonej koszulce przystanął nieco na uboczu, znudzony raczej i tylko celnymi strzyknięciami śliny trafiał co raz w któreś z wyrytych w kamieniu miast. Nagle wyprostował się i wykrzyknął - Precz ze sprzedawczykami!!! Dwaj jego kompani rozbili o obelisk butelki po winie.

- Precz!!! - powtórzyła gromadka chłopaków w beretach i samodziałowych czapkach.

- Niech żyje kardynał!!!

Zebrało się już trochę gapiów. Przeważnie młodzi. Okrzyk na cześć kardynała powtórzyli dwukrotnie. Ten w czerwonej koszulce, pełen energii teraz i ożywienia poszeptał z chłopakami. Był wyraźnie ich przywódcą, stał na szeroko rozstawionych nogach, barczysty, kołysał się po cwaniacku, a słowa podkreślał stanowczymi gestami. Jego kompani potakiwali, śmiejąc się i przeklinając. Zaraz dwaj najwyżsi z nich złożyli dłonie na krzyż, zaplatając palce. Na tym siedzieniu z ich dłoni usadowił się przywódca w czerwonej koszulce. Górował nad gromadą gapiów. Gestem dyrygentów zaprosił ludzi do skupienia się i poczekawszy chwilę zaintonował niskim, z lekka ochrypłym głosem Rotę.

Za nich podchwycił pieśń nieskładny chór. Pierw brzmiało to fałszywie i nieudolnie, gubiono słowa i melodię, szybko jednak chór zharmonizował się, melodia wygładziła się i stężała. Przy obelisku zebrał się już dość znaczny tłum, zaś był wtedy pełen wzburzenia i oczekiwania. Chodzili lu-

dzie po mieście i ogarniało ich podniecenie i chęć nielkreślonego działania z byle powodu.

- Co to ma być? - dopytywali przybywający - co będą robić? Ten w czerwonej koszulce wyciągnął rękę.

- Idziemy!!!

Ponieśli go na rękach. Ludzie szli za nim. Szli Alejami w stronę mostu Poniatowskiego. Nie wiadomo skąd pojawiła się biało czerwona flaga, którą powiewać zaczął młody przywódca w czerwonej koszulce. Malowniczo wyglądał i przechodnie przystawali patrząc na niego ze wzruszeniem i podziwem. Większość z nich przyłączała się do pochodu. Samochody zjeżdżały na bok i stawały tramwaje. Tłum rósł jak rzeka. Przyłączali się starzy i młodzi, kobiety ładne i brzydkie, plątały się dzieci. Gdzieś w tej ludziej gęstwie żołnierze podrzucali czapki. Ci dźwigający przywódcę zmęczyli się już, spoceni i zasapani gubili krok. Ten w czerwonej koszulce nakazał zmianę. Podbiegli dwaj mężczyźni w sile wieku i zluzowali tamtych zmęczonych.

Przed Domem Partii tłum zatrzymał się i zaczął dreptać w miejscu jak falujące gigamtyczne zwierzę, przyciśnięte do kamiennych murów budowli. Wtedy niski, z lekka ochrypły baryton przywódcy zaintonował - "Ojczyznę raczy nam przywrócić, Panie"..... Ogromne zawodzenie z tysięcy ust. Ten w czerwonej koszulce już nie śpiewa. Spogląda z namysłem na milicyjne twarze przed wejściem do gmachu. Teraz rozmawia z chłopakami w beretach i samodziałowych czapkach, którzy trzymają się zwartą grupą przy nim. Potakują skwapliwie. Przywódca uniósł dłonie. Spiew usichł.

- Precz z pachołkami!!! - wykrzyknął i wskazał na milicjantów.

Oni poruszyli się niespokojnie. Coraz bliżej kopocze bic-

łoczerwona flaga. Tłum ruszył szeroką ławą do przodu. Milicjanci złączyli się w łańcuch, ale na nic zdał się ich opór. Co fali się, a tłum począł wypełniać dziedziniec Domu Partii.

- Precz!! - huczało zewsząd - Precz!!!

Głos tłumu ogromniał w czworoboku jak grzmot. Milicyjny łańcuch pękł w kilku miejscach. Zakłębiło się i stalowe mundury znikły w ludzkiej gęstwinie. Tłum ochłonął na chwilę i wpatrzył się w swego przywódcę.

- Gomułkę!!! - wykrzyknął ten w czerwonej koszulce.

- Gomułkę!!! - podchwycił tłum.

W budynku czworobokiem otaczającym podwórze zamykano pośpiesznie okna i gaszono światła. Skandowanie potężniało. Rytmicznie i niecierpliwie. Drzwi na balkonie pierwszego piętra uchyliły się powoli i ukazał się jakiś człowiek. Gestami prosił o spokój. Poznano go. Drugi w partii dostojnik. Przechylił się przez poręcz. Skandowanie ucichło.

- Obywatele!!! - głos dostojnika brzmiał słabo i niepewnie - Obywatele!... Towarzysz Gomułka nie przyjechał jeszcze z zebrania na Żeraniu! Naprawdę - na znak szczerości przyłożył dłoń do serca.

- Wyłącz się!!! - zaryczał gniewnie przywódca w czerwonej koszulce.

Buchnął wielki śmiech. Speszony dostojnik zniknął za drzwiami. Smiech trwał dalej. Posypały się też obelgi i złorzeczenia na dostojnika.

- Nie dajmy się prowokować!!! - rozległ się naraz silny głos z tłumu - ... Wróg tylko czyha!!! -

Ten w czerwonej koszulce naprężył się jak drapieżny ptak.

- Pies!! - powiedział i wyciągnął rękę w kierunku skąd dochodził tamten głos.

- Pies !! - powtórzył.

Żaraz powstało tam puste miejsce. W tym miejscu samotny człowiek w skórzanej kurtce i kapeluszu. skurczył się jakoś i poruszył niespokojnie. Kilku w beretach i samodziałowych czapkach zbliżyło się do niego. Jeden zaszedł go wilczo od tyłu i zaciągnął mu oburącz kapelusz na oczy. Samotny człowiek zatrzepotał na oślep rękoma. Buchnął zły śmiech i tłum wypełnił puste miejsce. Zafalowało, zduszony jęk, śmiech. Potem ludzie oglądali się nawzajem, szukając tych w skórzanych kurtkach i kapeluszach. Kilku takich wyłowiono i otoczono ciasno. Falowanie, trzepot, śmiech.

A gdy ludzie w oczekiwaniu na nowe polecenie spojrzeli na środek dziedzińca, tam gdzie znajdował się przywódca z chorągwią - tego w czerwonej koszulce już nie było. Znikł raptownie. Poszukiwano go. Ale znikł bez śladu. Narastał niepokój. Spoglądano z obawą po ciemnych oknach Domu Partii, widziano za szybami jakieś cienie. Rzucono kilka obelżywych okrzyków. Ale niepokój nie ustępował. Tłum zaczął rozchodzić się. Zrazu powolnie, coraz szybciej. Aż w końcu zbitą ławą wybiegli ludzie, potrącając się i popychając.

W tej ruchliwości tłum wyglądał jak rojowisko myszy napędzonych i ślepych, kotłujących się w kamiennej pułapce. Trwało to minutę, nie więcej. A ostatni maruderzy pędzili chyłkiem, oglądając się na wszystkie strony.

Dziedziniec Domu Partii opustoszał zupełnie. Pozostało tylko parę kupeł ciemniejszych od tła i bezkształtnych. To pobici i stratowani. Już słychać było przeraźliwe głosy syren. Przybywały milicyjne posiłki. W oknach Domu Partii zapaliły się nagle światła i z g.achu zaczęli wychodzić ukryci dotąd ludzie.

Marek Nowakowski

POWIATOWY SEKRETARZ

Dostojnik centralnego szczebla przejeżdżał Mercedesem przez to miasteczko i pomylił drogę. Przeklinając niejasne znakowanie szos, zawrócił i podjechał pod Komitet Powiatowy. W korytarzu rozejrzał się po tabliczkach na drzwiach i wiedziony potrzebą najbardziej autorytatywnej informacji, wszedł do gabinatu Pierwszego sekretarza. Siedział Pierwszy przy biurku zawalonym materiałami z terenowych konferencji sprawozdawczo-wyborczych, czytał i notował, przygotowując się do referatu na szczeblu wojewódzkim. Wichrzył włosy, popijał wystygłą kawę i pisał. Ciężko mu szło. Czas niestosowny do takiego zajęcia, bo duszny upał wtedy i wentylator słabo chłodził ciężkie powietrze w pokoju. Partyjny dostojnik pozdrowił go i pyta o drogę do wczasowej miejscowości L. Sekretarz nie unosząc głowy znad papieru, obruszył się gwałtownie.

- Człowieku, czy wy macie dobrze w głowie? O drogę pyta. Od tego jest milicja.

Dostojnik był nieco zdziwiony tym opryskliwym przyjęciem. Znali go przecież wszyscy w kraju z mnóstwa portretów i fotografii wysławianych przy lada jakiej okazji. Ale nie uniósł się.

- Przepraszam - tylko powiedział i zawrócił do drzwi.

Pierwszy odprowadził go roztargnionym, nieżyczliwym spojrzeniem. Coś jedynie mignęło mu w pamięci. Skąd ja go znam? Ale nie zastanawiał się wcale. Ma o to ludzi zna.

Wkrótce przybiegł zaaferowany komendant posterunku. Nachylił się nad biurkiem, trącając sekretarza swym wielkim brzuchem i coś zaszeptał pełnym emocji głosem. Pierwszy zagapił się głupawo. Obrócił głowę, zapatrzył się w jeden z portretów

wiszących na ścianie pod godłem. Skąd zna tego człowieka. Trzeci w partii dostojnik. Ale Komendantowi nie wydał się z niczego, starając się zachować obojętną minę.

- I skarżył się, że w Komitecie tacy nieżyczliwi - powiedział nie bez złośliwości komendant. - Od razu go poznałem - śmiał się i cieszył ten grupy wredziuch.

Nie szło już pisanie sekretarzowi. Myśl była gdzie indziej. Przypominał drobia gowo tr nirdawne odwiedziny. Swój głos nieprzyjemny i burkliwy słyszał. Potem to grzeczne i zagadkowe - przepraszam - dostojnika. Czy taki to może zapamiętać? Tyle spraw taki ma na głowie. Narady, wyjazdy, przemówienia. Ale znów jedno słowo takiego wystarczy. Niby to żartem opowie jakie w takim a takim komitecie zgotowani mu przyjęcie. Drzwi pokazali, po prostu powie. Ktoś, lizus jakiś zapamięta. A potem wystarczy - sprawdzić jak tam partyjną robotę prowadzi sekretarz ten a ten - i dodać z naciskiem - coś wydaje mi się, że nie bardzo daje on sobie radę...

Cały tydzień miał zepsuty powiatowy sekretarz. Ale nie zwierzył się nikomu. Nawet żonie słówkiem o tym nie pisnął. Tylko z lat dawniejszych powiedzienie matki mu się przypomniało. Służyło matce do powiedzenia na określenie jego życia niezgodnego z jej marzenia i o przyszłości syna. Prosta kobiecina. A tu on Boga się wyrzekł. Zaraz po wojnie w bezpiece służył. Prawdę mówiąc impomowało mu to. Spluwa w kieszeni, ludzki strach. Zaprzaniec, mówili matce w oczy sąsiedzi. Powiedz kto, pytał się jej. Ale nigdy mu nie powiedziała. Potem jego też posadzili. Odchylenie mu dali. Nawet nie wiedział jakie. I stara jak zawsze mówiła z fatalizmem jakimś denerwującym - Bo do twojego brzegu to zawsze albo gówno albo wiecha przypłynie - ludowe powiedzenie z jej wioski rodzinnej nad Wisłą. Tam woda przy

powodzi różne rzeczy na brzeg wyrzucała. Matka nie żyje już. Przed samą śmiercią prosiła go o pomnik na grób. Nie postawił. No bo jak to. Sekretarz i takie rzeczy. Może postawić. Taki jak chciała. Krzyż z czarnego granitu. Ale jak to zrobić, żrby nie dowiedzieli się ludzie. Siostrze dać pieniądze. Niech się tym zajmie. Siostra mu chyba świni nie podłoży.

- Do twojego brzegu to zawsze albo gówno albo wiecha przypłynie - powiedział sobie niezbyt głośno, ale wyraźnie kiedy drugi sekretarz referował mu sprawę działalności propagandystów w twrenie.

Powiedział i stropił się. Drugi sekretarz wytrzeszcza na niego gały. Czy słyszał. Drugi taki gładki, owany, tylko szuka okazji żeby mu nogę podstawić. Teraz przestał mówić i patrzy. Cholera wie. Słyszał, nie słyszał.

- Kierunek agitacji... - znów referuję monotonnie drugi, a oczy ma nieprzenikione - szedł w aspekcie wyjaśniania ludziom sensu politycznego ostatnich wydarzeń.

- Szedł w aspekcie - wrzasnął Pierwszy - Naucz się wreszcie mówić po ludzku! -

Marek Nowakowski

NIM PO NICH ZADZWONI ZNOW

Oni byli młodzi, długowłosi i sprężyści. Mózg w okularach, o twarzy inteligentnego, wrażliwego prymusa.

A pan Karol, starawy i zmarniały, garbił się i nerwowo poruszał małą, ptasią główką pokrytą rzadkimi, przylepionymi włosami.

Pan Karol był paserem. Oni, ci młodzi zrobili skok. Pan Karol nabył od nich towar.

Teraz patrzy psim, spłoszonym wzrokiem na sędziego i powtarzał:

- Wysoki Sądzie, to pomyłka.

- Jaka pomyłka - pytał po raz któryś zmęczonym głosem sędzia.

- Ja przecież... - pan Karol zawahał się po raz któryś i prześliznął oczyma po sprawcach napadu siedzących na sąsiedniej ławie - ja przecież byłem od dawna w kontakcie z Komendą. Oto telefon majora - wyprostował się i wyrecytował dobitnie numer telefonu.

- Sprawdziliśmy - przerwał mu sędzia - major był w tym czasie na urlopie.

Rodziny oskarżonych obecne na sali poruszyły się i dały się słyszeć złośliwe śmiechy i okrzyki. Pan Karol zgarbił się i wtulił ptasią główkę w ramiona.

- Spokój - Sędzia uderzył pięścią w blat stołu.

Rudy milicjant, który konwojował pana Karola, uśmiechnął się. Prawą dłoń położył na lewej. Wpatrzył się w sygnet ozdabiający przedostani palec. Sygnet był z błękitnym kamieniem i czterema guzami. Przetarł rękawem kamień. Znów uśmiechnął się nieznacznie.

- Właśnie - powiedział pan Karol z nadzieją w głosie - był

na urlopie. Dlatego tak to wyszło. Ja już nie raz rozpracowywałem dla niego rozmaite sprawy.

- Nie rozumiem - powiedział chłodno sędzia.

Przekładał akta. Coś podkreślił, włożył ołówek między stronice.

Pan Karol wpatrzył się gorączkowo w swego obrońcę z urzędu. Młody adwokat z nieukrywanym obrzydzeniem odwrócił głowę.

- Tak się umówiliśmy - wyrzucał pośpiesznie słowa pan Karol - jacyś robią skok. Idą do mnie z towarem. A ja za telefon i do majora.

Młodzi oskarżeni poszeptali między sobą. Ten najważniejszy wśród nich, Mózg, uśmiechnął się pogardliwie . Sędzia z trzaskiem zamknął akta.

- Sprawdzaliśmy - powiedział. - W komendzie nic o czymś takim nie wiedzą.

- Jak to - aż zachłysnął się pan Karol - nic nie wiedzą.- W przerwie pan Karol zbliżył się do swego obrońcy. Towarzyszył mu rudy milicjant z sygnetem na przedostatnim palcu.

- Panie mecenasie - dyszał i rzęził pan Karol, wycuerając chusteczką spocone czoło - niech pan zadzwoni. Oni muszą powiedzieć. Przecież ja tyle razy dla nich - przychylił się i dodał szeptem, zionąc kwaśnym oddechem - nawet płacili.

Młody obrońca cofnął się i odwrócił głowę.

- To już nic nie da - powiedziaą - Za późno.

Pan Karol gniótł w dłoni brudną chusteczkę.

- Idzie mu jak po grudzie - wtrącił rudy milicjant. - I ko bita do niego nie przyszła. A tak mówił, klasa babeczka, fajek przyniesie, pomarańcz.

Korytarzem przechodzili oskarżeni skuci w kajdankach. Mózg pierwszy. Pan Karol przylgnął do ściany. Ci młodzi nie popa-

trzyli na niego. Rudy milicjant szturchnął w plecy pana Karola.

- Idziemy.

Pan Karol ruszył posłusznie.

- nie martw się - roześmiał się rudy milicjant i mrugnął do młodego adwokata. - Odbębnisz wyrok i jeszcze do nas zadzwonisz - I tak niby pieszczotliwie wcisnął mu w szyję palce z tym pękatym sygnetem, nabitym srebrnymi guzami. Pan Karol zasyczał z bólu. Ale nic nie powiedział. Zgarbił się i wtulił swą małą ptasią główkę o w chude ramiona.

Marek Nowakowski

Stanisław barańczak

NOWE WIERSZE

/z tomu pt. "ja wiem, że to niesłuszne"/

TO, CO JEST WIERSZEM NIE DO POMYSLENIA

To, co jest wierszem nie do pomyślenia
w owalnych ramach stadionu, na którym
stłoczeni
/głowa przy głowie/
głuszymy
zwycięską wrzawą wspólny i codzienny lęk;

to, co jest wierszem nie do ułożenia
w ochoczym rytmie marszu, który krokiem
defiladowym
/noga w nogę/
w strzępy
roznosi każdą nie dość regularną myśl;

to co jest wierszem nie do wymówienia
w ospałym ryku ekranu, przed którym
spędzamy
/ramię w ramię/
każdy wieczór
jak zbyt szybko rosnący nam pod sercem płód;

to, co jest wierszem nie do umieszczenia
w otwartej ranie porannej gazety
która powtarza
/słowo w słowo/

codzień
ten sam krwotok świtania, choć dokoła noc;

to, co jest takim wierszem, lub inaczej:
to, co jest winą nie do odpuszczenia,

staje się wiarą nie do odrzucenia,
staje się wiedzą nie do oduczenia,
staje się wzrokiem nie do oślepienia.

W ZASADZIE NIEMOŻLIWE

Na tych ulicach, które kilkanaście razy
do roku przybierają odświętną szatę /a kolor jej
jest czerwony, bo na niej/, na tle tych wielkich portretów
malowanych techniką wcierkową /a kolor
ich jest brunatny, bo/, obok tych
kolosalnych liter ze steropianu, niesionych
w każdym pochodzie /a kolor ich jest z niewiadomych przyczyn
śnieżnobiały/,

w zasadzie nie ma prawa pojawić się ktoś taki,
o mózgu tak wyzywająco szarym;

nie potrzebują go ci ludzie, którzy w zimowy przedświt
jadą tramwajem do pracy: ich ręce
zbyt są zajęte przytrzymywaniem teczek
z drugim śniadaniem, aby mogły sięgnąć
po książkę, zresztą jest zbyt ciemno; nie
potrzebuje go ta starsza kobieta, ciążąca
samej sobie jak siatka z zakupami: na jej
nogach żylaki biegną linią i tak prostszą

niż najprostsze linijki wiersza; nie potrzebuję go młody
człowiek w płaszczu ze sztucznej skóry, odkładający
wątpliwości na później a nadzieję na
książeczkę oszczędnościową, nie na jakąkolwiek
z książek;

w zasadzie niemożliwe więc, by się pojawił,

a jednak jest;
i niepojęty upór
każe mu wciąż na nowo wznosić ze słów mury,
które by obalić, dość jest machnąć ręką

OKRESLONA EPOKA

Żyjemy w określonej epoce /odchrząknięcie/ i z tego
trzeba sobie, nieprawda, zdać z całą jasnością.
Sprawę. Żyjemy w /bulgot
z karafki/ określonej, nieprawda,
epoce, w epoce
ciągłych wysiłków na rzecz, w
epoce narastających i zaostrzających się i
tak dalej /siorbnięcie/, nieprawda. Konfliktów.
Żyjemy w określonej e /brzęk odstawianej
szklanki/ poce i ja bym tu podkreślił,
nieprawda, że na tej podstawie zostaną
nakreślone perspektywy, wykreślane będą
zdania, które nie podkreślają dostatecznie, oraz
przekreślone zostaną, nieprawda, rachuby
/odkaszlnięcie/ tych, którzy. To ma pytanie? Nie widzę.
Skoro nie widzę, widzę, że będę wyrazicielem,
wyrażając na zakończenie, że

żyjemy w określonej epoce, taka
jest prawda, nieprawda,
i innej prawdy nie ma.

PRZEJSCIOWE OGRANICZENIA

Co się stało z naszymi meblami; z naszych
mebli wyheblowano

mównice; co się stało z
naszym mięsem; nasze mięso

przehandlowano na megafony; co
się stało z naszymi

mieszkaniami; nasze mieszkania
rozchodowano na medale; co się stało

stało z naszymi mózgami;
z naszymi mózgami

przeholowano, z naszych mózgów
wyhodowano milczenie, nasze

mózgi wychowano
milczeniem, nasze mózgi

pochowano w milczeniu, są
mądre bo małomówne

małomówne bo martwe

TO MNIE NIE DOTYCZY

To mnie nie dotyczy, ten dotkliwy
chłód lufy przytkniętej do czyjejś potylicy
nie mnie dotyczy, nie do mnie należy
ani ta głowa, ani ta dłoń z pistoletem, ani
ocena kto ma rację i po czyjej stronie leży
łopata, którą wykopano dół, nie zwracajcie
mi tej ogolonej głowy, myślenie o tym nie jest mi na rękę,
ani na tę w rękawie mundurowym, ani
na tę związaną drutem, mnie to nie dotyczy
/a jednak czuję, że choć takie to nieważne,
to przecież
znieważa mnie/;

powtarzam sobie: to mnie nie dotyczy, nie dotyka
mnie wskazujący palec pałki, nie moja w tym głowa
osłaniana rękami, nie mam nic wspólnego
z tym zbitym człowiekiem poza niezbitym faktem,
że też jestem człowiekiem, a to znaczy w końcu
tak niewiele, poza tym bez powodu przecież
nie biją, jestem wprawdzie wolny od uprzedzeń,
ale nawet gdy kogoś biją bez uprzedzenia, wiem,
że sam sobie był winien, mnie to nie dotyczy
/a jednak czuję, że choć jest to tak nieważne
to przecież
znieważa mnie/;

raz jeszcze: to mnie nie dotyczy, nie czuję się dotknięty,
gdy muszę szeptać swoją spowiedź poprzez kratki
rubryk ankiety, z ulgą wpisuję dużymi
literami NIE DOTYCZY, gdy mnie pytają o

przeszłe, obecne i przyszłe poglądy,
sam siebie rozgrzeszając, daję sobie słowo,
że w nic się nie dam wplątać, że nie powiem słowa
więcej niż to konieczne, bo ostatnie słowo
i tak mają najsilniejsi, mnie to nie dotyczy
/a jednak, chociaż to mi na nic nie zezwala,
to przecież
nie zwalnia mnie/

GDZIE DRWA RABIA /I/

Gdzie znów drwa rąbią; skąd znowu te drwa
się wzięły; jakim cudem cóś z nich jeszcze trwa,
skoro - zdawałoby się - nie został ni wiórek
z tylu rodzinnych stołów i służbowych biurek
pod toporami, które jak obuchem leczą
wszelkie zwątpienie tezą, że tam wióry lecą,
gdzie drwa się rąbie, a w rąbania sens
nikt nie wątpi, bo wlewa otuchę do serc
widok muskularnego i zdrowego drwala,
który wie, co ma robić, i przez to utrwala
w nas pewność, że ktoś przecież i o nas pomyśli
że pomaca nam mięśnie, doceni, że myśmy
też zdrowi, zdolni, zdatni do rąbania drew;
lecz topór spada, w wióry wsiąka nasza krew

GDZIE DRWA RABIA /II/

Gdzie drwa rąbią, tam
wichry wieją, tam śniegi
nigdy nie topnieją, tam wieczne mrozy są powodem, że
stale potrzeba nowego opału
dla tych pieców, od których wzięła nazwę nasza
mroźna epoka; toteż wiemy, że rąbanie
drew jest głęboko celowe i wiemy,
że słysząc stuk do drzwi, należy polecić żonie,
aby nam spakowała zawiniątko z ciepłą,
jak najcieplejszą bielizną; gdzie drwa
robią, tam po prostu trzeba
opału, cóż dziwnego, że w potrzebie
pali się nieraz wilgotnymi drwami,
w których krew jeszcze nie zdążyła skrzepnąć,
i piece dymią niezmiernie, ale
nie ma dymu bez ognia, inaczej mówiąc,
nam się tylko tak zdaje, że nasz przyjaciel, który nagle znikł,
był niewinny,
zresztą czy drwa na opał mogą być winne lub nie

PRZEGLADAJAC CZASOPISMO "HOME GARDEN"

Więc tak wygląda na tamtym świecie; ale
okażmy czujność, nie dajmy się zwieść, te ich
meble też pokrywają się kurzem, te soczyste
befsztyki bywają przypalone, te trawniki trzeba
bez przerwy strzyc, kurz, spalenizna, warkot
motoru na tamtym świecie także
czasem kogoś uwiera, czasem ktoś umiera

z tych ludzi, ich opalone i wymasowane
twarze też czasem blednq lub pokrywają się potem;
poza tym i my mamy swoje osiągnięcia,
nasze wyroby w niczym nie ustępują, nasze
pozytywne zjawiska coraz częściej
występują, nasze roboty postępują, nasza
młodzież wstępuje w szeregi, nasze wididoczne efekty
następują po podjęciu określonych działań;
a jednak na tym świecie zawsze coś uwiera,
choćby wszystko szło gładko, zawsze ktoś umiera,
choćby nawet żył, to tylko na tamtym
świecie nikomu nic do umierania,
tylko tam wszystko nie do uwierania
i nie do uwierzenia

CI MĘŻCZYZNI, TAK POTĘŻNI

Ci mężczyźni, tak potężni, pokazywali zawsze
nieco od dołu przez przykuconych kamerzystów, unoszący
ciężką stopę, aby mnie rozgnieść, nie, aby się wspiąć
po schodkach samolotu, podnoszący rękę
na mnie, nie, na powitanie tłumów
posłusznie machających chorągiewkami, ci podpisujący
mój wyrok śmierci, nie, tylko umowę
handlową osuszoną natychmiast usłużnym
bibularzem

ci tak odważni, z tak podniesionym czołem
stojący w otwartym samochodzie, tak
mężnie wizytujący front robót żniwnych, jakby

stawiając stopę w bruździe wstępowali w okop,
ci z twardą ręką, zdatną do walenia w pulpit
mównicy i klepania po ramieniu
zgiętych w ukłonie ludzi, przyszpilonych przed chwilą
orderem do czarnego garnituru,

zawsze
tak się ich bałeś,
taki byłeś mały
wobec nich, zawsze stojących powyżej
ciebie, na schodach, mównicach, trybunach,
a przecież wystarczy choć na jedną chwilę
przestać się bać, powiedzmy :
zacząć się bać trochę mniej,
by się przekonać, że to właśnie oni,
że to oni najbardziej się boją.

Kazimierz Orłoś

DRZEWO PANA JEZUSA

O siedemnastej przyszedł Kola i kopnął drzwi. Otworzyłem mu i pytam, o co chodzi, a on /pijany/ bełkocze, że czekają na mnie na rohu Vincentego i żebym zaraz szedł. Mówię mu, że tak, zaraz pójdę, ale że kopać w drzwi nie musi, bo jest dzwonek. Kola zakołysał się tylko i jak nie rzygnie pod moje nogi!

- Kustasie - krzyczę - wynocha! Buty mi zarzygałeś!

Wypycham go, a na to drzwi z kuchni otwierają się i matka wybiega z płaczem: - Jezusie Maria, znówt te chuligany! Ty Stasiu, zostaw go, bo on ma nóż na ciebie i zabije cię, synku!

I matka była pijana - z Robaczewskim pili od trzynastej. I dmuchał ją Robaczewski: raz, kiedy wszedłem do kuchni, przykryli się kocem. Teraz tylko w halce wybiegła - krzyczy za plecami, przede mną, w drzwiach, Kola jęczy - wypycham go: - Idź - powtarzam - idź!

W końcu na schody Kolę wywlokłem - głowę do poręczy, kolana pod brzuch i tak łomotałem nim o barierkę, póki nie oprzytomniał. Spojrzał na mnie /zażawiony/ i pyta:

- Przyjdziesz, Stasiu?

- Przyjdę - powiedziałem. Puściłem go i wróciłem do mieszkania.

Matka jeszcze stała w drzwiach: - Synku /tak nagle spokorniała/ - Nie idź nam do nich. Będzie nieszczęście.

Odsunąłem matę na bok, sam do pokoju - chciałem zmienić koszulę i spodnie - a matka za mną staje w drzwiach: - Chodź, wypijesz z nami.

Nie odezwałem się, pamiętam, ani jednym słowem. Wyjąłem z szafy ażurową koszulę, włożyłem nachy i glany. Pióra przed

lustrem przygładziłem i zmierzam do drzwi, a matka w progu: w halce tylko, boso, rozczochrana, wódką od niej jedzie...

- Mamusia przepuści - powiedziałem.

- Stasiu - ona na to.

- Mamusia przepuści.

Ona nic - wtedy ja za te rozczochrane kudły i o ścianę, aż matka stęknęła. Robaczewski wyjrzał w kalesonach z kuchni, akurat otwierałem drzwi na klatkę, trzasnąłem drzwiami /tynk posypał się za mną/ i kiedy biegłem w dół, słyszałem jeszcze jak matka krzyczała na Robaczewskiego: Łobuz, chuligan, skurwysyn!

Na dole było słońce.

Na rogu Wincentego stał Zenek Kojo /wyższy od tamtych o głowę, dlatego zobaczyłem go z daleka/ i jeszcze kilku chłopaków: Świrowaty Pełkot, Janek Kulas, pijany Kola i chyba Panan z Kaliskiej ze sznytami na rękach. Kojo powiedział, że dziś Gruzin wystawia i że jedziemy, gdzie zawsze. Poszliśmy zaraz w stronę przystanku, a Kola, pijany, za nami.

Szliśmy obok muru - Kojo pierwszy, my za nim: w szwedkach niebieskich i czerwonych /szelest tworzywa przy nas/, skrzyp glanów, czasem któryś splunął /Kulas: "kuśtyk", "kuśtyk" na swojej krótszej nodze/ - wszyscy ustępowali nam z drogi. Pijany Kola zataczał się i potykał.

I kiedy tak szliśmy, przed nami znalazło się tych dwóch szczyli - po dziesięć, może dwanaście lat każdy - z tarczami na rękawach. Kojo akurat paczkę petów wyjął, częstował po kolei - stanęliśmy przy nim /on ma taką japońską zapalniczkę gazową/, a Panan od razu do nich:

- Stać!

Szczyle stają.

- Pod mur!

Szczyle idą pod mur.

Banan nic, kiwa się w tył i przód /sam małolatek, nie ma szesnastu, a ręce całe w hlostach/. My podchodzimy bliżej - będzie zabawa, jasne.

- Nazwiska!

- Kolanko - mówi ten większy. My w śmiech.

- Grabowski - nawija ten mniejszy i też się śmieje.

- Co się śmiejeszgnoju? - pyta Banan - Wesoło ci? Bije Grabowskiego w dziób. Mały głową tłucze o mur raz i zaraz drugi, bo obrywa jeszcze. Płacze. Kolanko zaczyna się trząść - widać, jak mu ramiona latają.

- Fora! - szczeka Banan - Wykładać. Szybko.

- Nic nie mam - oświadcza Kolanko.

A na to Banan: wypróżniać kieszenie!

Szczyle wypróżniają bez słowa. Mniejszemu lecą klucze - Banan kopie /słychać jak dzwonią po płytach/. jest kilka dwudziestogroszówek, papierki po cukierkach. Duży Kolanko coś jeszcze chowa w garści.

- Pokaż - mówi Banan.

Gnój nie chce.

- Pokaż!

Palce gnojowi zbielały, tak mocno ściska. Banan bierze pęta od Koli - przystawia szczylowi do oka: - Pokażesz?

Kolanko odchyla głowę /blady jak ściana/ - zaraz popuszcza. Patrzymy - na ręce gnoja wąski pasek: bilety. Szczyle idą do kina. Banan gniecie bilety w papierową kulkę. Wkłada do ust. Żuje chwilę, a potem pluje gnojowi w twarz białą papką. Śmiejemy się głośno /Kulas rży po prostu/. Kolanko ściera twarz rękawem. Trzęsiączki dostał - lata mu wszystko - ramiona, ręce. Galareta.

zusie Nązare[n]ski" chyba/ i kiedy tak go wiekli, Kola, sam pijany, podskoczył i kopa pijaczkowi przywalił, jakby chciał blacharzom pomóc, bo łysy zaszamotał się nagle i zapluł. A wtedy jeden z tamtych odpiął pałę od czarnej raportówki i jak nie przywali Koli! Ły w śmiech - Kola tylko skulił ramiona - w plechy dostał /już odwrócony odchodził/.

- Za co? Za co? - odwrócił się, ale blacharz nic nie powiedział.

Łysonia wepchnęli do suki, jeszcze drugi wrócił po teczkę i cisnął za nim - odjechali zaraz, a Kola na ławce usiadł, głowę objął rękami i zaczął powtarzać:

- Jezu, Jezu, Jezu!

Żełkot powiedział do mnie, że w życiu dostał sześć razy, ostatnio na stadionie, kiedy rzucił butelkę. Kulas chwalił się, że dostał więcej - dziesięć, albo jedena[ś]cie razy. Banan podszedł do Koli i zaczął pytać, co czuje. Kola nie chciał mówić, ciągle kiwał się w tył i w przód /"O, Jezu, Jezu, Jezu" w kółko/ aż w końcu Kojo mówi:

- Przestałbyś, przestałbyś!

A wtedy Kola jak nie skoczy! Ruszyło go - zerwał szwedkę, potem koszulę /rozdarł, pamiętam, rękaw/ i krzyczy: "Patrzcie, patrzcie!" Odwraca plecami do nas /te plecy w krostach/, ale żadnego śladu ani pręgi nie zobaczyli[ś]my, więc tylko śmiechu było więcej.

Ci na przystanku zdźiwieni /baby, młoda z dzieckiem na ręku, stary muł z teczką/: Kola ataku dostał. Wyje na ławce:

- Jezu, Jezu! O matko moja najdroższa!

Niedobrze. Patrzymy: Kojo poczerwieniał, podchodzi do ławki i jak nie uderzy w szamot! Raz, drugi. Głowa Koli lata, niczym bokserska gruszka, a on klęka na chodniku, oskania twarz i ciągnie swój cyrk dalej. Nie pęka.

- Najdroższa matko, po coś mnie rodziła? - krzyczy.

Kola, pijany, ma takie napady czasem. Bełkot mu jeszcze dokopał i Kojo ile mógł nakładł. Aż w końcu Kola uspokoił się nagle - jak ręką odjął.

- No co tak stoicie nade mną? - pyta i wstaje z klęczek. Wkłada podartą koszulę - jakby wytrzeźwiał nagle. A może coś go tam kłuć przestało w środku?

Autobus podjechał akurat, więc podskoczyliśmy do drzwi.

W środku tłok i zaraz, jak tylko wsiedliśmy, tęga baba w krzyk, że któryś na nodze jej stanął. Wzięliśmy babę między siebie - chwilę mówiła jeszcze /"co za wychowanie, łobuzy, chuligaństwo" i tak dalej/, a potem, kiedy Kola udał, że puszcza pawia, przestała. Nawet powiedziała "przepraszam".

Staliśmy w tłoku gadając i śmiejąc się głośno. W pewnej chwili Bełkot pierdnął, my w śmiech, a wtedy jakiś gnój z przodu powiedział: "co za chamstwo" Nie było wiadomo, który: Bełkot mówił, że młody, w brylach, Kojo, że inny - niedużo, łysy i od tamtego starszy.

Zaczęliśmy iść do drzwi ostro, aż krzyk powstał. Autobus stanął, oni wysiedli, my także. Już niedaleko dworca było. Bełkot i Kulas podskoczyli do Łysego:

- Ty powiedziałeś?

Tamten - mały /paletko, ta łysa maków/, zaczął się trząść po prostu. Staliśmy przy nim ciasno, gnój mówi: - Panowie, skąd znowu. To tamten pan. - Pokazał na chudego, który stanął kilka kroków dalej, jakby czekał. Chłopaki do niego. Zostałem przy malutkim, żeby przypilnować. Widziałem tylko, jak chudego bili.

- Ty powiedziałeś? - pyta Kojo.

Chudy - w brylach, teczkę kwadratową trzyma - nie chce się przyznać. - Ja, panowie, ja?

Chłopaki przy nim stoją w koło - Bełkot zachodzi od tyłu, Kulas rusza ramieniem /jemu zawsze ramię skacze, kiedy ma bić/,

- Ty powiedziałeś? - pyta cichutko.

I znów chudy:- Panowie, jak Boga kocham, nie ja! - Na małego przy mnie pokazał. Ale głos musiał mieć podobny, bo wtedy Bełkot kopnął. Chudy tylko się gibnął w przód, a wtedy Kulas: kolanem! Chudy jakby się kłaniał. Bryle lecą na chodnik, teczka...

Cisza. Ktoś biegnie po drugiej stronie. I ostry gwizd pociągu za nami. Ta pusta ulica. Mały mnie spytał wtedy: - Proszę pana, czy można odejść?

- Idź - powiedziałem, pamiętam. I nie spojrzałem nawet na niego - wyplułem jakąś pestkę czy liść.

Chudy leżał na płytach. Tylko ramiona chłopaków widziałem. Kojo, Bełkot, Kulas - wszyscy z rękami w kieszeniach. Kopali po girach, w brzuch, po nerach, w szamot. Taki taniec nad nim. I trochę krwi na płytach, rozbite bryle, kwadratowa teczka. On nawet nie jęczał chyba - w każdym razie nic nie słyszałem. Chciał się podnieść, pamiętam i tak między nogami chłopaków, podnosił się i padał, podnosuł się i padał. A oni tańczyli nad nim.

Kiedy podjechał następny autobus, odeszliśmy.

Dworzec był blisko, parę kroków, elektryczny nadjeżdżał właśnie, zdążyliśmy wsiąść, prócz Koli, wszyscy. Te automatyczne drzwi zatrzasnęły się nagle, pociągnąłem za rączkę, otworzyłem - Kola biegł chwilę po peronie, zataczał się, chciał wskoczyć, odbijał od ścian wagonów, raz, drugi, pociąg nabierał pędu, on w końcu upadł i tak został na peronie, pamiętam, wyjrzałem jeszcze: Kola klęczał i patrzył za nami.

Jechaliśmy. Za oknem światła naszego miasta układały się w jasną smugę.

na miejscu byliśmy o dziewiętnastej pięć, a Kojo umawiał się na dziewiętnastą trzydzieści. Poszliśmy na te parę minut do "Kiblanki" obok dworca - to taka knajpa, nazywa się "Jutrzenka", ale bardziej pasuje "Kiblanka", bo zajeżdża w środku kublem z zacieków po nieszczelnych rurach. Tak jak zawsze: cepy przy stołach piją, dym, krzyk, wszyscy naraz mówią, brudne serwety i ten fetor, jak w dworcowym kiblu. Wypiliśmy po butelce pełnego i pośmieli patrząc na pijanych frajerów - wszystko odstawione, w garniturach, spocone, czerwone i rozgadane. Usiedliśmy obok dwóch, z których jeden chciał iść i powtarzał w kółko:

- Ty Czesiek, na mnie już pora.

A drugi: - Zostaniesz, kurwa.

I ten pierwszy wstając, wywracając butelki i lecąc przez stół na tamtego: - Ty, Czesiek, na mnie już pora.

- Zostaniesz, kurwa.

Śmieliśmy się z nich głośno, ale oni - zwłaszcza ten wielki, który chciał iść - tak byli pijani, że nie widzieli pewnie nic, prócz własnych czerwonych twarzy i nie słyszeli pewno nic, prócz tych kilku słów powtarzanych jak w pacierzu:

- Ty, Czesiek, na mnie już pora.

- Zostaniesz, kurwa.

- Ty, Czesiek, na mnie już pora.

- Zostaniesz, kurwa.

Kiedy wyszliśmy z "Kiblanki", było już szaro - naokoło świała w oknach i tylko pod płotem odlewał się pijany cep. Śpiewał na cały głos:"Szła dziewczeczka do laseczka..." "a chodniku leżał inny i Bełkot dokopał mu, tylko stęknął i na drugi bok przekręcił, jakby spał w łużku, nie na betonie pod "Kiblanką". Śmiejąc się patrzyliśmy na umówione miejsce.

Sulikowski /taka jego ksywka/ czekał z dziewczyną - stali pod ta

samą co zawsze latarnią, w cieniu rosnącego obok drzewa i kiedy podeszliśmy, Suliko pociągnął dziewczynę za rękę, a ona, opierając się trochę, zdziwioną, przeszła za nim kilka kroków i stanęła w świetle.

Zatrzymaliśmy się wszyscy - Bełkot, ja, Kulas i Banan - małolatek z kaliskiej. Patrzyliśmy chwilę, jaka jest, czy dobra, pod nóż, czy worek z owsem, jak mówił Bełkot o wsiowych. Ale Suliko najczęściej wystawiał dobre, więc i ta była niezła. Staliśmy i patrzyliśmy na jej długie nogi, na kusą, białą kurteczkę pod którą miała nylonową bluzeczkę z falbanami do pasa i na torebkę-kuferek, który trzymała przed sobą. paznokcie miała czyste, bez lakieru. Chuda była, ale nie płaska i wszystko miała na miejscu, jak trzeba.

- Żyleta - pomyślałem, pamiętam. - Mojka.

Suliko puścił rękę dziewczyny, podszedł do nas i przywitał się z każdym.

- Czekam już pół godziny - mówił.

- Jakie pół godziny? - na to Kojo.

- Byliśmy umówieni na dziewiętnastą.

- Nie pierdol - odrzekł Kojo. - Na dziewiętnastą trzydzieści.

Kłócili się chwilę o to, a Mojka podeszła do nas bliżej i wzięła Sulikę pod rękę. Gruzin był zły.

- Ja tu nawijam tej kurwie. Język mi skołowaciał. Jeszcze trochę, a poszłęby, no nie?

- Chodźmy stąd - powiedziała.

Zaśmieliśmy się /Bełkot tym swoim chrapliwym skrzekiem, Kulas najgłośniej/. Suliko odepchnął ją i zaczął się żegnać.

- Cześć, cześć! - mówił. Podawał chłopakom rękę.

- Zostań - powiedział Kojo, ale Suliko nie chciał. /"Gruzin - mówiły o nim dziewczyny. - "Ten piękny Gruzin"/. Odwrócił

się zaraz i odszedł.

Wtedy ona zawołała: - Tadzik! - i głośniej: - Tadzik! - Imię wymyślone przez tego cygana /każdej mówił inne/. Dlatego my: znowu w śmiech.

- O co wam chodzi? - spytała. Chciała nas wyminąć. Chciała nas wyminąć, ale gdzie się nie ruszyła, zastępowaliśmy jej drogę. Nie mogła kroku pójść za nim.

Suliko odchodził. Nie obejrzał się, choć wołała jeszcze kilka razy /za każdym razem głośniej/: - Tadzik! Nie zostawiaj mnie! Tadzik!

Śmieliśmy się. Wtedy zaczęła iść wzdłuż płotu, w przeciwną stronę, a my wolno poszliśmy za nią.

To jeszcze tam, niedaleko drzewa, ten zgred w samochodzie oświetlił nas światłami. Nadjechał z przeciwnej strony i nagle zobaczyliśmy, jak ona, machając kuferkiem, wybiega na ulicę i krzyczy coś, czego nie słyszeliśmy dobrze, bo był już blisko.

Gość zjechał trochę na bok, jakby chciał Mojkę wyminąć i w ostatniej chwili stanął. Ale nie zgasił motoru /nogą musiał trzymać na gazie/. Ona zaraz podbiegła do drzwi i zaczęła szarpać za klamkę/ to był nowy fiat - z tych lepszych/. Nie mogła otworzyć. Stanęliśmy przed maską, w światłach, które po chwili zgasły i wtedy, w ciemności, usłyszeliśmy, co mówiła. Uchylił szybę.

- O co chodzi?

- Chcą mnie zgwałcić - powiedziała. Była zdenerwowana i cały czas szarpała za klamkę. - Proszę mi pomóc...

- Zgwałcić? - zdziwił się. Głos miał starego zgreda.

- Zwabili podstępem. - I powtórzyła jeszcze raz: - Proszę mi pomóc.

Zaśmieliśmy się, co on musiał usłyszeć /może widział, jak

Banan podnosi kamień?/, milczał chwilę, potem stuknęła dokręcana szyba. Zaraz zapalił światła, nacisnął gaz i ruszył wolno. Rozstąpiliśmy się, wtedy przyspieszył i odjechał. W oczy nawiało kurzu. Ona szła chwilę trzymając za klamkę. Wtedy dodał gazu, szarpnęło Mojką i byłaby upadła. Śmieliśmy się, pamiętam, znów. Bełkot rozłożył ręce, żeby przytrzymać, ale ona odskoczyła przestraszona. Pobiegła na chodnik i tam, zdyszana zaczęła iść wzdłuż płotu. Tylko stukały obcasy.

Idziemy więc, idziemy wszyscy razem za naszą Mojką: Kojo, Bełkot, ja, Kulas /"kuśtyk, kuśtyk" na krótszej nodze/ i Banan małolatek na końcu. Ona przystaje czasem, rozgląda się - psy szczekają daleko, coraz rzadziej tu domy, coraz dłuższe odstępy między latarniami. Pusto.

W jednym miejscu, przy płocie, stało dwóch takich. Ona od raz do nich potykała się biegnąc. Doszliśmy na chwilę i stanęli blisko.

- Proszę pana - mówiła do małego, który stał na ulicy /ten po drugiej stronie, za furtką, cofnął się, kiedy podeszliśmy, tak, że jego maski nie było widać/ - proszę pana, oni idą za mną. Na pewno chcą mnie zgwałcić.

Mały konus w kolejarskiej czapce zaśmiał się głośno: - Co pani opowiada? Zgwałcić?

My też śmiejemy się. Ona, zdenerwowana, szarpie kolejarza za rękaw: - Zwabili podstępem.

Gnój ciągle się śmieje: Słyszysz, Józek - pyta tego za furtką. - Słyszysz, co pani mówi?

- Słyszę - odpowiada tamten. - Że zwabili.

- Tak jest. Zwabili. - I jeszcze większy śmiech.

Śmiejemy się wszyscy. Ci dwaj, Banan, Kojo, Bełkot /skrzeczy świrus jak zawsze/. mały kolejarz najgłośniej. Ona, zdyszana,

szarpie małym za rękaw: - Proszę mi pomóc, proszę mi pomóc... - powtarza.

- Co pani taka nerwowa? - nawija malutki. - Trzeba chłopcom okazać życzliwość. Nic nie ubędzie panience, tak?

I śmiech, śmiech - my także. Ten niewidzialny cep wtóruje zza płotu. Mojka puszcza rękaw małego - zaczyna mocować się z furtką. - Pan otworzy - prosi.

- O, nie wejdziesz tutaj - odzywa się nie niewidzialny. Ma gruby głos, aż dudni.

- Boi się żony - śmieje się malutki. - To żonaty chłop.

- Niech mi panowie pomogą - prosi nasza Mojka. - Oni nie mają skrupułów.

- Czego? Czego?

- Sumienia - odpowiada Mojka.

- Za to mają coś twardego, no nie? - skrzypi malutki. Teraz tylko on sam się śmieje. Ten za płotem i my - nie.

Patrzymy: Kojo nagle podchodzi do niego /dwa, może trzy kroki/. Stanął, schylił się, zajrzał malutkiemu w oczka, a potem tę kolejarską czapkę palcem strącił. Spadła na piach.

- Ty - powiedział - za wesoły jesteś. - A my powtórzyliśmy chórem: - Za wesoły jesteś!

Gnój tylko oczkami zamrugał, schylił się i podniósł czapkę. Otrzepał denko z piasku. Kojo cofnął się - znów dwa, może trzy kroki. My nic, tylko oddech Mojki słychać.

Ten za płotem odszedł nagle. - Trzymaj się Januszku - powiedział. Biała koszula zniknęła między drzewami. Gnój w kolejarskiej czapce także odszedł.

- Trzymaj się - mruknął. Nie patrzył na nas ani na Mojkę Odszedł jak zmyty.

Śmiejemy się znów. Ona od furtki odeszła ostatnia. Po chwi-

li wszyscy idziemy dalej. Tylko szczekają psy.

To wtedy Kulas i Bełkot zaczęli swój cyrk. Zwłaszcza Bełkot potrafi nawijać, jak żaden - już taki jego świr.

- W perspektywie mamy zadania do wykonania na płaszczyźnie - powiedział nagle. My w śmiech.

A Kulas z miejsca: Słusznie, kolego Bełkot. Nasze zadania wykonamy z nadwyżką.

I Bełkot: - Dzięki aktywnej postawie oczywiście. Chciałbym w tym miejscu dodać, że zadania podjęliśmy w toku dyskusji.

- Otwartej, otwartej - truje Kulas.

- Przy szerokim poparciu koleżeństwa oraz w wyniku słusznej inicjatywy.

Śmieliśmy się z tego cyrku. Ona cały czas szła przed nami. Słyszeliśmy stuk obcasów. Czasem przystawała, żeby zajrzeć przez płot, czy kogoś nie zobaczy. W ciemności, daleko, szczekały psy.

- Dziękuję wam, kolego Bełkot, za tę szczerą wypowiedź - powiedział Kulas. Starał się nadążyć za nami na swojej krótszej nodze /"kuśtyk, kuśtyk" coraz prędzej/.

- I otwartą, myślę - dodał Bełkot. - Dzięki stanowczej postawie koleżeństwa, zadania wykonamy wkrótce.

- Tak jest - mówi Kulas - w oparciu o pozytywne doświadczenia.

- Bezspornie i oczywiście. Należy zwrócić uwagę na osiągnięcia.

- Jako wynik wzrostu siły.

- Oraz cennej inicjatywy. - Bełkot staje nagle i szarpie Kulasa za ramię: - Zapomnieliście o podnoszeniu roli! - krzyczy, jakby o coś naprawdę był zły. Nawet Mojka obejrzała się na nich.

A Kulas nie pęka: - Za to stale rozwijamy aktywność!

I Bełkot: - Dziękuję, kolego Kulas. To będzie waszym poważnym wkładem.

- W utrwalenie na rzecz - truje Kulas

- Zgadzam się z wami, tak jest - mówi Bełkot.

Nasz śmiech. Ona zatrzymała się przed ostatnim domem. Wiedzieliśmy, że tu jest ostatni dom, obok ostatniej latarni, a dalej ulica kończy się polem. Było już bardzo ciemno. Zaczął mżyć deszcz.

Oni przestali nawijać. I zrobiło się cicho.

- Na co czekacie? - spytałem, pamiętam. - Jak Boga kocham, to w sumie za długo trwa. - Nagle ogarnęła mnie złość. Nie wiem czemu - może tego śmiechu było za dużo?

Mojka szarpnęła furtkę i wbiegła na podwórze. Rozszczekał się zaraz pies /wściekły psi jazgot słyszeliśmy chwilę/. Potem drzwi w głębi otworzyły się - musiała mocno pukać, czy dzwonić. Ktoś stanął w prostokącie światła. To był tęgi zgred - pewno właściciel. Krzyknął zaraz na psa, który umilkł, jakby hamulcem dostał. Łańcuch przy budzie zadzwonił, a potem zrobiło się cicho, tak cicho, że całą rozmowę słyszeliśmy za płotem.

- Proszę mi pomóc - powiedziała. - Chcą mnie zgwałcić.

Cep /po chwili/: - Kto?, Co?, Gdzie?

Ona /wchodząc na stopnie pod drzwiami/: - Zwabili podstępem. Idą za mną. Jest ich pięciu.

Cep patrzy nad głową Mojki. I pewno nic nie widzi, bo tu, gdzie stoimy, jest ciemno. Słyszy tylko nasz śmiech /śmiejemy się wszyscy - ja, Bełkot, Banan, Kulas najgłośniej/.

Mojka klepie swój pacierz: - Pan mi pomoże, pan mi pomoże... Oni nie mają skrupułów! - Chce wejść do środka, wciska się obok cepa w drzwi.

On w progu stanął - nie puszcza. Bierze Mojkę na krzyk:

- Gdzie się pchasz, pindo? Do cudzego domu?

Nasz śmiech. Ona /odepchnięta, ale jeszcze na ganku/: Proszę mi pomóc. Na miłość boską.

Zgred w drzwiach nie pęka: Wynocha, pindo! Jazda! - Widzimy jak rusza na Mojkę - duży, taka wielka biała buła - w podkoszulku, garścią przytrzymuje spodnie. Posuwa na Mojkę brzuchem, a ona cofa się przed nim. Idą tu, do nas - z powrotem. Śmiejemy się, mży deszcz. Pies znów zaczyna szczekać.

W otwartych drzwiach staje baba. Wyciera ręce o fartuch i patrzy, jak cep brzuchem wypycha Mojkę z podwórza. Postępujemy się. Skrzypi furtka. Cep wraca zaraz. - Cicho! - krzyczy na psa. I do kobiety: - Pinda jakaś Po nocach się włóczą, a potem dziwią, że pięciu czeka!

- Są tam? - pyta baba.

- Czekają - odpowiada cep. - Jak psy na sukę.

Nasz śmiech. On zatrzaskuje drzwi - gasi lampę nad gankiem. Cisza i tylko cienko dzwoni łańcuch na podwórzu. Ona plecami oparła się o płot. Oddycha szybko. Ten kuferek trzymała przed sobą.

To wtedy Kojo podszedł do niej. Nie mówił nic, tylko palce zaczął odrywać od płotu /wolną ręką trzymała się sztachet/. Mocował się chwilę /mocno musiała chwycić/, potem uderzył w twarz i ona puściła zaraz. Wtedy Kojo pchnął. Zatoczyła się i upuściła kuferek.

Bełkot i Kulas chwycili Mojkę z dwóch stron. Krzyknęła coś, ale niewyraźnie - chyba Kulas bił. Zaraz skręcili w bok, na ścieżkę przy zagrodzie. Dalej były pola, a bliżej rosło kilka jarzębin.

Schyliłem się, podniosłem kuferek i wolno poszedłem za nimi. Bili ją. Pamiętam, że coś krzyczała po ciemku. Nie wiem cze-

mu, nie chciałem patrzeć /tam gdzie poszli błyskało światło latarki/. Pies zaszczekał znów i umilkł. Kiedy podszedłem bliżej leżała na ziemi.

- Ty - powiedział Bełkot do mnie - chodź tutaj. - Kulas poświecił latarką. I Bełkot: - Stań, stań tutaj!

Zobaczyłem jej głowę pod nogami. Wtedy upuściłem kuferek. Upadł na piach i wysypała się te wszystkie drobiazgi ze środka: lusterko w srebrnej oprawce, szminka, niebieski kalendarzyk, ta maskotka. Bełkot trzymał jej ręce w przegubach /przyciskał do ziemi nad głową/.

- Stawaj! - wysapał. Klęczał wciskając jej ręce w piach. Ona na twarzy miała ziemię z piaskiem. Banan i Kulas siedzieli na jej nogach. Tylko Kojo czekał.

Spytałem, pamiętam: - Gdzie mam stanąć? - a Bełkot powiedział: - Na ręce.

Wtedy stanąłem na tym cienkim zwężeniu nad garścią i wbiłem jej rękę w piach. Bełkot zaraz się podniósł. Stanął z drugiej strony. Widziałem, jak podszedł Kojo. Chyba ssał palec. Klęknął przy niej.

- Ugryzłaś mnie, kurwo - powiedział.

A na to Kulas: - Przypierdol jej, Żeniu. - I zgasił latarkę.

Ale Koji już nie bił chyba. Zamknąłem oczy i zobaczyłem to wszystko bardzo wyraźnie: jej głowę obok kuferka, rękę odwróconą garścią do góry, małe lusterko. Czułem jak ruszą palcami. I mocniej wciskałem buty w piach.

Kiedy otworzyłem oczy, znów Kulas świecił. Kojo posuwał - pamiętam, nogami szorował po ścieżce. Ona miała policzki w piasku. Patrzyłem na te drobiazgi: lusterko, kalendarzyk, maskotę. To był taki mały zając w spodenkach na szelkach.

- Zgaś - wysapał Kojo. - Zgaś.

I zaraz zrobiło się ciemno, a może zamknąłem oczy?

Kiedy Kojo skończył, dmuchali Kulas i Bełkot. Słyszałem oddechy nisko. Szczekanie psa. I deszcz: szelest w liściach nad nami. Mocniej wciskałem buty w piach.

Potem ktoś mnie szarpnął za rękaw. Jak nagle, pamiętam. Kulas świecił znowu. Zobaczyłem jej nogi rozrzucone szeroko. Zadartą sukienkę. Brzuch.

- Jedź! - powiedział Kojo.

Ukląkłem. A kiedy pochyliłem się nisko, zobaczyłem twarz Mojki z bliska. Rozmazany tusz, ziarenka piasku na wargach, na czole miała krople potu. Może płakała? Nie patrzyła na mnie.

Klęczałem tak, pochylony - poczułem jej zapach. Chyba mydła, a może lakieru do włosów? I zapach mokrych liści. Oni stali nade mną. W końcu Kojo powiedział: - Amen!

Tak było: - Amen! powiedział, pamiętam, a tamci powtórzyli chórem: - Amen.

I usłyszałem ich śmiech - śmieli się wszyscy po ciemku, bo Kulas zgasił latarkę. Wtedy wstałem. I byłem taki napięty. I trząsłem się cały, jakbym przemarzł, choć ten deszcz siąpił tylko /taka mżawka/ i wcale nie czułem chłodu. Na rękach miałem piach - wytarłem ręce o spodnie. Kulas zaświecił znowu. I spojrzałem w światło. Musieli widzieć moją twarz dobrze - każdą zmarszczkę, krostę, nos. I jak zwilżyłem wargi. Cofnąłem się o krok, a ta latarka za mną. Nie mówili nic i nie śmieli się - jakby zapomnieli o Mojce.

- Kojo zapytał: - nie chcesz?

- Nie - powiedziałem, a on zapytał jeszcze raz: Nie chcesz? Odpowiedziałem głośniej: - Nie chcę.

Latarka świeciła przede mną, blisko - zmrużyłem, pamiętam, oczy i znów cofnąłem się o krok. Wtedy zgasła. I Kojo uderzył. Dostałem w usta. I poleciałem na plecy w piach. I zaraz po-

czułem ten słony smak. Nie czułem bólu - tylko tak, jakbym zachł„snął się ciepłą wodą. Kojo pochylił się nade mną.

- Przepraszam cię - powiedział szeptem. - Chyba nie masz do mnie żalu?

Nie odpowiedziałem. Oni wszyscy podeszli bliżej. I stali pochyleni nade mną. Kulas znów świecił w twarz. Kojo zapytał: - Zrobisz to?

- Nie - powiedziałem po chwili. Mówiłem niewyraźnie. I ciepła woda wylewała mi się z ust. On jeszcze raz zapytał: - Nie zrobisz?

Nie odpowiedziałem. I zamknąłem oczy, a może zgasła latarka? Dopiero wtedy zaczęli kopać. Nie osłaniałem się, pamiętam, żeby bolało mniej. Przez chwilę widziałem błyski światła, a potem już nic. Jakbym kimał i we śnie działo się to wszystko.

I śniła mi się Mojka - szliśmy ścieżką przez las. Niebo było czyste, jak latem. I gdzieś tam rosło drzewo, o którym mówiła mi matka. Z tego drzewa krzyż zbili Panu Jezusowi. I ono całe drżało, liście dygotały, jak w gorączce. Mojka położyła ręce na pniu i wtedy te liście przestały dygotać.

A może wiatr, co wiał przed chwilą - ustał?

Kazimierz Orłoś

1973

Jerzy Narbutt

Czekać w tym mieście

Dzień do dnia, jak dwie krople. Kiedy ranne zorze wstają powoli u szyb, gdy budzik krzyczy opętany, najpierw jest to wstawanie, szybkie ubieranie, niedbałe wiązanie włosów z pośpiechem, lecz innym, niż wtedy, gdy czekałeś codziennie na Zamkowej Górze, a wskazówki zegara nie chciały iść prędzej, albo pędziły właśnie za szybko, za szybko, ulice były ciągle za długie! za długie! a dobiec do twoich dłoni chciało się najrychlej, wszystko tak przeszkadzało po drodze, tłum, wozy i przepychać się trzeba było z trudem, z niepokojem, lub w bramie, przeciągiem przewianej na wylot, przeczekiwać wiosenną ulewę, która kurtyną błyszczącą-szumiącą spadała przed oczami drocząc się i drażniąc, lub trzeba było mówić do ludzi spotykanych, gdy każde słowo, to wór ponad siły, gdy myślą szło się w górę, wysoko, gdzie wreszcie tylko ust twoich spotkanie i milczenie, najsłodsze, najradośniejsze milczenie -

więc kiedy zorze u szyb, gdy budzik, gdy to wstawanie, włosów zaplątywanie - smutek już od pierwszego wejrzenia w głąb lustra, gdzie widać ścianę i fotografię owalną, i twój łagodny uśmiech, ślad ciepła na skrawku papieru. Na ulicy pustawo, lecz kroków pospiesznych wciąż więcej, z bocznych uliczek spływają, jak strugi po deszczu, zza domów naniedbanych, niedbałych o dzisiaj, wychylonych ku jutru, z bram mrocznych, wilgotnych, z małych mieszkań, gdzie czuwać, znaczy żyć, i z małych, roztrzęsionych schodków. Powietrze jest przejrzyste, ulice wydłużone, a serce uciszone niesie ufną iskrę. Tu trzeba ją rozniecić, w uliczce-wąwozie. na krawędzi chodnika prymarii słuchanie, zapatrzenie w twarz Jej ponad Bramy, która chyli, zasłuchany, oczekująca, głowę ciąż-

ką od koron, i jest jak kłos żytni, a dłonie, najpiękniejsze dłonie na tej ziemi, poddają się wezwaniu i także czekają. Ty, która jesteś czekanie nieustające, naucz mnie czekać zawsze i o każdej porze. Za dnia, kiedy jest ciężko. W nocy, gdy tak smutno. W domu i na ulicy. Przy oknie jesiennym. Nad robotą, gdy bolą ramiona. Przy stole wigilijnym, gdy jego miejsce wciąż puste. Nawet gdy wieść zaginie. I nawet, gdy przyjdą, zapukają do drzwi i do oszalałego serca, i powiedzą, przynosząc krwawy strzęp munduru:"niech pani już nie czeka".

II

Nie uciekaj przede mną, nie odchodź w obojętność, jak za morze nie do przebycia, obojętny już dla wszystkiego, najbardziej obojętny dla mojej rozpaczy - poczekaj! niech cię nie niosą tak szybko, dopóki nie jesteś w ziemi, wszystko jest jeszcze możliwe, ulituje się Chrystus i zejdzie na ulice wileńskie, jak kiedyś w miasteczko Naim, i odda mi ciebie żywego, podniesiesz się z tych poduszek, z tych obrzydliwych białości, krew ci do głowy wróci, powieki drgną, oczy błysną i w ręce moje wyciągnięte wpadniesz, jak w gniazdo ciepłe -

nie nieście

go tak szybko, ja jeszcze nie zdążyłam powiedzieć synowi wszystkiego, odkąd twą matkę rzuciłem, nie chciałeś mnie nigdy wysłuchać, a kiedy cię twoja matka, taka triumfująca i okrutna, odkryła, prześcieradło odrzuciła na bok, żebym twe wyhiszczenie zobaczył, te straszne żrbra rozdęte ostatnim krzykiem, stałem nieruchomy, bez słowa, bez jednej łzy, choć przecie godziny liczyłem, by zdążyć do ciebie żywego, by słowo jedno, wybaczające, wyżebrać, by śmierć zażegnać, by oddech wlać ci w usta

i wszystko, wszystko odrobić, a przecież stałem bez słowa przez okrucieństwo twojej matki zamieniony w kamień, dopiero w nocy, gdy poszła, znów ciebie odkryłem, biedne ciało twoje, skóry i kości spalonych gorączką dotykałem, wielką jamę brzucha, chłopięcy włos tkliwy i te żebra, spod których wszystko wypłułeś, ja, ojciec marnotrawny, całujący baranka, którego zabiłem -

nie idźcie z nim tak szybko, czekajcie, jeszcze czekajcie, jesteście przecież zmęczeni, on taki lekki, ale dzień upalny, na pewno jesteście zmęczeni, postawcie trumnę ma jezdni, niech patrzy na nią Chrystus, niech tylko wzrokiem dotknie, wszystko jest możliwe, jeszcze mój chłopiec wstanie, zabiorę go, odchucham, całego go w sobie zamknę, jakbym był matką, nie ojcem, uniosę z krzykiem przez wszystkie ulice, przez schody obłąkane, przez drzwi, zrzucę z ciebie te śmiertelne szmaty i wynędzniałe ciało będę całował i krzyczał! jeszcze mój chłopiec wstanie, zobaczycie, wyciągnie ręce przed siebie, jeszcze śmiech jego usłyszycie, ludzie się go przestraszą, koledzy dotknąć go nie śmią, ale my uciekniemy, pójdziemy daleko, daleko, gdzie nikt nas nie znał, nie widział, a potem... jeszcze się twoje marzenia dawne spełnią, jeszcze pójdziesz, jak inni, jeszcze karabin uchwycisz, wrócisz w to miasto, jeszcze ci dzwonami wolności przywita, jeszcze -

czekajcie, ja iść tak szybko nie mogę, czemu ten pośpiech? widzicie, jaki błękit? jakie powietrze czyste? od Wilii pachnie wodą, widzicie, tam chłopiec mój pływa, żeby się nie przeziębił, lubi zgrzany wchodzić do wody...

III

Kto trącił dzwonem? Pewnie wiatr wiosenny.

Dzwon. Kiedyś z niebytu zbudził moje myśli, pierwszy głos pamiętany, pierwsze dziecięce doznanie, wsześniejszy, niż śpiew matki, wcześniejszy, niż szmery nocy. Potem witał mnie co dzień przed pójściem do szkoły, ja głos jego wpuszczałem roztwierając okna i z rannym wiatrem piłem go z jakimś zdumieniem. Zimą o wczesnym zmierzchu łzami napełniał oczy i przebłagiwać się nie dał, i brzmiał tam za szybą długo, coś złego wróżąc i strasząc. Przykatedralny towarzysz, wzywał do modlitw, do czuwań, tylu myśli spowiednik, nawet tych najsmutniejszych, gdy wszyscy odchodzą od stołów zastawionych, świątecznych, radosnych, od ciepła domowego, a ja w pustym kościele tylko z zakrystianem, tylko z organistą w najsmutniejsze nieszpory świąteczne, na które nikt nie przychodzi, a kapłan wszystkim zbyteczny, i tylko Bóg nań pytrzy i mysz spod ławki.

Nie wiem, czy lubię dzwony. Tyleż w nich laudacji świątecznej, co łez ludzkich, żałobnych. Nie mzsiałem mówić o zmartwychwstaniu nad trumną - chcć trzeba było, trzeba - ręce mi opadały bezsilnie, byłem złym księdzem, nie umiałem pocieszać, a oni, czekający na słowo pociechy, milczenie brali za oschłość serca. Mówili: owszem, przytulił, do serca przycisnął tak mocno, ale ni słowa jednego, żadnego słowa nie wyrzekł. Więc chyba nie lubię dzwonów.

Lecz jeśli... To "jeśli" we mnie trwa niezmiennie. Z trzech dzwonów tylko jeden dzwoni w każde święto. Dwa inne ciągle milczą. I będą milczały. "Nie trzeba chwały bożej mieszać do spraw ludzkich". Tak to powiedział zakonnik ganiący milczenie dwóch dzwonów. Dodał: "Radość z powodu zmartwyvhwstania Pana jest za-

wsze tą największą radością wierzących, której nic nie potrafi zaćmić, nawet mrok niewoli. Nie zgadza się ksiądz ze mną? Radzę przemyśleć do końca słowa Pana naszego: oddajcie, co cesarskie cesarzowi, a co bożego Bogu." Dziękuję ojcu za radę. Dawno przemyślałem." "więc"? "Wolność należy do pierwszych spraw boskich."

Bardzo kocham dzwony. Te dwa, które milczą. Jest w nich życie miasta - przyczajone, wychylone w przyszłość. Jest wnich nie wydzwoniona przyszła radość, nie wykrzyczane szaleństwo, które się jeszcze kiedyś nad miastem przewali, a każde okno uderzy, szybami zadzwoni... Wszystko to trwa w tych dzwonach. Czeka.

Trzeba Grób Pański szykować na jutro. Kwiatów właściwie nie ma. Ludzie nie przynieśli. Więc może ten hiacynt, co stoi na oknie? Jeden mały hiacynt! Tak będziesz ubogi, jak Twój proboszcz, co nie ma nikogo i nic.

Ksiądz podniósł się z fotela i oparł na lasce. "Wesoły nam dziś dzień nastał"? Jeśli nasi nie przyjdą, tej strofy nie będzie. Jak zwykle, jak co roku za jego probostwa. Pieśń zacznie się od strofy następnej.

Schylił się nad doniczką z hiacyntem. Przyglądał mu się ze smutnym uśmiechem. Potem przesunął po nim delikatnie palcami. Zanucił, fałszując bardzo:

Król niebieski k'nam zawitał,
jako śliczny kwiat rozkwitał...

Jerzy Narbutt

Jerzy Harbuti

DO PRZEMADRZAŁYCH

ten strój ułański
zmieniony w rzeszoto
a kpiną waszą podarty w kawałki
ten strzęp zetlały
z katyńskiego dołu
ten kawał sukna
ze dna Atlantyku
ten kombinezon
zwęglony nad Anglią
ten dress powstańczy
z akowską opaską
tę furażerkę
przepoconą lasem
ten pas zczerniały
rogatywkę
nić
te robociarskie drelichy
z więzienia
w których krew z potem zakrzepła
i cuchnie
to
czego dotknąć nie śmiem nawet w snach
cь w gardle staje z przełykanym kęsem
z lustra spogląda w puste oczodoły
rzęzi ustami pełnymi robactwa

i ziemią plują we mnie
krzycząc
m a ł o

to chcę wam wydrzeć

zostawcie
ten łach

Barbara Toruńczyk

POEZJA I WOJNA

I

Chciałabym się zastanowić cóż też się przydarzyło polskiej świadomości kulturalnej w okresie okupacji.

Sięgnę po skrajny przykład: publicystyki pisma "Sztuka i Naród" - pisma o zdeklarowanych sentymentach ideologicznych, fanatycznym stosunku do kultury, a zarazem o ogromnym wkładzie do podziemnej kultury. "Sztuka i Naród", wydawana dzięki poparciu Konfederacji Narodu, osiągnęła w prasie kulturalno - literackiej największą ilość numerów, jej współpracownicy mieli szeroko rozgałęzione kontakty z ówczesną elitą życia kulturalnego/znali Irzykowskiego, Zagórskiego, Iwaszkiewicza, Miłosza, Andrzejewskiego, Juliana Krzyżanowskiego, Tatarkiewicza, Borowego, Suchodolskiego, Millera, Lauersbergera, Jerzego Brauna, Goetla, Pietrzaka/. "Sztukę i Naród" redagowali najbardziej utalentowani - obok Baczyńskiego i Borowskiego - poeci jakich zrodził czas okupacji. Było to pismo Wacława Bojarskiego, Andrzeja Trzebińskiego, Tadeusza Gałcego, Leona Zdzisława Stroińskiego.

Krąg młodych publicystów zgromadzony wokół "Sztuki na Narodu" w żadnej mierze, pod względem ideowym i umysłowym, nie był reprezentatywny dla całości podziemia. Jednak myśl kulturalna "Sztuki i Narodu" pozwala odkryć zasadnicze rysy obrazu ówczesnego życia umysłowego. Cóż się zatem przydarzyło świadomości kulturalnej podczas okupacji?

Rzecz znamienna: oto czas, który jak żaden inny wydawałby się sprzyjać popisom retorów nihilizmu - świadomego nihilizmu nie zrodził w ogóle. Wprost przeciwnie: pośród wydarzeń, które

najgłębiej godziły w sens historii i kultury - dążono do odnalezienia tego sensu. Było to podstawowe zadanie ówczesnego życia intelektualnego.

W 1946 notował Stefan Kisielewski:"W czasie zmiennych kolei tej wojny nie jeden ze słabszych popadał w zwątpienie, niejeden był bliski załamania. Gdy brutalna siła odnosiła zwycięstwo za zwycięstwem, gdy padały jak domki z kart stolice, niegdyś bastiony wolności i kultury, gdy wszystkie - zdawałoby się - przepowiednie i groźby Hitlera realizowały się z nieuniknioną, przerażającą punktualnością - w niejednym mieszkańcu okupowanej Europy budziło się straszne przypuszczenie: a może ten człowiek odkrył ohydną prawdę, że nie ma na świecie nic poza materialną siłą, że cała podbudowa duchowa i dialektyka etyczna świata chrześcijańskiego, którą żyjemy od wieków, jest złudzeniem i kłamstwem, że tylko przemoc jest słusznością? Te myśli, przywodzące do granic obłędu, jedną tylko mogły znaleźć przeciwwagę - w oparciu o filozofię chrześcijańską, o wiarę chrześcijańską, w zaczerpnięciu z tego źródła pocieszenia, jakie udostępniała wszystkim jedyna w czasie wojny i terroru niepodległa, nieulegająca zmianom, lecz wierna swoim wiecznym założeniom instytucja - Kościół katolicki".

Stanowisko takie było w prasie podziemnej powszechne. Spośród pism okupacyjnych na pewno "Prawda Młodych", "Sprawy Narodu", "Nowa Polska", a wśród prasy kulturalno-literackiej "Sztuka i Naród", "Sprawy Kultury", "Kuźnia" i jej kontynuacja - "Dzwigary", potwierdzają tezę Kisielewskiego, że duchowej odpowiedzi na doświadczenia wojjene szukano w Kościele. Ale nie tylko mesjanistyczna filozofia absolutna Hoeno-Wrońskiego stanowiła szczególną odmianę racjonalizacji historii. "Kultura Jutra" szukała przeciwwagi dla zjawisk wojennej rzeczywistości w mistycznej wierze w stwórcze siły ducha dziejów.

Utopia społecznych radykałów, podobnie jak utopia narodowych radykałów, oparta była o wiarę w sprawiedliwość procesu dziejowego. Rozówj historii - wedle ich przekonania - zapowiadaą nieuchronną klęskę dotychczasowych "reżimów" i domagał się wprowadzenia nowych form ładu społecznego. Dyktował też sposób ocalenia społeczeństwa dowodząc, że wartością życia ludzkiego jest "absolutna zgoda z tokiem historii, jej konsekwencjami i jej nakazami" /Trzebiński/. Zachowania motywowano taką historiozofią przywracały poczucie równowagi:"Ale najwięcej nauczyła mnie okupacja. Dla mnie osobiście jedynym ocaleniem przed poddaniem się grozie, jedyną możnością oparcia się koszmarowi było przeświadczenie, że historia ma rację, że ma zawsze rację, że faszyzm zostanie zdruzgotany i że zdruzgocze go Czerwona Armia. Marksizm uczył mnie praw historii, pozwalał jej zawierzyć. Kiedy wstąpiłem do AL przestałem się bać", wspomina Jan Kott.

Zarówno utopie oparte o deterministyczny schemat rozwoju historii, jak utopie "świata stwarzanego" /twórcza rewolucja ducha "Kultury Jutra", socjalizm humanistyczny "Płomieni" i pokrewnej ideologicznie "Drogi"/odwoływały się do etyki "odpowiedzialności za świat". Etyka deterministyczna jednak domagała się militaryzacji życia duchowego, ideologicznego zakorzenienia w świecie i całkowitego podporządkowania życia indywidualnego dziejowym przemianom. Człowiek, twór procesów społedznych, miał tu jedną powinność, powinność współdziałania z koniecznością historyczną. Natomiast w utopiach "świata stwarzanego" ocena świata uzależniana jest od stopnia nasycenia kultury wartościami duchowymi. Dla jednych były to wartości wykształcone w kręgu katolickiego personalizmu /"Kultura Jutra"/, zaś socjalistyczne "Płomienie" i "Droga" odnajdywały ten sam system wartości w ideałach demokracji i humanizmu.

"Swiat stwarzany" to świat antropocentryczny. Przeświadczenie o tym, że warości życia ludzkiego mają charakter autonomiczny oraz wiara w możliwość istnienia takiego ładu społecznego, który umożliwia rozwój człowieka, wyraziły się w postulacie przeciwdziałania własną postawą moralną, intelektualną i militarną, procesem dehumanizacji życia. Szukano oparcia w trudnej wizji "świata niegotowego", któremu sens nadają ludzkie wysiłki.

Wydawałoby się, że intuicji "świata stwarzanego" towarzyszyć winno rozważne, stroniące od dogmatów i doktrynerskich zakusów podejście do spraw kultury, subtelne wyczucie jej praw i potrzeb. Nie było tak. A nie było dlatego, że myśl teoretyczna odwróciła się od realiów życia w stronę li tylko marzeń o doskonalszych formach przyszłego świata. Zerwano więzy z teraźniejszością, a więc zlekceważono konkretny, historyczny trud tworzenia i kumulowania kultury. Z takiego punktu widzenia nieistotne stały się różnice pomiędzy utopią deterministyczną a utopią "świata stwarzanego". Mimo więc odmienne intuicje filozoficzne, identyczny sposób myślenia o kulturze doprowadził do tego, że nie tylko ogólne projekty, ale i konkretne postulaty dotyczące zadań sztuki były podczas okupacji tak zaskakująco zbieżne.

Wszystkie ówczesne typy racjonalizacji historii cechował krytyczny stosunek do przeszłości. Wojna wzbudziła nadzieję na zasadniczą przemianę, a wyraziło się to w powszechnej krytyce ustroju społecznego i politycznego oraz klimatu duchowego II Rzeczypospolitej. Krytyka poszczególnych, konkretnych zjawisk w życiu społeczno-politycznym należała jednak do rzadkości. Pojawiała się zresztą tylko w pierwszym okresie okupacji, kiedy powtarzano jedynie opinie przedwojenne. W ogóle zaś starano się wniknąć w zasadnicze przyczyny kryzysu kultury, którego dowodem w opinii powszechnej była wojna. Pisma katolickie krytykowały

demokrację parlamentarną i indywidualizm ekonomiczny jako doprowadzające do "materializacji" człowieka oraz do społecznej niesprawiedliwości; to samo - pod względem filozoficznej orientacji - stanowisko występowało u narodowych radykałów. Pisma socjalistyczne atakowały postawy ustrojowe państwa kapitalistycznego. Stosunek do przeszłości, we wszelkich ujęciach, cechowało jednak lekceważenie konkretu. Schemat przesłonił realia.

Warto pamiętać, że podczas gdy wyzwolona z realiów życia myśl ideologiczna snuła abstrakcyjne projekty przyszłego świata, to o trwałość i odporność organizmu społecznego zabiegali w codziennym trudzie organizatorzy i uczestnicy podziemnego państwa, ci, którzy w konkretnym świecie podejmowali konkretne wysiłki. Tymczasem publicystyka okupacyjna pogodziła świadomość społeczną z faktem zerwania ciągłości historii. Przeszłość była brana pod uwagę wyłącznie po to, by przez jej totalną negację ujawnić wartość własnej sytuacji dziejowej. Rzeczywistość jawiła się od strony perspektyw, jakie otwierała. Zasadnicze formuły historiozoficzne wypracowane w tym okresie przewidywały kreację powojennego świata ex nihilo.

Ten sam mechanizm racjonalizowania rzeczywistości objął też dziedzinę kultury i sztuki. Kulturze dotychczasowej, która nie potrafiła uchronić świata, odmówiono racjo bytu. Prasa okupacyjna to prasa poszukująca nowego modelu kultury. Dla sztuki serwowano rolę specjalną. Miała przyjąć funkcje filozofii i metafizyki: interpretować świat, dostarczać prawd ostatecznych, odsłaniać sens historii. Miała kształtować systemy wartości, modelować wrażliwość społeczną, polityczną i narodową. Stosunek do sztuki podporządkowany został temu samemu systemowi wartości, co stosunek do rzeczywistości. Etyka "odpowiedzialności za świat" nakładała na artystów ścisły obowiązek legitymiza-

cji twórczości wartościami pozaartystycznymi. W wypadku "Sztuki i Narodu" wymóg ten doprowadził do zasadniczej negacji samoistnych wartości sztuki. Dążąc do usprawiedliwienia sztuki - publicyści "Sztuku i Narodu" nawet nie zauważyli, że stali się jej likwidatorami.

II

Publicyści "Sztuki i Narodu" głosili przekonanie o autotelicznym i niesprawdzalnym charakterze sztuki. Mieli się za prekursorów sztuki nowej, sztuki, która w swoistych, artystycznych kreacjach wyrazi logos historii. Jednak znaczenie tego artystycznego programu kryło się w podstawowym przeświadczeniu, że twórcze przeżycie doświadczeń winno zostać zawarte w określonych t r e ś c i a c h. W poglądzie tym nie byli odpsobnieni. Pisał Miłosz:"Wojna uczyniła /.../ intelektualistę wschodnioeuropejskiego - B.T./ przenikliwym w demaskowaniu złudnych pozorów i podejrzliwym. Wiele książek, które lubił przed wojną, wiele kierunków w malarstwie i muzyce odrzucił, bo nie wytrzymały próby. Gdyż dzieło ludzkiej myśli powinno wytrzymać próbę brutalnej, nagiej rzeczywistości. Jeśli nie zdoła wytrzymać, nie jest nic warte. Prawdopodobnie to tylko jest naprawdę coś warte, co zdolne jest istnieć dla człowieka w chwili, kiedy jest on zagrożony natychmiastową śmiercią.

KKtoś leży pod ogniem karabinów maszynowych na ulicy miasta, w którym toczą się zacięte walki. Przygląda się brukowi i obserwuje zabawne widowisko: kostki bruku zjeżają się jak kolce jeża to kule uderzające o ich krawędzie poruszają je z miejsca i nadają im pozycję ukośną. Taki moment osadza w świadomości człowieka poetów i filozofów. Być może jakiś poeta był uwielbiany przez publiczność literackich kawiarń i kiedy wchodził tam kierowano na niego spojrzenia, pełne ciekawości i podziwu. Jego

wiersze jednak, przypomniane w takim momencie, odsłaniają swoją cherlawość i ukazują wszelkie cechy rozrywki pięknoducha. Natomiast obserwacja kostek bruku jest czymś bez wątpienia realnym i poezja, która by opierała się na podobnie nagim doświadczeniu zdolna byłaby przetrwać zwycięsko ów dzień potąpienia iluzji, którymi skłonni są karmić się ludzie. W intelektualistach, którzy przeżyli "los desastros de la guerra" w Europie Wschodniej, zaszło coś, co można nazwać redukcja uczuciowych zabytków. Powieści psychoanalityczne pobudzają ich do pogardliwego rechotu. Literaturę komplikacji erotycznych, wciąż jeszcze popularną na Zachodzie, uważają za śmiecie. Malarstwo epigonów abstrakcjonizmu wywołuje w nich ziewanie. Są głodni - ale chcą chleba a nie hors d'oevre'ów".

Podobnie Józef Czapski, oglądając w roku 1947 "martwe natury" Bonnarda notował, że "odczuł przepaść między tym malarstwem natury, radości i czystych spekulacji barwnych, a naszą dzisiejszą rzeczywistością". I pisał:"przez lata w Polsce niepodległej walczyliśmy o prawo artystów, by żyli tylko dla sztuki, robiąc z niej, jak to chciał Matejko, służebnicę rzeczy ważniejszych. Ale co robić, kiedy tamte rzeczy, rzeczy ważniejsze w rozumieniu Matejki, przesłaniają cały świat, dławią do tego stopnia, że genialna martwa natura Bonnarda dochodzi do nas jak wyraz "raju utraconego", świata, który minął".

Obie te opinie są wyrazem powszechnej, w dobie okupacji, przemiany stosunku do sztuki. Racjonalizacja ta, domagająca się od sztuki doświadczenia o określonym stosunku do rzeczywistości była podstawowym elementem polskiej świadomości kulturalnej wniesionej w świat powojenny przez światków wojny.

K.A.Jeleński odpowiadał na te słowa: "Nie pytajmy teraz /.../

czy istniał raj inny niż własny "raj Bonnarda", tak jak w 1947 r mógł istnieć "raj Cybisa". Huizinga dziwił się podobnie w swoim "Zmierzchu Średniowiecza", że XV wiek, wiek "głodu, mordu i wojny", wiek strachu, wydał malarstwo tak idealne, kryształowo-spokojne jak van Eycka czy Memlinga. Ale sztuka może być właśnie marzeniem o "raju utraconym", może być snem o utopii, związki jej z epoką są nieraz zamaskowane, często oparte na sprzecznościach, zawsze dialektyczne".

W okupowanej prasie kulturalnej n i k t n i e r e p r e z e n t o w a ł takiego stanowiska. Sztuka uznawana, sztuka postulowana - była sztuką świadczącą historii w sposób bezpośredni i jednoznaczny. Publicyści, którzy jeszcze przed wojną zdążyli dać wyraz swojemu stanowisku o "dialektycznych związkach sztuki z rzeczywistością" - milczeli.

Zjawisko to możemy zrozumieć. Publikowali na ogół ludzie młodzi. Oni przede wszystkim bronili substancji narodowej: i czynem militarnym i aktywnością kulturalną. Oni tworzyli też klimat moralny. Sami "oczyszczeni" przez czyn", czuli się powołani do rozstrzygania moralnych i intelektualnych dylematów. Ich kodeks norm został określony przez krytykę tego, co uważali za absenteizm. Krytyka ta często była moralnie niesprawiedliwa i intelektualnie niedojrzała. Mimot to, tej właśnie moralnej presji ulegli, jak sądzę, przedstawiciele świata kulturalnego. Wyraziło się to w kompleksie "nieuczestniczenia w historii" i w poczuciu winy za spektatorski stosunek do rzeczywistości. Jest to cecha charakterystyczna artystycznego pokolenia starszego o dziesięć lat od generacji Kolumbów. Bolesław Niciński daje wyraz kompleksowi spektatora w esejach pisanych podczas wojny we Francji, gdzie zmarł, złożony chorobą; Paweł Hertz motywuje tym samym poczuciem winy wobec historii swój powojenny ekces; podobna była postawa Andrzejewskiego i Miłosza, aktywnych przecież w

podziemiu kulturalnym, lecz zdaniem młodych, niedość.

Żaden sprzeciw nie towarzyszył upowszechnianiu się poglądu, że sztuka winna bezpośrednio świadczyć historii. Toteż pogląd ten - w potocznej świadomości kulturalnej - miał charakter moralnej oczywistości. Program taki określili ci, którzy byli o b e c n i w życiu kulturalnym. Niedojrzała publicystyka młodych kształtowała intelektualne racjonalizacje. Pisma w rodzaju "Sztuki i Narodu", "Dźwigarów", "Drogi" podsuwały treści jakie winno zawierać artystyczne przeżycie okupacji. Były też treści czerpane z ideologicznych doktryn. W mniej lub bardziej schematycznych interpretacjach rzeczywistości /a nie w indywidualnej wrażliwości/ przełamywać się miała wizja świata oferowana przez sztukę.

Publicystyka okresu okupacji upowszechniła, ugruntowała i uczyniła wyłączną określoną refleksję nad światem, refleksję, która za swą jedyną podstawę i ostateczną instancję uznawała zwartą, zamkniętą, całościową doktrynę ideologiczną.

Dorobek krytyczno-literacki "Sztuki i Narodu" służyć może jako ilustracja tezy, że treści, jakie podporządkowywano programowi sztuki wyrażającej "prawdziwe doświadczenie wojny", były treściami ideologicznymi.

Publicyści "Sztuki i Narodu" domagali się, by twórczość artystyczna inspirowana była autentycznym przeżyciem okupacyjnej rzeczywistości. Pisał Gajcy: "Zmaganie się z nowym problemem, rewizja światopoglądowa dają się zauważyć tylko sporadycznie. Wojna jest dla wielu poetów pługiem przeorywującym ich zagon psychiczny. Jest czynnikiem nastawiającym, kierującym i terroryzującym. Wywołuje pragnienie objęcia rzeczywistości świeżym spojrzeniem. Poezja dzisiejsza nie ilustruje jednak żadnych komplikacji tego rodzaju. Pozostaje w dalszym ciągu łatwym

wyrazem łatwego bólu: impresje psychiczne, wariacje na ten temat, wszystko w obrębie tych samych konkluzji artystycznych".

Cytowany fragment pochodzi z recenzji poświęconej pierwszemu debiutowi okupacyjnemu - Wierszom wybranym Baczyńskiego - /Bugaja/. Gajcy zdobywa się w niej na pochwałę:

"Chciałby czytelnik wierszy niezależnych, wolnych od dydaktyzmu i tematyki wojennej./.../ Dlatego tomik Bugaja "czytelnik obojętny" brał do ręki z poczuciem miłej niespodzianki. Nareszcie coś intymnego, coś... z wczoraj".

Jednak kąśliwa to pochwała. "Sztuka i Naród" była przeciwko "tematyce wojennej", gdyż oczekiwała daleko więcej: żądała umiejętności odnajdywania w rzeczywistości jej "prawdy". Baczyński, który zdaniem publicystów "Sztuki i Narodu", odwrócił się od historii, do "prawdy" tej nie miał dostępu. W tym samym numerze pisma Marczak-Oborski wytyka Baczyńskiemu poetyckie desinteressement wobec problematyki rzeczywistości:

"A jakże to o poecie pisać? Jak o wpłątanym w barwy burzy małżonku ptaka?

Liryczną dłonią kuje migotliwe marmury w głazie powietrza, wzniosły i spokojny, na górze zbudowanej z własnych zamyśleń.

- Czy widzisz historię?

- Nie, tylko przez zielone liście widzę przeciągającą wełnę obłoków. Czas warczy, ale w mijaniu płynących szyb jest szklisty i nierealny.

Żołnierzy nie ma, są tylko wojownicy, rycerze i jeden kanonier."

Trudno uznać, by wiersze, do których aluzyjnie nawiązuje Marczak-Oborski, były wyrazem postawy eskapistycznej. Są, zamierzonym przez autora, świadectwem przełamywania się doświad-

czeń wojny w poetyckiej wrażliwości. Wiersze te są również wyrazem określonej filozofii życia i określonej historiozofii - wyraźnie różnych od propozycji zawartych w publicystyce "Sztuki i Narodu".

U Baczyńskiego odnaleźć można trudną wizję historii, w której nie ma spełnień i ostatecznych zwycięstw. Jest to wizja nieobca poezji Gajcego. Jednak ideologia "Sztuki i Narodu" domagała się innej aury psychologicznej. Tworzyły ją pewność, wiara, niezachwiane poczucie racji. Swój poetycki katastrofizm publicyści "Sztuki i Narodu" leczyli mirażem dopełnienia się dziejów, które nastąpić miało w przyszłym, ponadczasowym, absolutnym ustroju - w przyobiecanej przez Konfederację Narodu epoce zwycięskiego uniwersalizmu. Właśnie z tą eschatologiczną koncepcją historii wiązał Trzebiński swój "wzór na ład serca".

Z uniwersalizmu wywodzono konkretne i ściśle sprecyzowane postulaty ustrojowe, społeczne, polityczne, narodowościowe, kulturalne. Młodzi publicyści "Sztuki i Narodu akceptowali w całości ten lansowany przez Konfederację Narodu" program ideologiczny. Dawali temu wyraz na łamach "Sztuki i Narodu". W sporze z Baczyńskim sprawy te nie doszły do głosu. Był to spór o stosunek artysty do rzeczywistości. Zwróćmy uwagę na sposób, w jaki na łamach "Sztuki i Narodu" łączono koncepcję historii z koncepcją sztuki. Ten sam Gajcy, którego poetyckie widzenie świata tak bliskie było ówczesnemu katastrofizmowi Baczyńskiego, przywdziewając szaty ideologa stwierdzał:

"Obowiązuje wielki problem, obowiązuje kształtowanie wyobraźni /.../ czytelnika z pełną odpowiedzialnością za metodę wychowawczą. Oczekujemy rozwiązania katastroficznej, tragicznej nuty aby nie powiedziane było: rośli bezradni, gdy czas wołał o czyn /.../. Nie możemy powtarzać bezradności i lęku wobec nadchodzą-

cego /.../. Wydobycie się z trwogi katastroficznej to znalezienie prawdy. Niewiele jest chyba rozwiązań. Być słabym lub być mocnym /.../. Trudno rozstrzygnąć /.../ czy ekshibicjonizm własnej słabości jest w tej chwili moralny czy też nie. Podpowie ktoś z boku: ależ decydują wartości estetyczne, to proste! W tym miejscu wyrażam swą wątpliwość: czyżby tylko one, właśnie dzisiaj? Jak więc będzie z odpowiedzialnością, którą nazwaliśmy zdaje się - pedagogiczną? Jak będzie z ową odpowiedzialnością za próbę moralnej dywersji? Tak nazywam twórczość nie dającą rozwiązania problemów dzisiejszości..."

O tym, jak "rozwiązać problemy dzisiejszości", mówił program Konfederacji Narodu. Mówili też na łamach "Sztuki i Narodu" młodzi publicyści, gdy postulowali "nową postawę człowieka tworzącego" - postawę artysty czerpiącego natchnienie z ideologicznych wskazań Konfederacji Narodu, tej "cudownej recepty na ład serca".

Zgodnie z lansowaną postawą sztuka winna dyktować określone działania, jednoznaczne odpowiedzi, kreować miraż zwycięskiego imperium, tchnąć siłę, rozniecać żądzę władzy, walki, dominacji, upajać przyszłą mocą, przyszłą wielkością, przyszłym triumfem.

Trudno o większy kontrast między publicystyką "Sztuki i Narodu" a poetyckim obliczem Baczyńskiego. W debiutanckim tomiku znajduje się wiersz, w którym poeta przedstawił moralne i filozoficzne dylematy związane z dojrzewającą decyzją uczestnictwa w rzeczywistości. Motywacje tej decyzji są wszakże różne od tych, które odnaleźć można w "Sztuce i Narodzie". Był to wybór - w potocznym sensie tego określenia - aromatyczny. Nie stała za nim żadna ułuda. Wynikał z przekonania, że tylko poprzez uczestnictwo w rzeczywistości poeta może się "dopełnić

człowiekiem".

"/.../ Ty gdzie odjeżdżasz, coś aniołów widział
w ludziach znużonych co szli nad strumieniem,
i już odbicia ich ujrzałeś światłem,
gdy były cieniem?

Gdzie chciałeś wyczuć pod dłonią kształt lawy,
która by w gemmy zastygała zwycięstw?
Czy gdzie się bunt nie z ofnia, a z małości stawał,
a z pieśni - wyciem?

Czy gdzie się wolność stawała skuwaniem
w imię powstałych, którzy kładli nowe
kajdany, a znużeni nad wiarą czuwaniem,
spadli jak głowy?

Czyś ty nie widział, że w słabości wokół
nikt nie dopatrzył się końca przeznaczeń
i że za mały, by stanąć na cokół,
wojownik płacze?

A wiesz, że mędrców i magów spełnienia
to niebo było czynione przez człeka,
by trwał dla celu, szedł jak idzie - cieniem,
czekał jak czeka!

I wiesz co miłość - jeśli tylko sobie?
Co znaczy przemoc, jeśli tylko zemstą
za krzywdy, których nie wydrze i spowiedź,
aż staną klęską.

O, dziecko smutne, ty nie dopełnione
człowiekiem - jakby nie spełnione życiem.
Cóż to rzeźbienie, jeśli tylko w marmur

marmuru ryciem?

Cóż to pod snami jak pod palcem czułym
znajdziesz, gdyś człowiek przez ciało i ruchy,
kiedy cię smutkiem w kamieniu wykuły
najczystsze duchy?

Nie płacz i pojmij prawo, które mija,
i pojmij sen, a tając pojmowanie, uczyń
żywy grom w głazie jak ręka niczyja,
co żyjąc - uczy."

Przasłanie zawarte w tych wierszach nie przyciągnęło uwagi publicystów "Sztuki i Narodu"; stać ich było tylko na łatwą ironię i prymitywny w kontekście wierszy Baczyńskiego zarzut eskapizmu.

W okresie, kiedy Baczyński publikował swój tom, nie wyraziło się jeszcze w jego wierszach pozytywna decyzja walki. Zostaje ona sformułowana dopiero w programowym wierszu "Wybór", pisanym od maja do września 1943 roku. W czerwcu 1943 Baczyński został członkiem Harcerskich Grup Szturmowych AK. Decyzja przystąpienia do zbrojnego oporu zaznaczyła się w jego poezji przypływem tematyki żołniersko-patriotycznej i zamknęła okres poetyki katastrofizmu, obecnej jeszcze w Wierszach Wybranych. Publicyści "Sztuki i Narodu", koledzy Baczyńskiego, nie poświęcili temu uwagi. Poezja Baczyńskiego nie interesowała ich jako zjawisko artystyczne. Krytyczny stosunek do jego wierszy - to krytyczny, pełen schematyzmu, stosunek do jego filozofii życiowej i postawy światopoglądowej. Ataki na Baczyńskiego usprawiedliwiała ich ideologiczna wiara, przekonanie, że to przed nimi odsłoniła się prawda rzeczywistości i że tylko im dany jest dar poruszania się w historii. /W okresie kiedy potępiali Ba-

czyńskiego na eskapizm, sami nie przystąpili jeszcze do zbrojnego oporu/.

Program artystyczny "Sztuki i Narodu" nie był wypracowywany pod wpływem realnych zjawisk artystycznych. Jedyny układ odniesienia stanowiła ideologia; ona dostarczała argumentów. Dlatego, mimo zasadnicze różnice, jakie istniały pomiędzy postawą Baczyńskiego a postawą Borowskiego, wiersze obu zostały skwitowane w podobny, nieważny sposób. Dla potrzeb ideologii "Sztuki i Narodu" całkowicie wystarczający był wniosek, że obaj poeci reprezentują absenteizm.

W "Sztuce i Narodzie" zamieszczono recenzję Bojarskiego z poematu Borowskiego Gdziekolwiek ziemia. Bojarski zarzuca Borowskiemu eskapizm, odrzucenie czynnej postawy wobec historii, wzgardzienie rzeczywistością. Jest to trafny opis ówczesnej postawy Borowskiego. Znajdował azyl w ponadczasowym dziedzictwie kultury, sceptycyzm przekładał nad ideologiczne wiary; z filozofii stoickiej czerpał wzory życia i hierarchię wartości i szukał spełnienia w kręgu osobistych czynów i doznań, przeciwstawiając poezję, naukę, miłość i przyjaźń wartościom realizowanym w obrębie zbiorowego ruchu. Tym też różnił się od Baczyńskiego, który bliski był "Płomieniom" i akceptował intelektualnie i moralnie imperatyw uczestnictwa w losie wspólnoty. Borowski umieszczał się poza historią. W 1942 pisał w wierszu dla przyjaciela, Marczak-Oborskiego:

"/.../ Słuchaj - ziemia grzmi marszem, gdzie rytm haszych nóg?
i czemu nikt z walczących świętej nie ma racji?
A my? Tylko nie śpimy nocą i czytamy wiersze
w gronie przyjaciół.

To prawda - nie służymy cudzym ideologiom.
A hasła? Żadnym hasłom nie jesteśmy wierni.

Więc nas nie wydrukują na uchwałę sejmu,
nie zbudujemy imperium.
/.../ Lecz, przyjacielu, minie przeklęty czas służby
i tylko to zostanie, że mieliśmy przyjaciół
o pogodnym spojrzeniu, o wierze wbrew nadziei,
jak mistrz Horacy.

Że wśród szczęku oręża czuliśmy muzyki powiew
i śpiew daleki Muz - wplątani w jarmark historii,
powiedzmy słowem dawnej, nieśmiertelnej pieśni:
"Non omnis moriar".

A także, przyjacielu, że minione nazwać umiemy
i słowo wznosimy trwalsze nad wieże i obeliski z żelbetu
patrzymy na świat z wysoka i niechaj w nas rośnie
duma poetów".

recenzowany w "Sztuce i Narodzie" poemat "Gdziekolwiek Ziemia /drugi, po Wierszach Wybranych Baczyńskiego debiut okupacyjny/, to katastroficzna wizja dziejów. Zdaniem Tadeusza Drewnowskiego "Gdziekolwiek Ziemia", poemat o "lądzie próchniejącym w eterze", to pożegnanie z romantyzmem, z młodzieńczą wiarą, zwątpienie w ład i celowość. /.../ To co poecie wydawało się jawą /rozumność, celowość wszechświata i ludzkich dziejów/, okazuje się snem i złudzeniem; to co wydawało się ze snu i mgieł /dziwność świata i ludzi, szaleństwo historii/ okazuje się kamienną rzeczywistością". Kazimierz Wyka zwraca uwagę na podobieństwo tego widzenia świata z poetycką historiozofią Gajcego. Jednak Bojarski, który recenzował poemat, poddał krytyce jego artystyczną wartość gdyż nie odpowiadała mu postawa światopoglądowa autora. Postawę ideologiczną autora uznał za kryterium oceny artystycznej wartości sztuki i wywodził, że postawa ideologiczna wpływa bezpoś-

rednio na siłę przeżycia estetycznego:

"Będę mówił o postawie autora tomu Gdziekolwiek Ziemia. Czy uważam ten problem za ważniejszy od zagadnień czysto estetycznych? Bynajmniej. Najważniejszy w poezji jest stopień wzruszenia estetycznego. Postawa autora jest jednak zasadniczą sprężyną w mechaniźmie twórczym. Atmosfera emocjonalna i pogląd na świat to grunt, z którego wyrasta dopiero przeżycie estetyczne. Większe lub mniejsze uświadomienie sobie właściwości tego gruntu równa się większej, lub mniejszej rzetelności przeżycia estetycznego autora? tak: ale i czytelnika także. Twórca musi ponosić odpowiedzialność za swoją postawę. Czytelnik musi tej odpowiedzialności żądać".

Za cenę nowej, mimowolnej teorii /która stan zadowolenia estetycznego utożsamia ze stanem ideologicznej satysfakcji/ udało się Bojarskienu sprostać kryteriom ideologicznym a zarazem zachować przekonanie o wierności wartościom estetycznym. Ta dialektyczna estetyka okazała się w jego wypadku nieodzowna dla kultywowania wiary w zalety "nowej postawy człowieka tworzącego" która, jak sądził, zbawi zarazem duszę i świat. W rezultacie, jak to widać w polemice z Borowskim, sukces nowej koncepcji sztuki został uzależniony od akceptacji określonego gatunku do historii. W tej samej recenzji pisał Bojarski:

"W naturze człowieka i świata walczy ciągle pierwiastek dobra i zła. Jeśli wielkim działaniom, wielkim kataklizmom dziejowym zasadnicze akcenty nadaje zło - to przecież dlatego przede wszystkim, że wszelkie dobro programowe łączy się ze słabością. /.../ Dzisiaj chodzi o to wreszcie, by dobro otrzymało siłę. Wojna obecna nie jest dla nas karuzelą szatana. Jest starciem dobra i zła. Nie przeraża nas, bo jest to przecież starcie dwóch sił.

Troska o człowieka? Tak, ona przede wszystkim. Ale niech nie

przybiera metody budowania mu sennej ojczyzny mgieł, gdy w ojczyźnie ziemskiej żyć mu ciężko. "Sztuka nasza ma być po to, aby stworzyć w człowieku postawę mocnego dobra. /.../ Autor tomu Gdziekolwiek Ziemia /.../ tak kończy jeden ze swych wierszy: "zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń". Otóż nie! Choćby miał po nas przemaszerować chamski but kata, choćby wgniótł w ziemię nasze ciała, zniszczył, zgnoił, rozmazał, choćby zmienił naszą, jakże nędzną, broń w kupę złomu - to przecież dla przyszłych pokoleń będzie ten nasz krzyk niezaspokojony, niezadławiony, żarliwy - pragnienie mocnego dobra. I choćby zawieść miało wszystko, to jedno po nas pozostanie napewno".

I właśnie co do tego miał wątpliwości Borowski. Kolega Trzebińskiego ze szkoły, uczestnik tego samego kompletu tajnej polonistyki co Trzebiński i Bojarski, Borowski niejednokrotnie krytykował treści, które kryły się za retoryką zwolenników "silnego dobra". Były to treści zawarte w ideologicznych postulatach Konfederacji Narodów: program narodowego odwetu zgotowanego Europie przez imperialną, ciemiężącą narody słowiańskie, totalitarną Polskę. Apologii tych właśnie koncepcji politycznych domagała się "Sztuka i Naród" i one miały przywiecać mieszkańcom "ziemskiej ojczyzny" w walce z okupantem.

Spór pomiędzy Bojarskim a Borowskim był sporem o postawę wobec rzeczywistości. Nie wykraczał jednak ani trochę poza ramy sporu o określoną filozofię życiową. Bojarski reprezentował wiarę, że wartości osiągalne wyłącznie poprzez duchową identyfikację z określoną ideologią. Borowski szukał spełnienia w bezpośrednich wartościach życia i przeciwstawiał się racjonalizowaniu sensu ludzkiego życia w formułach ideologicznych. Obaj byli konsekwentni: Borowski wybrał studia, Bojarski i Trzebiński - aktywność organizacyjną /kosztem studiów,

które rzucili. Była to różnica zasadnicza, ale i j e d y n a. Kiedy Borowski został aresztowany /luty 1942/, nikt z jego oponentów nie przystąpił jeszcze do zbrojnego oporu /Trzebiński był kandydatem do Uderzeniowych Batalionów Kadrowych w październiku 1942, został jednak odwołany przez Konfederację Narodu; po raz drugi zastanawiał się nad zgłoszeniem do U.B.K. jesienią 1943 r./. Również Baczyński zgłosił swój akces do bezpośredniej walki w czerwcu 1943 - rok 1943 był bowiem, dla tych kręgów warszawskiej młodzieży, rokiem wyboru. W maju tego samego roku Bojarski wraz z Gajcym i Sroińskim zorganizowali samorzutnie manifestację polityczną. Podczas składania wieńca pod pomnikiem Kopernika /"Geniuszowi Słowiańszczyzny - Rodacy"/ Bojarski został raniony; zmarł kilka dni później w szpitalu więziennym. Była to jego pierwsza akcja bojowa.

Powierzchowna, schematyczna krytyka literacka "Sztuki i Narodu" sprowadzała się do kwestionowania dotychczasowych propozycji poetyckich w imię "sztuki nowej", odkrywającej "prawdę rzeczywistości" . Pisał Gajcy:

"Żyjemy w okresie szczególnym. Dyktuje on szczególne warunki /.../ W pozornym haosie niecierpliwości godzin - zdawałoby się - nie ma miejsca dla poety. Czy zdolny jest on przebić się ze szczęku mosiężnych zdarzeń? Albo czy produkt jego talentu jest w tej chwili potrzebny? Odpowiedź pierwsza: wielka poezja ma ten sam wydźwięk, co wielka bitwa. Odpowiedź druga: w tej chwili jesteśmy głodni. Brak nam prócz chleba także poezji. Pragniemy innej rzeczywistości lub innego ujęcia współczesności. Oczekujemy nowej poezji! /.../ twórczość poetycka nie umilkła. Ale... ale drepce tą samą, wytartą ścieżynką formalną, ocierając się o te same przemyślenia".

recenzja, z której zaczerpnięty został ten cytat, omawiała

Werble wolności, antologię wierszy wydanych przez K.O.P.R. /Komisja Propagandy BiP Okręgu Warszawskiego AK/. Pisał dalej Gajcy:

"Uderza - /nie tylko w Werblach/w poezji wojny dzisiejszej jakaś schematyzacja uczucia, patriotyczny werbalizm bez żaru i siły sugerowania. /.../ Wiersz Wszystko mówi nam rzeczywiście wszystko. To znaczy: celem naszej walki, według kronikarza "Wiadomości literackich" /Antoniego Słonimskiego - B.T./ - jest jawor, komar, koń i książka /pewnie Pan Tadeusz/. Łatwa sielskość-anielskość poety jest dla nas odrażająca. Autor wykazał po raz któryś tam z rzędu, jak ogromny dystans dzieli go od czytelnika polskiego. Wykazał po prostu swoją obcość".

I tym razem okazuje się, że nawet, gdy formułą krytyki literackiej była walka o nowł poetykę, to treść, jaką wypełniano ten postulat, była wyłącznie ideologiczna. Niezgoda autora spowodowała światopoglądowe credo autora recenzowanego wiersza. Oto ono:

"/.../ O co my tak walczymy,
Za czym my tak tęsknimy?
Jakieś skarby nam wielkie odjęto?
Nie o sławę, bogactwo
Całe nasze tułactwo,
Lecz o sprawę i większą i świętą.
Nie o władzę nad światem,
Ale o to, by latem
Z książką usięść pod starym jaworem,
Słuchać wiejskich pogwarów,
I brzęczących komarów,
Koni rżących na łąkach wieczorem.
Nie - by rządzić innymi,
Lecz by w domu z swoimi

Sprawiedliwie przełamać się chlebem.
Wyjść na drogę i czyste
Witać niebo gwiaździste,
I spokojnie móc spać pod tym niebem./.../

"Sztuka i Naród" opowiadała się za zupełnie odmienną wizją życia. Tak na przykład pisał Bojarski:

"Czujemy się związani nierozłącznie z losami naszej ojczyzny, której wielkość jest oddalona od dnia dzisiejszego tylko na dystans silnej wiary. Przyszedł wreszcie czas trudny, gdy historia pod lufami armat kazała nam wybierać między imperialną wielkością a gubernialnym unicestwieniem, między wszystkim a niczym. /.../ Przed nami już tylko wielkość lub zniszczenie. /.../ nadchodzi epoka bezwzględnej, niekończącej się walki, epoka akcentowany mocnym, radosnym rytmem kroków żołnierskich i upartą wolą działania. /.../ Chcemy atmosfery bezwzględnej walki i cieszy nas radosny i słuszny rytm kroków żołnierskich." Zgodnie z przewidywaniami Konfederacji Narodu, podzielanymi przez "Sztukę i Naród", wojna przyspieszyć miała realizację Polskiego Imperium Wielkosłowiańskiego, którego granice sięgać miały od Odry po Don, od Bałtyku po Dunaj, Adriatyk, Morze Egejskie i Morze Czarne. Władza w Imperium miała być autokratyczna, ustrój gospodarczy - oparty o korporacjonizm, ustrój polityczny wykluczać miał demokrację i parlament; ustrój narodowościowy - oparty o nacjonalizm i ograniczenie swobód narodowościowych ludów podbitych; system władzy - charyzmatycznej i autorytatywnej - zorganizowany wokół silnej, zdyscyplinowanej, hierarchicznej, paramilitarnej monopartii. /Trzebiński, w ślad za wskazaniami Konfederacji Narodu, opowiadał się na łamach "Sztuki i Narodu" za zasadą wodzostwa w organizacji życia politycznego/. W takiej właśnie koncepcji świata Słonimski widział

zagrożenie największe. I dlatego właśnie nie pierwszy i nie ostatni raz uznany został za "obcego".

III

Program artystyczny "Sztuki i Narodu" formułowany był jako program sztuki wyrażającej "prawdę historii": "Wydawałoby się rzeczą oczywistą, że dziejąca się przed naszymi oczami apokalipsa zmieni i pogłębi nasz stosunek do sztuki. W zarze dokonujących się przemian oczekujemy na dzieła będące sądem nad rzeczywistością, odkrywające jej sens i wyrażające jej dziwną potęgę"/Marczak-Oborski/. Jednak wyrok tego sądu już zapadł. Doktryna ideologiczna Konfederacji Narodu była instancją orzekającą o "prawdzie" rzeczywistości. Krytyka literacka "Sztuki i Narodu" to w gruncie rzeczy formuła walki o nową rolę sztuki. Miała być to sztuka o zadaniach czysto instrumentalnych, zadaniach propagandowych. Czasami pisano o tym wprost:

"Naród polski walczy. Celem walki jest odnowienie się wewnętrzne i zdobycie prowadzącego miejsca w nowej epoce. Sztuka polska musi wziąć udział w tej walce. Inaczej będzie wrogą przeszkodą, rozpraszając swoimi dziełami koncentrację narodowej woli. /.../ Sztuka polska musi odkrywać formę nowej epoki i wyrazić w niej syntezę kultury polskiej: tęsknotę i podążanie za silnym dobrem. Wtedy też sztuka polska będzie organizować jedność potęgi społecznej"/anonimowy publicysta "Nowej Polski" dla "Sztuki i Narodu", "Czego Polska oczekuje od swojej sztuki"/.

Bezpośrednim rezultatem tego stanowiska był program sztuki utylitarnej. Sztuka ta, jak pisał Bojarski "ma tworzyć żołnierzowi wizję czynu". Jednak "sztuka prawdziwa" również miała być sztuką dyskutującą bezpośrednie rozwiązania. Zdaniem

w czynieniu zadość ideologicznym wskazaniom, którzy nie wierzyli, że człowiek samodzielnie kreuje świat wartości, którzy sądzili, że tylko odpowiednia organizacja zbiorowego życia wytwarza wartości duchowe, sztuka była - substytutem idealnego państwa.

Organizacyjne formy tego państwa, wytyczone zgodnie z wskazówkami procesu historycznego, miały kreować nowego człowieka, nową wiarę, nowe wartości. Na razie funkcje te miała przejąć postulowana przez nich sztuka. Ta, usankcjonowana przez ducha dziejów, miała dostarczać ostoi przeciwko zwątpieniu, chronić mocą i prawdą.

Publicyści "Sztuki i Narodu" nie dostrzegali wszelako, że zalecanym przez nich tworzywem artystycznym była ideologiczna interpretacja świata. Sztuka dostarczać miała nie jednej z wielu możliwych wizji historii, lecz p r a w d y objawionej w ideologicznym widzeniu. Dlatego redukcji sztuki do roli artystycznej ideologii nie towarzyszyła intencja zaprzeczenia sztuki, lecz afirmacja jej samoistności. Publicyści "Sztuki i Narodu" do końca wierzyli, że postulowanej przez nich sztuce uda się przejść "samodzielnie przez ten pas, jaki dzieli zawsze kulturalną ideologię od artystycznej, spontanicznej twórczości" /Trzebiński/.

Program artystyczny został sformułowany przez publicystów "Sztuki i Narodu" wyłącznie w kategoriach ideologicznych. Ich twórczość literacka była radykalnie odmienna i świadczy o zupełnie innej świadomości twórczej. Jednak język, w którym formułowali dezyderaty kulturalne i estetyczne, był językiem ideologii, wyznaczał granice świadomości estetycznej publicystów "Sztuki i Narodu". Ich koncepcję życia określił arbitralny wybór świadomości. Słowa, z jakiego chcieli wywieść świat, nie-

kali w ideologicznym uniwersum, a nie we własnej wrażliwości, tej, która była logosem ich sztuki. Doktryna Konfederacji Narodu określiła ich świadomość i ich estetykę. Sami uczynili się jej narzędziem i tego samego żądali od innych, choć jeszcze nie od siebie.

A jednak przynajmniej niektórzy z nich byli świadomi, iż zasada uzgadniania twórczości z postulatami ideologicznymi prowadzi do sprzeniewierzenia się sztuce. W swoim dzienniku pisze Trzebiński: "Ludzie, z którymi wiąże mię siła, a zamyślenie, a sztuka - ? zamyślam się już bardzo rzadko a od sztuki odpływam w ogóle./.../ Piszę coraz lapidarniej, a może nawet i czuję, i przeżywam coraz lapidarniej, to znaczy coraz kamienniej. Ale jest to życie o którym pisać trudno albo nawet niemożliwe, życie paradoksalne, napięte i piekielnie pozbawione czasu na autokontemplację. /.../ Poza tym pisze się tak inaczej. Nawet w mój styl SIN'u przenika to wszystko. Ta pogarda dla niezdecydowania i niepokoju. Piszę, jakbym był nawet w publicystyce - mówcą, prelegentem. /.../ Nie jestem już poetą, nie jestem już poetą... nie jestem w ogóle artystą obecnie/.../ Żal mi!"

Te wyznania - to nie tylko świadomość rogowacenia wrażliwości pod wpływem wojny, ale i proces samozniszczenia przez ideologię. Dziennik Trzebińskiego to dokument tego procesu. Jest to dokument intelektualnej i artystycznej przemiany człowieka, który oddał się w służbę ideologii i który chciał dostosować do niej swoje życie i swoją twórczość.

Konflikt ten odnaleźć można, już po wojnie, u Tadeusza Borowskiego, gdy zażądał od ideologii, z którą się związał, tego samego, co niegdyś jego nieżyjący już koledzy ze "Sztuki i Narodu". Podczas okupacji potępiał ich. Krytykował ich nacjonalizm i imperialne urojenia: sceptycyzm przekładał nad

dogmatyczną wiarę; w mądrości starożytnych filozofów szukał schronienia przed rzeczywistością wojny. W parę lat później zawierzył siebie innej ideologii. Oparł na niej tylko swoją publicystykę literacką i społeczną, domagając się, jak niegdyś "Sztuka i Naród", zaangażowania sztuki w najsłuszniejszy ze światopoglądów. Oddał ideologii swój talent. Uznając jej nadrzędną wartość zdecydował się "przydeptać gardziel swojej pieśni". Paradoksalnym zbiegiem okoliczności to on, a nie poeci "Sztuki i Narodu", przeszedł do końca wskazaną przez nich drogą. Gajcy, nawybitniejszy poeta "Sztuki i Narodu", nigdy nie postawił siebie wobec konieczności dokonania takiego wyboru. Jeszcze potrafił łączyć działalność twórczą z ideologią. Schematyzm, w jaki popadł w publicystyce, wynagradzał sobie w poezji. Twórczość literacka była dla niego jedynym terenem, na którym miał odwagę stawać samotnie wobec świata. Tu czuł się wolny od doktrynalnych racjonalizacji. Poetą pozostał wbrew nim. Do poglądów, które głosił w publicystyce, nie dostosował własnej twórczości.

Spośród okupacyjnych pism kulturalno-literackich "Sztuka i Naród" wyróżniała się wyjątkowo skrajnym, wręcz fanatycznym stosunkiem do kultury i sztuki. Dążyła do okrojenia życia kulturalnego, zamierzała wyposażyć politykę kulturalną w najbardziej radykalne sankcje i najdalej idące prerogatywy. Nie wahała się rzucać hasła uniformizacji kultury, chciała objąć wszechstronną kontrolą życie środowisk twórczych, przesycić wszelkie dziedziny życia nacjonalizmem i duchem walki, żądać dowodów ideologicznej lojalności od wszystkich, którzy pełniliby jakiekolwiek funkcje zawodowe, społeczne, politycznej poddać systematycznej i wszechstronnej indoktrynacji całe społeczeństwo, by oprzeć na sile rozniecconego fanatyzmu funkcjonowania wszelkich ogniw reżimu. Sztuka nie stanowiła wyjątku. Była rejonem

zastrzeżonym dla wyznawców.

Jednak nawet ten krańcowy stosunek do kultury jest tylko szczególną odmianą podzielanego przez całe kulturalne podziemie widzenia tych spraw.

Publicyści "Sztuki i Narodu" postrzegali zjawiska kulturalne wyłącznie w perspektywie ideologicznej i potrafili w tym zjawiskach odnaleźć tylko taki sens, jaki wynikał z wyznania ideologicznej wiary. Podejście to znamionuje całą prasę kulturalną podziemia: okres okupacji to okres w którym ideologowie stali się podstawowym źródłem informacji w sprawach kultury. Każde pismo kulturalne wiedziało, jaka powinna być sztuka, jakie ma wyrażać treści i uczucia, jakie cele ukazywać. Uderza jednolitość postulatów zgłaszanych pod adresem przyszłej sztuki. Miała to być sztuka zawierająca określone credo, sztuka dydaktyczna, mobilizująca siły narodu do walki i przebudowy ojczyzny. Wołano o literaturę heroizmu, walki i służby narodowej. Zacytujemy parę typowych wypowiedzi.

"Kuźnia" /Miecz i Pług/ domagała się twórców "wskazujących drogi, przepowiadających przyszłość, duchowych kierowników i nauczycieli mas" i wymagała od ich myśli "aby były one nie tylko zdrowe, piękne i możliwie oryginalne, ale również żeby były celowe, zharmonizowane z tymi ideałami i wartościami, które tkwią i narastają w narodzie". Pismo postulowało twórczość "odrodzoną, świadomą swoich celów i odpowiedzialną, twórczość na wskroś "swojską, narodową", twórczość "która by miała te tak pożądane cechy: zrozumienie misji za ideę przewodnią, wychowanie oraz harmonijność stosunku do treści duchowych narodu".

"Przełom" /P.P.R.: "Literatura musi /.../ prowadzić i zagrzewać do boju. Mobilizacja najszerszych mas naszego społeczeństwa pod hasłem wyzwolenia ojczyzny, przejęcie roli "narodowego su-

mienia"-oto zadania literatury w chwili obecnej".

"Naród i KUltura" /Polska Podziemna/:"W walce tej literatura/.../ rezygnując z wielu ambicji "estetycznych", musi stać się jednym z czynników dających zwycięstwo /.../ Dzisiaj - chcemy literatury walczącej - dostosowanej do warunków pracy podziemnej. Jutro czekamy na zdrową, heroiczną /.../ literaturę, zdolną wyzwolić z narodu zapas jego moralmych sił i zapał pracy konieczny w budowie Wielkiej Polski".

Młoda Polska /Stronnictwo Narodowe/:"dziś znowu pragnęlibyśmy utożsamić pracę literacką ze służbą narodową. W obliczu zadań, jakie mamy do wypełnienia, staje się to patriotycznym obowiązkiem twórców. Wołamy o wielką, polską "literaturę" przyszłości."

"Lewą Marsz" /Polscy Socjaliści/: "/Polskie masy robotnicze/ podniosły wysoko sztandar walki o wyzwolenie społeczne, o niepodległość. Z walką klasy robotniczej, z walką pracującego chłopstwa związana jest najserdeczniejszymi węzłami nasza literatura proletariacka./.../ Tli już /rewolucja proletariacka/ w sercach i mózgach milionów robotników, rozpala potężny płomień nowych pieśni, nowych potężnych strof, nowych hymnów robotniczych. Dziedzictwo po wielkich romantykach obejmie literatura proletariacka."

"Kultura Jutra" /Unia":"...oczekujemy od poezji polskiej, że wyrówna lata swojego upadku i stanie się jak niegdyś poezja wieszczów, gołębicą jutra, nie będzie powtarzana głucho za dawnymi wieszczami wykute przez nich prawdy, lecz pójdzie w pierwszym szeregu nowych narodowych przeznaczeń..."

"Kultura Polska" /Ojczyzna - krąg poznańskich nauczycieli/: "Karmiliśmy się finezjami psychologizmu i estetyzmu, podczas gdy trzeba się było karmić heroizmem, rozwijać władze woli, poczucie odpowiedzialności zbiorowej i indywidualnej za każdy postępek i

czyn pod kątem widzenia dobra ogólnego, instynktu władzy i mocy. /.../ dadzą się sprecyzować następujące postulaty, dotyczące życia kulturalnego w przyszłej Polsce: Zerwanie z postawą bierną, kontemplacyjną, przeżyciowo-poznawczą, a przyjęcie postawy aktywnej, dynamicznej, heroicznej, woluntarystycznej, zgodnie z duchem nadchodzącej epoki, a szczególnie z duchem narodu naszego."

"Watra" /Młodzież Polska":"Funkcję społeczną literatury nie jest dostarczanie morfiny tym, którym chleba brak - tzn zbiorowemu, przeciętnemu odbiorcy. I im bardziej produkcja pisarza będzie nastawiona na konsumpcję najszerszych mas, tym zasługa jego będzie większa. Czasy nasze będą bowiem pilnie potrzebowały zorganizowania duchowego mas dla obrony ich przed zdziczeniem. Minęły czasy, gdy pisarz mógł bezkarnie bronić się przed tzw "tendencją społeczną" i wmawiać sobie i innym, że on gwiżdże na takie rzeczy, lu że najlepiej służy wszystkim, wyrażając najlepiej siebie. Może się zdarzyć bowiem w przyszłości, że na takie aspołeczne cele nie uzyska przydziału potrzebnej ilości drukarskiego papieru. /.../ Przyszła demokracja społeczna/.../ nie będzie/.../ mogła pozwolić na krzewienie drogą prppagandy literackiej biernej i nieżyciowej postawy estetyzujących snobów, wykwintnych perwesjonistów i psychologicznych artystów wszelkiego autoramentu."

Jedynie nieliczni, jak Pohoska /"Droga"/, Wyka/"Miesięcznik Literacki"/, Horzyca /"Nurt"/ przeciwstawiali się waniu twórczości literackiej.

Cytaty takie można mnożyć. Zasadnicza przemiana świadomości kulturalnej nie polegała jednak na tym, że powszechnie żądano sztuki zaangażowanej w problemytykę życia narodowego, lecz że powszechnie chciano podporządkować tę twórczość konkretnym i ściśle sprecyzowanym treściom ideologicznym. Zada-

niem artysty stało się wynajdywanie środków potęgujących efekty z góry założone. Od sztuki przestano spodziewać się n i e o c z e k i w a n e g o. Od sztuki spodziewano się gry przejrzystych znaczeń, spoza których wyzierać miał świat formuły ideologicznej: sztuka mogła być tylko jego potwierdzającym refleksem. Przede wszystkim zaś - nie wolno jej było naruszać widzenia świata wykształconego w ideologicznym uniwersum. Sztuka, otwarta dla tych, którzy potrafią wobec niej oniemnieć, wyzbyć się przekonań, zapomnieć nazw rzeczy znanych - stać się miała echem ideologii. Nie było takiego nurtu artystycznego czy dzieła, które ostałoby się gniewnej krytyce światopoglądowej. Wszystkie dotychczasowe dokonania artystyczne przymierzano do prokrustowych miar ideologii - doktrynie przyznawano prawo osądu sztuki, a od twórczości zażądano, by szukała dla siebie u s p r a w i e d l i w i e n i a, usprawiedliwienia światopoglądowego. Upominano się wyłącznie o społeczne, propagandowe zadania sztuki i one to przesłoniły zagadnienia estetyczne. W rezultacie sztuka straciła status swoistej, niesprawdzalnej rzeczywistości, dominować natomiast zaczęło stanowisko przedziwnego redukcjonizu estetycznego. Zakładało ono z a s a d n i c z ą r o z k ł a d a l n o ś ć dzieła na "treść" i "formę" i koncentrowało się na treści uzależniając od niej ocenę wartości artystycznej. Za podejściem takim krył się instrumentalny stosunek do sztuki. Została ona radykalnie podporządkowana zadaniu transmisji określonych znaczeń ideologicznych i przekształcona w narzędzie propagandy światopoglądowej. Taki stosunek do sztuki uznano za o c z y w i s t y. Ostateczny kształt nadali temu programowi teoretycy i praktycy kultury lat pięćdziesiątych.

Barbara Toruńczyk

Andrzej Drawicz

LIST DO WŁODZIMIERZA BOGOMOŁOWA

Szanowny Włodzimierzu Osipowiczu,

opublikował Pan doskonałoą powieść "W sierpniu czeterdziestego czwartego...". Doskonałą pod każdym względem, z wyjątkiem aspektu, który ma dla mnie i moich współrodaków znaczenie szczególne: jest nim właśnie sprawa polska, jej charakter i los na Wileńszczyźnie, w czasie, który określił pan tytułem. Istotne tej sprawy elementy w Pańskim naświetleniu budzą sprzeciw - i dlatego zwracam się do Pana z listem, w nadziei, że przedstawiwszy w powieści sój autorski punkt widzenia, zechce pan być może zapoznać się z punktem widzenia Pańskiego polskiego czytelnika.

Proszę nie wziąć za zdawkową uprzejmość, lub zwyczajową asekurację, kiedy się obłudnie chwali, by potem tym ostrzej ganić - tego, co piszę w pełnym przekonaniu: bardzo cenię Pańskie pióro, i bynajmniej nie jestem w tym u nas odosobniony Pański "Iwan" i "Zosia" zostały u nas bardzo dobrze przyjęte, trafiły szeroko, także dzięki wersjom filmowym Tarkowskiego /jako "Dziecko wojny"/ i Bogina; Pańskie przejmujące miniatury prozatorskie o wojnie drukowano w prasie literackiej i włączano do wydarzeń zbiorowych. Należy pan do pokolenia kombatanckiego wojna wycisnęła się na Pańskim losie, potrafi Pan opowiedzieć o jej okrucieństwie żarliwie i bez wyważania aptekarskich miarek. Poznaliśmy Pana jako prawdomównego humanistę, a także jako człowieka bliskiego nam duchowo i życzliwego polskości; "Zosia" daje tu świadectwo oczywiste, pięknie skreślone, nasycone prawdziwą bijką, tym szczerszą, że zderzoną z brutalną zajadłością unicestwienia. Wiedzieliśmy, że czuje Pan ciężar spraw społecznie najboleśniejszych - przeklętego dziedzictwa czasów bezpra-

wia:, wystarczy przeczytać kilkanaście linijek "Szpitalnego sąsiada", będących monologiem człowieka, który "dwadzieścia trzy lata uczciwie i nienagannie pracował w organach", obnosi niezachwiane poczucie własnej słuszności, oraz szczere zdumienie, że go "kiedy ta cała borowszczyzna się okazała" - zwolniono; "a pozwolę sobie zapytać - za co?" To wyliczenie wyrywkowe; dość powiedzieć, że dał nam się Pan poznać jako pisarz pełnej miary sumienia i talentu, od razu dojrzały, świadomy kunsztu i odpowiedzialności za słowo; nie darmo chyba publikował pan niewiele i z dużymi przerwami, ale za to wyłącznie rzeczy ważkie. I - jako nasz przyjaciel.

O nowej powieści Pana słyszeliśmy od dawna. Informował Pan polkich wydawców o jej losach; wiadomo, że nie były łatwe. Liczył Pan, że "W sierpniu...", gdy się już ukaże, szybko trafi do polskiego czytelnika. Byliśmy gotowi, mieliśmy przecież do Pana zaufanie i czuliLmy - bo wiele znaków na to wskazywało - że powieść będzie wydarzeniem.

Istotnie, wydarzeniem została. Ale nas - ludzi przez Pana pisarstwo wcześniej zjednanych - zaskoczyła i zasmuciła. Jestem głęboko przekonany, że tłumaczyć jej i wydawać po polsku nie należy. Przyniosłoby to nieobliczalne szkody procesowi naszego rzeczywistego i szczerego duchowego zbliżenia, a więc sprawie, na której ludziom dobrej woli po obu stronach granicy powinno bardzo zależeć.

Powtarzam z przekonaniem: jest to powieść doskonała we wszystkich swych płaszczyznach, z wyjątkiem jednej. To właśnie stwarza w naszym odczuciu wymiar s p r a w y tej powieści, bo gdyby była tandetna, nie warto byłoby kruszyć o nią kopii. Tymczasem jej nakłady rosną, i siła pańskiego talentu wspiera - niestety - złą sprawę, sprzyjając w powstaniu świadomości setek tysięcy Pańskich czytelników fałszywych pojęć.

Pokazał Pan doskonale prace grupy operacyjnej kontrwywiadu, działającej w okolicach Lidy latem 1944. Tu pańska rzetelność przemówiła z pełną siłą, obalając tanie stereotypy sensacyjnych historyjek. Praca jest twarda, żmudna, niebezpieczna, nie przebierająca w środkach. Zacytuję jednego z Pańskich bohaterów. "Kontrwywiad - to nie zagadkowe piękności, restauracje, jazz i wszechwiedzący dżentelmeni, pokazywani w filmach i powieściach. Kontrwywiad wojskowy - to ogromna, ciężka robota... Czwarty rok po piętnaście, osiemnaście godzin dziennie - od pierwszej linii, na całej przestrzeni zaplecza operacyjnego... Ogromna robota nasycona potem i krwią... Tylko w ciągu ostatnich miesięcy poniosły śmierć dziesiątki funkcjomariuszy - a w restauracji nie byłem przez całą wojnę ani razu". Istotnie, tak u Pana to wygląda - bez taniochy; toteż czy się opisywaną formację lubi czy nie lubi - bez kwestii czuje się, że jej obraz, z metodami, chwytami, sposobami działania, jest tak wierny jak w dzisiejszym opisisie być może. To już sprawa pozaliteracka; posunął Pan tu po prostu prawdę historyczną, z jej dobrem i złem, kawałek ku przodowi, i za to należy się Panu z szacunkiem ukłonić. Zwłaszcza, że jak wieść niesie, kosztowało to Pana wiele trudu i nerwów już po napisaniu powieści, co i nie dziwota, bo ta sfera tak szczerego ujęcia nie lubi, swoje prawdziwe tajniki najchętniej szczelnie osłania - także- i bardzo chętnie, przy pomocy "zagadkowych piękności, restauracji, jazzu" i wszystkiego co mile i nieszkodliwie łechce nerwy.

Więcej jeszcze; niedość, że sprawę powieściową: żmudną i krętą, fałszywymi tropymi komplikowaną, pogoń za tajną radiostacją Abwery - pokazał Pan wiarygodnie, z fachowym znawstwem, z ogromnym sytuacyjnym napięciem, rosnącym właśnie wśród działań zwykłych, wśród usiłowań często daremnych; że w finale, sposobem pozornie prostym, odtwarzając "potok wiadomości" swego bo

hatera, który sam jeden musi sprowokować i ujawnić tym samym przeciwnika - doprowadził Pan to napięcie do apogeum, i myślę, że powiedział Pan nowe słowo w wybranym gatunku, wskazując jego nowe możliwości, że doskonale wykorzystał Pan kontrapunkt cytowanych dokumentów - raz dramatyczny, raz ironiczny, kiedy indziej rzeczowy. Niedość - bo jeszcze, w krótkiej scenie u Stalina, zdołał Pan dać to, czemu nie sprostało już par tęgich piór, a co w żargonie Pańskich kontrwywiadowców nazywa się "momentem prawdy". To nie karykatura, ani penigiryk; czujemy tu i męża stanu i wodza, a zarazem oglądamy satrapę, który łamie wszelkie reguły postępowania w imię przekonań własnych i metodami psychicznego terroru mobilizuje ogromne siły i środki do celów, które akurat uznał za główne, A są to metody nieskuteczne - mimo, że raczej wskutek strachu jakim wypełnia swych poddanych generalissimus - bo mała grupka fachowców, jeśli się jej nie będzie przeszkadzać i poganiać, załatwi precyzyjnie to,do czego rozpasany stalinowski woluntaryzm skierował masy żołnierzy i funkcjonariuszy, z generałami, szefami służb specjalnych i Kierwonictwem NKWD, gdzie wszyscy przeszkadzają sobie wzajemnie i okazują się jawnie zbyteczni. To przysłowiowa kropla wody pod pisarskim mikroskopem; mała sprawa odsłania mechanizm systemu. Można Panu pogratulować: w roku 1974 pokazać taką sprawę, doprowadzić ją do druku - to prawdziwy sukces.

Proszę wybaczyć, że zapytam teraz wprost: czy z kolei sprawa Polska w Pańskiej powieści - to koszty, jakie Pan zechciał świadomie podnieść, by zyskać prawo do "momentu prawdy"? to zabezpieczecie sobie tyłów dla uzyskania względnej swobody manewru w obranym, głównym kierunku? to celowo usztywnienie własnej postawy w jednym punkcie, by czujnym obserwatorom nie

wydała się nazbyt rozchwiana? Jeśli tak, to znaczy, że Pan wszystko rozumie i ze wszystkiego zdaje sobie sprawę; że rozmowa, którą chcą z Panem podjąć, jest już od tego momentu zbyteczna, bo tylko Pańskie sumienie może Pana zapytać o moralne prawo do takiej kalkulacji.

Dopuszczam jednak i tę możliwość, że wszedłszy w krąg spraw już historycznych, związanych z Pańską biografią - zawierzył Pan po prostu sobie dawnemu, zrekonstruował swój ówczesny horyzont myślowy młodego oficera, który wie to, co widzi, a bardziej jeszcze to, o czym ustawicznie słyszy od przełożonych i aparatu propagandowego. Jest to wiedza uproszczona do podstawowych jednoznacznych formuł. Mieści się wśród nich także formuła "reakcyjnego podziemia" i "band nacjonalistycznych" - oczywista i niepodważalna, pojemna i wszechogarniająca.

Czy po upływie trzydziestolecia, będącego dla nas wszystkich porą najgłębszych refleksji i przemyśleń dotyczących spraw najbardziej zasadniczych - ta formuła nadal Panu wystarcza? Właśnie P a n u?

Wydaje mi się to mało wiarygodne, ale, powtarzam, dopuszczam taką możliwość. Muszę ją dopuścić, skoro już na czwartej stronie Pana powieści /cytuję według pierwodruku w czasopiśmie "Nowyj Mir", numery 10-12 z r. 1974/ znajduję następujący odsyłacz:

"AK /Armia Krajowa/ - podziemna organizacja zbrojna polskiego rządu emigracyjnego w Londynie, działająca na terytorium Polski, południowej Litwy, oraz zachodnich obszarów Ukrainy i Białorusi. W latach 1944-1945, wypełniając rozkazy londyńskiego dowództwa, liczne oddziały AK prowadziły działalność dywersyjną na tyłach wojsk radzieckich; zabijały żołnierzy i oficerów Armii Czerwonej, a także przedstawicieli władzy, zajmowały się szpiegostwem, dokonywały aktówe dywersji i grabiły ludność cywil-

ną. Nierzadko akowcy nosili radzieckie mundury wojskowe"/"N. Lir" nr 10 /1974 str. 6/

To początek. Później jeden z bohaterów monologuje:"Akowcy urządzali zasadzki, ostrzeliwali na drogach samochody, zabijali przede wszystkim żołnierzy.../ itd /str 18/. Po pewnym czasie następuje dokumentalna relacja o likwidacji akowskiej radiostacji/str.34/, i raport o dywersyjnej działalności Delegatury Rządu /str.63/. W następnym odcinku znajdujemy "bandy akowców/ w rozmowie dowódców kontrwywiadu /nr 11, str. 14/- a w odcinku ostatnim - raport o natknięciu się w puszczy Rudnickiej "na bandę ponad dwustu ludzi, prawdopodobnie akowców..." /nr 12, str 19/ i opis likwidacji tej bandy. Tyle dokumenty. Ponadto łącznikiem superważnej grupy Abwery, o unieszkodliwienie której właśnie toczy się gra w pańskiej powieści, jest były poski oficer Czesław Komarnicki, psudonim "Notariusz".

Włodzimierzu Osipowiczu, jest Pan zbyt dobrym literackich fachowcem, a Pańska powieść jest zbyt przemyślana w każdym obrazie - bym musiał argumentować, że taki dobór i układ świadectw i relacji o polskim ruchu podziemnym i Polakach w ogóle musi wywołać u Pańskich czytelników wrażenie jednoznaczne: polskie organizacje konspiracyjne zajmowały się przede wszystkim dywersją antyradziecką, nie stroniąc od współpracy z Niemcami. Nie będę tu Pana przekonywał, że sympatyczna i ciepło zarysowana postać starszej polskiej damy, pani Grolińskiej, nie może tego wrażenia zrównoważyć ani skorygować, poniważ włącza tu Pan inną, uczuciową, sferę, która do tamtych, ostrych i świadomie jednostronnych obrachunków po prostu nie przytyka. Świadectwa uczuciowe są nam miłe, znamy je z "Zosi"; tym razem chodzi jednak o rzetelność w tym co istotne.

Zechce Pan może powiedzieć: przecież t a k było, tak wówczas my, radzieccy oficerowie widzieliśmy wasze podziemie, takie meldunki pisano. Zgoda - ale Powieść Pana powstała jednak bez mała w trzydzieści lat później, i optykę wydłużonej perspektywy potrafi Pan doskonale wykorzystać, kontrastując ją z dokumentalnymi świadectwami tamtych dni. Przecież Pański Stalin jest Stalinem ujrzanym z naszych czasów; nie m ó g ł go Pan ani na jotę tak zgłębić wówczas, w czterdziestym czwartym - czyż nie tak? A więc - powrócę do mojego przypuszczenia - przewartościował Pan gruntownie i głęboko, wykorzystując prerogatywy pisarza z prawdziwego zdarzenia - sprawy ojczyste; natomiast miłych skądinąd sercu Pana Polaków zakonserwował Pan, świadomie lub nie, w formułach uproszczonych, i taki mi rzucił na papier.

Zechce Pan może powiedzieć z kolei: przecież nie pisałem książki o sprawie polskiej; przecież, wy, Polacy, byliście mi potrzebni tylko jako komponenci historycznego tła. Odpowiem: te komponenty, u Pana bez kwestii drugorzędne, to dotknięcie naszych starych, ale ciągle bolesnych ran. Napisał Pan kiedyś przejmujące opowiadanie "Ból mrgo serca", gdzie wspomina Pan swoich poległych, i myśli o Rosji "gdzie co druga, co trzecia rodzina opłakuje kogoś, kto nie powrócił...". My ten ból szanujemy, współodczuwamy go - więc co właściwie przeszkodziło Panu, polonofilowi, uszanować jeden z naszych narodowych dramatów?

Włodzimierzu Osipowiczu, chyba już wtedy, już jako osiemnastolatek, mógł Pan - jeśli nie musiał - odczuć choć odrobinę, czym dla nas w czasie wojny była Armia Krajowa; z jakim potężnym, antyniemieckim czynem zbrojnym kojarzą się każdemu Polakowi dwie litery, AK, tak specyficznie rozszyfrowane wpańskim odczytaniu. Bodaj że był Pan sam na terenach, które Pan opisuje;

czy już wtedy nie dotarła do Pana, echem czy refleksem, tragiczność sytuacji AK na Wileńszczyźnie? Wskażmy na moment historyczne realia: były to polskie siły zbrojne, podporządkowane oficjalnie uznanemu polskiemu rządowi i działające na teratorium, wchodzącym w skład byłego polskiego państwa, gdy żaden traktat pokojowy nie przesądził jeszcze ostatecznie przebiegu naszych granic. Nie jestem powołany, by rozpatywać to, co w sytuacji ludzi uznanych najpierw za sojuszników, a potem potraktowanych jako wrogów tak drastycznie się wówczas zawikłało; wielką i bezwzględną politykę, nauwne kalulacje, zwykłe oszustwo, nakazy żołnierskiego obowiązku, desperację, zagubienie, chęć odwetu... Nie ma też zaniaru bronić wszystkiego w czambuł, bo wiadomo że w skłębieniu akcji i reakcji działo się tam wówczas wszystko - także i to, o czym mowa w Pańskich meldunkach i przypisie. Tylko, że były to, przecież ogniwa jakiegoś łańcucha przyczyn i skutków. Czy godzi się go zupełnie ignorować? Przecież jednym z ogniw tego łańcucha, na samym jego początku była decyzja i kalkulacja despoty, którego postępowanie w sprawie dla Pana głównej, miał Pan prześwietlić precyzyjnie i ocenić uczciwie. Czy godzi się natem sprawę uboczą zakleić etykietką "bandytyzmu"?

Wiem, że to wszystko trudne, że pisarsko może teraz niewykonalne - ale wobec tego zapytam znowu wprost, nawet jeśli przekroczę w ten sposób zwyczajowe prerogatywy krytyka: czy nie mógł Pan tego po prostu przemilczeć, tak samo jak przemilczał Pan myśli Stalina o Powstaniu Warszawskim, poprzestając na stwierdzeniu że "sprawa polska" była dlań "najbardziej skomplikowana ze wszystkich"? /nr 11, str. 43/.

Co do nas, nauczyliśmy się milczeć w trudnych sprawach naszej przeszłości i cierpliwie czekać aż nastanie pora oddania im sprawiedliwości /choć akurat sprawy, o których tu mowa, potrafi poruszać, ustawicznie do nich nawiązując, jeden z naszych

najwybitniejszych pisarzy, Tadeusz Konwicki/. Milczenie stanowi pewnien program minimalny. Wynika on ze świadomości sytuacji, w jakiej żyjemy. Natomiast - jeśli wolno mi tu używać liczby mnogiej, ponieważ mam nadzieję, że nie mujam się tu z poglądem pewnej zbiorowości - nie chcielibyśmy mówić sobie, ani słyszeć o sobie od innych - nieprawdy. /A uproszczone, jednostronne wzięte fragmenty skomplikowanej prawdy, traktować jako par pro toto - są nieprawdą właśnie/. Musimy mieć możliwe jasne i trzeźwe rozpoznanie siebie samych - w teraźniejszości i przeszłości. Swiadomość tożsamości. Wydaje się, że najwartościowsze poszukiwania dzisiejszej literatury radzieckiej idą w podobnym kierunku. I Pańska książka, na Pańskim, ojczystym gruncie - dobrze służy temu celowi. Więc czy właśnie Pan musiał właśnie tak o nas napisać?

Skoro już o milczeniu mowa: początkowo sądziłem, że jedyne co możemy zrobić - to właśnie przemilczeć Pana powieść. Jednak że redaktor naczelny jednego z naszych tygodników literackich wystąpił na łamach swojego pisma z żarliwą pochwałą "W sierpniu..." Wyliczywszy niewątpliwe walory utworu, dorzucił na końcu "fascynację polskością", powołując się przy tym, rzecz jasna, na panią Grolińską. O innej wymowie innych polskich aspektów nie powiedział nic, oprócz tego, że "wileńska AK jest w książce obecna"; a w konkluzji, informując o sukcesie powieści, przejrzyście sugerował, że winna być wydana i u nas. Wydało mi się to już przesadą. Redaktor nie był jednak na tyle wielkoduszny, by zamieścić list czytelnika, polemizujący z jego, redaktora, stanowiskiem. Redaktor innego pisma, do którego list skierowałem, chciał to zrobić, ale sprzeciwiła się cenzura. Pozostaje mi więc zwrócenie się do Pana tu, gdzie to obecnie czynię - zwrócenie publiczne, ponieważ sprawa ma publiczny charakter - w na - dziei, że prędzej czy później list ten do Pana dotrze. Nie mam,

oczywiście, żadnych dowodów, i mogę tylko zapewnić Pana, że piszę to, jak wszystko inne w tym mieście, szczerze i z dobrą wiarą: otóż starałem się skonfrontować swoje odczucia w możliwie wielką liczbą osób, które powieść czytały - i twierdzę stanowczo, że opinia cytowanego redaktora jest odosobniona. Niech Pan nie przyjmuje jej jako zdania polskich czytelników. Wydanie polskie Pańskiej powieści przyniosłoby trudno do powetowania szkody; ponieważ z przyczyn zrozumiałych nie moglibyśmy wówczas pozwolić sobie na szczerą dysusję. Rozprzestrzeniłaby się zatem uraza społeczna za krzywdzące traktowanie - tym silniejsza, że z konieczności maskowana milczeniem albo obłudnymi frazesami - a jakaż z tego korzyść?

Z tego co wiem w chwili obecnej wynika, że "W sierpniu..." po polsku nie wyjdzie; i to jest chyba najrozsądniejsze, co możemy zrobić.

Natomiast wiem, że wydania radzieckie się mnożą, że powieść Pana ma ogromne powodzenie, że jest czytana i przyjmowana entuzjastycznie ze wszystkim co w sobie mieści; także w tym, co wzbudziło nasz niepokój. Powieść Pana żyje już życiem własnym, i nie ma Pan na nią wpływu. Decyduje Pan jednak o tym, co wiąże się z następnymi wydaniami; nadewszystko zaś o tym, jaki będą Pańskie następne książki. A dak Pan nam prawo stawiania Panu bardzo wysokich wymagań. Mimo wszystko.

Mam nadzieję, że zechce mnie Pan właściwie zrozumieć. Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

Andrzej Drawicz

Tomasz Burek

O "ALFABECIE WSPOMNIEŃ" I SZANSACH AUTOBIOGRAFII

Sięgając po książki współczesnych pisarzy polskich, moglibyśmy już nieraz się przekonać, że do najbardziej owocnych nurtów w naszej literaturze - nurtów, które przyniosły w ciągu minionego kilkunastolecia najwięcej autentycznych i bezspornych wartości - należy obok pisarstwa o historii, czy to w formie eseju, "reportażu z przeszłości", apokryfu, narracji powieściowej, czy wreszcie prozy fabularno-alegorycznej, inny gatunek z pogranicza literatury pięknej i niepięknej: pisarstwo autobiograficzne i zwierzeniowe.

W domenie historii, problematyki historiozoficznej i literackiej filozofii dziejów znaleźć można cały szereg wybitnych / i przeważnie bardzo poczytnych/ pozycji: od książek Pawła Jasienicy, przez cykl Mariana Brandysa, przez pół powieści Hanny Malewskiej i skłaniającą się od fikcji ku esejowi prozę Jerzego Zawieyskiego, aż po, z jednej strony - "Wariacje pocztowe" Kazimierza Brandysa. Bogactwo uderzające. /Nawet jeśli się weźmie pod uwagę z konieczności wycinkowy charakter cytowanych przykładów/. Zdaje się ono potwierdzać jedno z ciekawych spostrzeżeń Miłosza, zanotowane bodaj w książce o Brzozowskim: "Istniejew w literaturze polskiej ciągłość medytacji historycznej, istnieje storicismo polacco."

Gatunek natomiast autobiograficzny, geneanologiczny, pamiętnikowy, introspekcyjny i konfesyjny, stanowiący jeden z głównych działów piśmiennictwa w literaturach nowoczesnych, angielskiej, francuskiej, niemieckiej, a także i rosyjskiej, nie miał u nas pozornie poparcia, po pierwsze, z powodu niskiej ceny intymności i prywatności w nastrojonej na tyrtejski ton kulturze zbio-

rowej; po drugie, z powodu płytkości życia religijnego, zadowalającego się stroną zewnętrzną, obrzędową, z pominięciem dramatu i paradoksu wiary, w jej aspektach ekstremalnych, mistycznych, augustiańskich i pascalowskich; po trzecie /co pozostaje w związku z poprzednimi/, w braku głębszych i usystematyzowanych zainteresowań "duszczoznawczych" i psychologicznych.

W literaturze Rosji elektryzujące fale dostojewszczyzny i tołstoizmu z ich licytacją szczerości, rozbudowany kompleks kajającego się inteligenta, nakłuwany i drążony przez okrutnych pisarzy, cała psychologia udręczonego "dwojnika" - od Gogola przez Sołoguba - utrwalały i podnosiły rangę nurtu spowiedniczego. W literaturach Zachodu sformułowana przez Freuda nowa hipoteza życia psychicznego i wywołana jego teoriami rewolucja psychoanalityczna - oddziałały pobudzająco na rozkwit wszelkich gatunków pisarstwa intymistycznego, na renesans autobiografizmu, na zaostrzenie introspekcji, na metodyczne już teraz wykorzystanie dawniejszej - niegdyś "naiwnej" - konwencji pamiętnikowej i dziennikowej; krótko mówiąc, uczyniły z autobiografii, ze spowiedzi publicznej, z wyznania i dziennika formę intelektualnie nośną, eksperymentalną, odkrywczą, pasjonującą. /Mieliśmy niedawno okazję poznać swoistą syntezę wszystkich tych tendencji: "Dziennik 1931-1934" Anais Nin, w doskonałym przekładzie Miry Michałowskiej/.

W polskiej natomiast literaturze, nie zastanawiając się wiele, zakrzykiwano nietaktownych "chromaniaków", recte psychologistów, freudystów, introspektywistów. Odizolowane i w istocie nieśmiałe próby monologowania na uboczu nie były w stanie przełamać dominującego nad życiem fatalnego zaklęcia, wszechwładzy zbiorowego tabu, dziwnej, strasznej i uporczywie prolongowanej umowy społecznej na temat: o czym głośno mówić nie pora, nie

wypada, nie należy; tak czy inaczej, ukazywały się w końcu bezradne wobec palca na ustach przezornie strzegącego kultury nie-szczerości. Tonacja osobista i zwierzeniowa, podejmowana tu i ówdzie, łatwo więc rozlegała rozmazaniu lirycznemu, spłaszczeniu bądź popadała w kwieciste pustosłowie; autobiografia traciła nowoczesne ukierunkowanie poznawcze, impet, bezkompromisowość i drapieżność prawdy, i, osojona, nasiąkała iluzjonizmem i dobrotliwością tradycyj gawędziarskich, księgi rewelacyjnych wspomnień przeistaczały się w książki zażaleń i porachunków, i zamiast współczesnego odpowiednika "Rzeczy minionych i rozmyślań" otrzymaliśmy w efekcie "Pół wieku" Jerzego Putramenta.

Podobnie generalizująca opinia nie ze wszystkim jednak wydaje się słuszna. Istniał przecież w literaturze polskiej nurt religijnej i psychologicznej rewelacji, więcej, głębinowy nurt intymizmu i autobiografizmu romantycznego, skłębienie mistycznych olśnień i tajemnej, zwikłanej erotyki, idei ogólnych i doświadczenia osobistego, dokonywana stale konfrontacja "obłąkań" indywidualistycznych i "rozumu" historii; obok rozżarzonego politycznymi namiętnościami romantyzmu białego dnia istniał medytacyjny i introspekcyjny romantyzm północnej pory, "Maria", "Godzina Myśli", "Sniła się zima". Istniała genialna, romantyczna, w najwyższym stopniu poufna i zwierzeniowa powieść miłosna i zarazem intelektualna rozpisana na listy przez Zygmunta Krasińskiego.

Istniał ów "obłędny, aleO wielce rzeczywisty" pamiętnik wewnętrzny, jakim było dzieło Norwida. Ta tradycja, przedłużona później przez "Pamiętnik" Brzozowskiego, z całą jego przedśmiertną, już bezinteresowną fermentacją i fluorescencją myśli, przez "Pamiętnik", w którym tkwiła w zawiązku nowoczesna powieść konfesyjna, epopeja przygód duchowych i myślowych - nakazuje skorygować opinię o tym, iż nie było i u nas nie ma

żyznej gleby i właściwie żadnych szans dla kultywowania literatury wyznań, dla rozwoju wielkiego pisarstwa autobiograficznego.

Przeciwnie, szanse, takie są i to niemałe. Jeśli istnieje polska droga do autobiografizmu, to bierze ona początek i natchnienie z naszej ciekawości, skupionej, od wielu już dziesięcioleci, na niesamowicie poplątanym, obsesyjnym i drętwiącym, ale równocześnie fascynującym węźle współzależności pomiędzy losem jednostkowym i zbiorowym, pomiędzy biografią i historią. Punkt przecięcia między tym, co prywatne, a tym co wypływa z determinant innego kulturowego i dziejowego rzędu, niemożliwość wyosobnienia się, wyplątania, odłączenia naszej osobistej sprawy od dziejów środowiska i od kroniki wypadków politycznych, nakładanie się ankiety personalnej na rytmy i procesy długiego trwania, zrośnięcie portretu intelektualnego z tłem - wszystko to wydaje się swoistą cechą formy autobiograficznej w dwudziestowiecznym wariancie polskim., tak klasycznie wymodelowanym przez Czesława Miłosza w "Rodzinnej Europie".

Wydarzenia historii najnowszej - lata stalinowskie, przełom październikowy, męczące złudzenia małej stabilizacji, kryzys 1968 roku i jego następstwa - w dorosłych pokoleniach wzmogły, a w młodszych rozbudziły moralną ciekawość, głód prawdy, prawdy innej niż oficjalna, okrojona, spreparowana, służąca doraźnym manipulacjom, prawdy niekonformistycznej, wielostronnej, osobiście uwoerzytelnionej, sprawdzalnej w jednostkowym i powszechnym odczuciu, prawdy o ludzkim obliczu. Interesowały nas przy tym nie tylko same "rzeczy", ale i "słowa", nie tylko fakty, ale i ich myślane wersje, nie tylko realne /w naocznym sensie/ przebiegi zdarzeń, ale również ich odmienne, przeciwstawne lub komplementarne interpretacje. Z drugiej strony coraz silniej promieniował intelektualny przykład Gombrowicza,

który z formy sukcesywnie publikowanego dziennika - formy trudnej i wymagającej, jeśli zakłada nieskrępowanie i pełnię wypowiedzi - uczynił sprawdzian wewnętrznej autentyczności, wolności i dojrzałości kultury. A bohaterem dziennika był naturalnie on sam, Gombrowicz, ale w jakże ścisłym zespoleniu nienawistno-miłosnym ze światem polskiej zbiorowości, jak bardzo wszystkimi fibrymi, wszystkimi włóknami mentalnymi i psychicznymi wrośnięty w korzenie tej samej natury, z którą prowadził nie kończącą się walkę o odrębność własnej osoby, własnej biografii wewnętrznej, własnej duszy.

Nie tyle więc psychologia indywidualna, ile interpersonalna, nie tyle autobiografia psychoanalityczna, ile kulturowo-socjologiczna, nie tyle podświadomość, ile inny wymiar świadomości, nie tyle efektowne szczegóły życiorysu, ile wzajemne stosunki, napięcia, krzyżowania się, "żywe wiązanie" jednostkowości z szerszymi strukturami obyczaju, ideologii, polityki, w końcu historii - składają się na specyficzny krąg polskiego intymizmu.

Z rzeczy ostatnio publikowanych, czy to w zamkniętych całościach książkowych, czy we fragmentach ogłaszanych po czasopismach, należą tutaj: przedstawione w formie dziennikowego zapisu próby i zmagania Jerzego Andrzejewskiego z opowieścią "Sto lat temu i teraz", gdzie w sposób nadzwyczaj charakterystyczny nastąpiło owe przecięcie się i wzajemna komplikacja dwóch nurtów, "historycznego" i "autobiograficznego"; "Nierzeczywistość" Kazimierza Brandysa, poprzedzona "Małą Księgą", bądź też na odwrót, "Mała księga" dopełniona "Nierzeczywistością", jeden autoportret w trzech różnych fazach i odsłonach; "Kalendarz i klepsydra" Tadeusza Konwickiego, książka desperacko szczera, przynajmniej w zamiarze, w propozycji jawnie pamiętnikowej formy, jakby w dygresyjnie rozwichrzonym /z premedytacją/ wykonaniu

aktywizujące jednąz przydatnych dziś tradycyj gatunku konfesyjnego: gwałtowną, eruptywną, ekstermistyczną, nieubłaganą w pasji drążenia "złej prawdy", jednym słowem, "celine'owską. Na przeciwległym niż książka Konwickiego biegunie należy umieścić wykwintny, godny uwagi jako konstrukcja, choć w problemowej materii nazbyt poprawnie przystrzyżony, autobiograficzny cykl Marii Kuncewiczowej /"Fantomy", "Natura"/.

Do gatunku pism autobiograficznych, w znaczeniu takim o jakim była mowa /oraz jednocześnie takim, o jakim myślał Fryderyk Schlegel, kiedy w "Liście do powieści" doradzał swojej uczonej przyjaciółce lekturę "Pamiętników" Gibbona, stawiając zarówno tę "nieskończenie wyrafinowaną i nieskończenie zabawną autobiografię sławnego człowieka" jak "Wyznania" Rousseau, ponad płodami współczesnego romanopisarstwa, zresztą włącznie z "Nową Heloizą", i dowodząc, "że to, co najlepsze w najlepszych powieściach jest tylko mniej lub bardziej przeskonitym wyznaniem autora, plonem jego doświadczenia, kwintesencją jego oryginalności"/, otóż do tego rodzaju książek wypadnie również zaliczyć "Alfabet Wspomnień" Antoniego Słonimskiego.

Jest to, chciałoby się skalkować cytowane przed chwilą określenia, rzeczywiście "nieskończenie wyrafinowana i nieskończenie zabawna" mieszanina doświadczenia, inteligencji, dowcipu, liryzmu, barwna mozaika skomponowana z okruchów prawdziwych historii.

Zadanie konstrukcji, a więc eliminacji, przed którym staje każdy piszący wspomnienia, rozwiązał Słonimski w sposób uderzająco oryginalny i zarazem celowy. Ominął zupełnie układ chronologiczny i związaną z nim konwencję prozy opisowej. Wzamian wybrał porządek alfabetyczny. Pozwoliło to niejako z płaszczyzny wyższej ironii operować materiałem wspomnieniowym, ale tylko dość perfodnie selekcjonować, omijać "osoby nie nadające się jeszcze do wspomnień lub już niewarte wspomnienia", jak pamiętnikarz

deklaruje we wstępie, ale co więcej, dzielić ów materiał na ruchome cząstki, przenosić z miejsca na miejsce, rozkładać w rozmaitych proporcjach i coraz to inaczej, demontować i na nowo montować w miniaturowe całości, te zaś wkomponować w nadrzędną całość historii; pozwoliło oświetlać z różnych nieraz perspektyw te same postacie, konfrontować biografie i losy, ukazywać zazębianie się ogniw tradycji i współzależność odległych, przestrzennie i czasowo, wątków, albo odwrotnie, nieprzystawanie tego, co pozornie bliskie osobie; i przede wszystkim - pozwoliło twórczo i mądrze kojarzyć, aranżować niespodziewane sąsiedztwa, budować paradoksalne, komiczne lub do głębi poruszające zestawienia.

Bezpośrednie następstwo niektórych haseł alfabetycznych, niosących wraz z osobami, całe płaty bliskiej i nieco dalszej współczesności, miewa w sobie siłę ogromnego skrótu dziejowego, epickiej "wyrzutni", patetycznej i przejmującej poezji. Na przykład:"Zygelbojm Szmul, Żeromski Stefan. Zestawienie innych ukrywa w swojej eliptyczności i nagłych przeskokach żądło szyderstwa, pamfletu, dotkliwej aluzji. Czasem otrzymujemy małą monografię jakiegoś zjawiska czy problemu, oglądanego w odmiennych aspektach, w kilku równoczesnych przekrojach i profilach. Tak dzieje się w szeregu haseł na literę "I": Inteligent - Iwaszkiewicz Jarosław - Iwaszkowski Karol. Nie ma w "Alfabecie wspomnień" hasła: Grotowski Jerzy, ani hasła: Towiański Andrzej, ale nie pozbawiony pikanterii jest fakt, że mowa i o Towiańskim, i o Grotowskim - teoretyku w obrębie hasła: Limanowski Mieczysław. Nie znajdziemy osobnego hasła: Piłsudski Józef, co wcale nie iznacza, że wśród wspomnianych ludzi i poruszanych zagadnień zabrakło osobowości, która tyle ważyła dla formacji Błonimskiego i wycisnęła tak niezatarte, choć tragizmem tchnące piętno na historii Drugiej Rzeczypospolitej; przeciwnie, cień

Marszałka towarzyszy wielu fragmentom wspomnień i takim hasłom, jak Belweder, Kaden-Bandrowski Juliusz, Niewiadomski Eligiusz... Podobnie o Żeromskim czytelnik książki usłyszy to i owo przedtem, nim przeczyta ostatnie w kolejności wspomnienie o autorze "Przedwiośnia". Np. narratorem z lekka śliskiej, lecz kapitalnej anegdoty o d'Annunziu /przytoczonej w haśle D'Annunzio Gabriele/ jest właśnie Żeromski. Czy wreszcie postać ojca, doktora Stanisława Słonomskiego, zanim ukazana zostanie w całym blasku cnót i osobliwości, w swym ujmującym człowieczeństwie, ilomaż oryginalnymi rysami i dowcipnymi powiedzonkami zabłyśnie na kartach "Alfabetu" - wcześniej.

I tak cała ta książka, złożony z pysznych anegdot, ze złośliwych felietonów, z mikroesejów o sprawach i ludziach, z osobistych wspomnień o rzeczach drobnych i wielkich. z rozsianych myśli o posłannictwie tradycyjnym literatury polskiej, z komentarzy aktualnych, i z powracających ech dnia wczorajszego, który nie przestał być bliski w swych wiarach i nadziejach /"Ojciec mój wierzył w Polskę niepodległą i socjalizm" - przypomina Antoni Słonimski, nie przestał niepokoić, nie przestał targać sumieniem pisarza - ta książka, bogata i żywa, lśni na przemian to łzą wzruszenia, to bezlitosną ripostą, ma swoje godziny pasji moralnej i obywatelskiej, i godziny zamyśleń, raz podejmuje namiętny i nie przebaczający ton agory /jak w charakterystyce Irzykowskiego/, innymrazem uderza w najczastsze, liryczne tony wnętrza /jak w subtelnym wspomnieniu o przyjacielu wczesnej młodości, Piotrze Wodzińskim/.

Na urodę tej książki złożyły się bowiem nie tylko znane od dawna zalety prozy Antoniego Słonimskiego, sprawnej, wyrazistej, ciętej i zwięzej, ostro spuentowanej, wyćwiczonej w szkole polemicznego felietonu, ale również jakości warsztatu artys-

tycznego byłego studenta Akademii Sztuk Pięknych i poety, który nie był tak obcy prądom poezji nowoczesnej, szczelnie i niechętnie od nich odgrodzony, jak się czasem wydaje. Coś z sugestii kubizmu poetyckiego na przykład, z zasady nieoczekiwanych spotkań i metonimii, z poetyki zestawienia, coś t ferementu młodych lat, coś z pięknego anarchizmu "czarnej wiosny" - przeniknęło do tego dzieła późnej starości. Dlatego słowa pamiętnikarza ze wstępu:"Czytelnik uznać musi, że uprawiając w poezji formy dość tradycyjne, nie przestaję być poszukiwaczem nowych środków wyrazu", są i nie są autoironiczne.

Tomasz Burek

SKONFISKOWANE FELIETONY ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO

1. K L I M A T

Odbyła się inauguracja "Roku kulturalno-oświatowego" 1971 - 1972. W przemówieniu z tej racji wygłoszonym usłyszeliśmy wiele krzepiących wypowiedzi. Rozpalenie kaganka oświaty rozświetliło dworek, w którym mieszkał Reymont i dworek rodzinny Marii Dąbrowskiej w Russowie. Przyjąć można te wypowiedzi jako nadzieję na pewną poprawę klimatu.

Jeśli się już mówi o klimacie, to może i warto o klimatyzacji, jeśli o warunkach pracy, to może i o ubraniach ochronnych. Od klimatyzacji wolę stary zwyczaj otwierania okien, a od odzieży ochronnej wolno skrojone wdzianko. Klimat pracy twórczej to delikatna i skomplikowana sprawa. Niedobrze gdy piszący ma na względzie tylko swego szefa, to znaczy redaktora, a redaktor liczy się tylko z opinią wyższych od niego szefów. Publiczność czytająca, jak widzimy, pozostawiona jest w ten sposób na uboczu, a brak rywalizacji nie ożywia twórczej ambicji.

Długie lata kontroli przyzwyczaiły do brzydkiego odruchu samocenzury. Powstały dwa rejony, teremy, od których pisarz odwraca się niemal automatycznie, bo wie, że jeśli będzie strzelał na tych zakazanych terenach, to tylko strzeli byka lub samego siebie rąbnie rykoszetem. Nie zamierzam tu wchodzić w szerokie rozważania na temat rezerwatów ograniczonego myślenia, ale pragnę sięgnąć tylko do środowiska twórczego, gdzie rozwielmożniło się asekuranctwo, choć często nie o byt chodzi, ale o przywileje. Nie omija to niestety nawet takich organizacji, których cele i statut nakazują ochronę moralnych praw pisarzy. Znamy autorów, którzy Polsce godzą się służyć tylko w randze

generała, a sprowadzeni do poziomu zwyczajnych obywateli, tracą zbyt łatwo równowagę.

Gdy przeczytałem o uroczystościach w domu Marii Dąbrowskiej, pomyślałem nie bez żalu o osądzaniu jej pisarstwa zarówno w kraju, jak i w niektórych ośrodkach naszej emigracji. Są ludzie na emigracji, którzy nie chcą czy nie umieją rozpoznać pewnych konieczności terenowych i jednocześnie nie dopuszczają myśli, że wśród wypowiedzi, które się nie podobają, mogą być wyznania wcale nie oportunistyczne, ale szczerze odczute. U nas zaś podaje się po prostu tylko to, co jest koniunkturalnie wygodne. Ujawnia się półprawdy lub toleruje fakty całkowicie zmyślone. Dla dobra klimatu twórczego, dla "Roku kulturalno-oświatowego" trzeba, abyśmy trochę oczyścili przedpole, abyśmy pozostawili potomnym niesfałszowane wizerunki pisarzy, aby czytelnik polski więcej wiedział nie tylko o rozkwicie kultury w dwudziestoleciu międzywojennym, ale i o współczesnych nam pisarzach.

Minął październik piętnasty już od czasu, gdy dane nam było odetchnąć głębiej, nabrać w płuca tlenu i mówić własnym głosem. Nie obchodzono tej rocznicy. Co więcej, mówi się o tym okresie niechętnie i wstydliwie, zapominając, że gdyby nie wydarzenia historyczne, które co pewien czas wracają nam poczucie godności, już dawno z wyżyn narodu stoczylibyśmy się do bytu plemiennego.

Skąd ta niechęć do października? Jakie krzywdy przyniósł ten okres? Jak wielkie sumy wydatkowano wtedy na kulturę i jakie poniesiono trudy? Nie tu szukać przyczyn. Po prostu wydarzenia październikowe ośmieliły, ujawniły to, co trwało utajone. Okazało się nagle, że mamy znakomitych architektów, którzy biorą konkursy światowe, że grafika i scenografia przoduje w

Europie, że teatr nawiązał do tradycji świetności, powstała szkoła polskiej kinematografii, ożywiło się malarstwo i literatura. Osobliwa jest ta niechęć wspominania zdobyczy października dziś właśnie, gdy znów zajaśniała możliwość odnowy i zmiany klimatu. Nie czas powracać do czasów przedpaździernikowych, ale warto przypomnieć, że za prawo działania trzeba wtedy było płacić kompromisami. Nikt wtedy nie był bielszy nad śnieg, mało kto ocalił futerko gronostajowe, chyba że zręcznie według zasad eudajmonizmu, z dala utrzymał się od demonów władzy, nie bacząc na to, co dzieje się w kulturze naszego kraju. Trzeba było płacić, ale znaleźliśmy cenę, której przekroczyć nie było wolno. I dziś pewnien jestem, że środowisko literackie skłonne jest do rozsądnie podjętych kompromisów. Ale nie z tymi, którzy przez całą swą karierę działaczy ZLP służyli każdej koniunkturze, nie z tymi, którzy tak niedawno dla ocalenia swej pozycji zdradzali najlepsze tradycje naszego narodu. Znów są, znów działają. Proponują nam "Układ" dość osobliwy. Przebaczymy wam to, że mieliście słuszność i odwagę upominania się o swe postulata, pod warunkiem, że znów my będziemy wami dyrygować, a wam nie będzie wolno żądać "jakichkolwiek rozliczeń". Błędy trzeba wyżywać po imieniu. Chętnie wzniosę toast na cześć odnowy, ale pamiętajmy słowa poety, że "Kłamstwo nieznane jest jak trucizna utajona w winie". Pragniemy ściślejszej korelacji między słowami a czynem. W pierwszym roku po moim przyjeździe do kraju, w czasie pochodu pierwszomajowego, siedząc w domu, nie bez zdziwienia usłyszałem w radiu, że właśnie w tej chwili przed trybunami kroczą literaci z Putramentem i Słonimskim na czele. Trochę mi się zrobiło dziwnie. Jakże to? Ja tu w domu siedzę i słyszę, że tam właśnie kroczę! Nigdy nie lubiłem pochodów, a do naszego radia, od tego czasu, nabrałem dość zrozumiałej nieufności.

1971 Antoni Słonimski

2. W IMIENIU PRAWA

Do interesującego szkicu Andrzeja Kijowskiego o kształtowaniu się prawa w historii Stanów Zjednoczonych pragnę dorzucić parę uwag. Przed podróżą do Ameryki przeczytałem w miesięczniku "Fortune" artykuł Judsona Goodringa o akcjach studentów prawa i wydał mi się ten artykuł mało wiarygodny. Łatwo przywykamy do stereotypów. Współczesny student amerykański to w naszej wyobraźni bardzo owłosiony dryblas siedzący na chodniku i protestujący przy pomocy tego siedzenia.

Zdziwiło mnie potwierdzenie wywodów pana Goodringa, że może nie mniej typowym od hippiesa stał się ostrzyżony na jeża młody student prawa, który nie jest burzycielem ładu i praw obowiązujących, ale energiczne występuje w ich obronie. Również obraz prawnika, adwokata amerykańskiego to nie zawsze Perry Mason Gardnera żonglujący paragrafami kodeksu karnego, ale często jest to młody żarliwy obrońca praw obywatelskich nie lękający się wejść w konflikt z własnym rządem, z potężnymi trustami, z potentatami takimi jak General Motors. Mój rozmówca, Polak urodzony w Stanach Zjednoczonych, mówił mi o działalności niejakiego Ralpha Nadera, który zgrupował wokół siebie kilkidziesięciu młodych adwokatów i studentów prawa tworząc nieoficjalną Ligę Obrony Praw Człowieka.. wkraczają oni tam wszędzie, gdzie bezpieczeństwo zbiorowe jest zagrożone, kontrolują warunki sanitarne w fabrykach konserw, sprawdzają wartość chemiczną produktów spożywczych i co osobiście uważam za piękny wyczyn przyczynili się do zakazu reklamowania papierosów w radiu i telewizji.

Nader pożądany jest u nas taki Nader. Choćby po to, aby zwalczać bałamutne hasła "Przekroju", który głosi: "Fajka mniej szkodzi". Zależy jak komu. W artykule o "Biernym paleniu"

"Reader Digest" ostrzega, że dym fajki jest dla otoczenia, a zwłaszcza dla niepalących, więc na nikotynę mniej uodpornionych wyjątkowo trujący.

Akcję podobną do walk Nadera prowadzi również prawnik Victor Yannacone, którego główną troską jest fakt systematycznego niszczenia lasów, zatruwania rzek, stosowanie DDT przeciw moskitom, co niszczy bardziej ludzi niż moskity. Ale wydaje mi się, że LIga Obrony Praw powinna swą opieką obejmować nie tylko naturalne otoczenie człowieka, ale i nienaturalne, jakim stały środki masowego przekazu, Pogodne niebo świeża zieleń i przejrzysta woda miały zawsze dodatni wpływ na samopoczucie człowieka. Dziś nastroje mieszkańców miast kształtuje nie woda, zieleń czy powietrze, ale telewizja czy gazeta.

Opieka nad konsumentem obejmować powinna nie tylko pokarm puszkowy i produkty sprzedawane na brudnych wózkach ulicznych. Choć i tu potrzeba odważnej ingerencji jest bezcenna. Parę lat temu grupę studentek Uniwersytetu Warszawskiego posłano na parotygodniową pracę do fabryki konserw. Abydać dziewczętom lekką pracę, kierownik kazał im przyklejać na starych puszkach konserwowych etykiety z nową datą zdatności użycia. Studentki zbuntowały się przeciw tej zbrodniczej akcji.

W fabrykach, zakładach pracy nonkonformizm jest zjawiskiem częstym, bo robotnik, szofer czy minter zawsze łatwiej pracę dostanie od tych, co są bliżej klamki pańskiej. W środowisku pracy fizycznej królami są specjaliści od usług. Hydraulik czy zdun to w naszym świecie potężne duchy wolności nadziemskiej. Natomiast wcale nie do pozazdroszczenia jest rola karierowicza i asekuranta. Eskimosi mają kilkanaście określeń jakości śniegu. Muszą dokładniej niż mieszkańcy sfer umiarkowanych rozpoznać gatunki śniegu, gdyż odgrywa to rolę ważną w ich szansach przetrwania. Karierowicz i asekurant mu-

si się znać nie tyle na jakości śniegu, co na jakości błota. Musi wiedzieć, kiedy szybko trzeba się utytłać całkowicie, a kiedy tylko częściowo. Nie zawsze te zabiegi pomagają. Nawet najzręczniejsi asekuraci często przegrywają, z tą tylko różnicą, że zamiast odejść w porę, odchodzą utytłani.

W środowisku literackim nie mamy Ligi Obrony Konsumenta. Na dobrą sprawę wystarczyłaby nam tradycyjna w naszej cywilizacji etyka chrześcijańska. Przydałoby się również przywrócenie znaczenia dla Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, dla Drkłaracji Praw Człowieka i karty Pen-Clubów. W oparciu o te prawa zdziałać można niemało. Śmiałość polega czasem nie na lekceważeniu praw, ale na ich obronie.

Antoni Słonimski

1973

3. D A N T O N

W programie "Sprawy Dantona" kierownictwo Teatru Powszechnego pomieściło list autorski Stanisławy Przybyszewskiej, a raczej fragmenty listu pisanego do mnie. Do Antoniego Słonimskiego /list prawdopodobnie nie wysłany, Gdańsk 11 IX 1927/. Trudmo mi po latch bez mała pięćdziesięciu stwierdzić, czy list podobny otrzymałem. Wydaje mi się. że choćby przez wzgląd na zaufanie, jakim darzyła mnie Stanisława Przybyszewska, powinienem w miarę możliwości przyczynić się do wyjaśnienia nie "Sprawy Dantona", ale raczej pewnych aspektów "Sprawy Stanisławy Przybyszewskiej".

Otrzymałem od niej parę listów. Wszystkie zginęły w zniszczonej Warszawie. Korespondowałem z nią parę lat przed premierą "Sprawy Dantona", która odbyła się w 1933 roku. W mojej recenzji z premiery /"Gwałt na Melpomenie", tom II, str 126/ znajduje się relacja z pierwszego mego zetknięcia się z dramatem Przybyszewkiej:"Gdy zajrzymy do ogłoszonych przed paru laty w "Wiadomościach Literackich" fragmentów dramatu, znajdujemy tam wiele wad, ale brak tej prymitywności. Sztuka jest raczej dyskusyjna. Nie ma taniej demagogii - wprost przeciwnie, jest napięcie myśli bolesnej i niespokojnej". Tak pisałem o autentycznym tekście sztuki "Sprawy Dantona". Jeśli wracam do tego tematu, to żeby jeden jeszcze dać przykład samowoli reżyserskiej i lekceważeniu tekstu autora. Zaczęło się od Schillera, który wykroił ze "Sprawy Dantona" zwykłą agitkę, sztukę płaską i prymitywną. Po klapie we Lwowie "Sprawę Dantona" wystawił Teatr Polski w inscenizacji i reżyserii Aleksandra Zelwerowicza. Teatr Polski był wtedy teatrem państwowym. Kierownikiem był Kaden-Bandrowki, sztukę wystawiono na otwarsie sezonu. Oto co pisałem o tej premierze:"Czytaliśmy wiele komentarzy i

objaśnień dowodzących, że ten właśnie utwór odpowiada ideologiczej postawie teatru państwowego. Sztuka staje się niemal expose rządowym... W piśmie, które ma być podobno wyrazem sfer rządowych, w artykule "Przed premierą w Teatrze Polskim" czytamy, że Robespierre to "wola, rozum i czystość, a Danton to zakłamanie". Powiedziano nam, że:"Straszliwe dzieje walki Robespierra z Dantonem... to przecież walka wzniosłej duszy tłumu z jego opasłym ciałem". Co za kompleks freudowski w tej chęci oczyszczenia kata rewolucji? Z jaką to się u nas pokrywa prawdą? Ten Robespierre, śmierdzący z lekka hitleryzmem, byłby na miejscu w dzisiejszych Niemczech... Patrzymy na tę sztukę, jak na żałosny skrawek bezsensu. Nic nie ostało. Ani dynamiki dramatycznej, ani walki charakterów. Została jakaś szopka czy szopka pretensjonalna i antypatyczna. Że niby Danton to Korfanty, Korfanton czy Robezpieracki. Że niby trzeba silną ręką, że niby Robespierre lepszy, bo zginął na gilotynie parę tygodni później. I po sfałszowaniu najdramatyczniejszej karty historii francuskiej i spitraszono dramat obcy ideowo. Dzięki Bogu, nie ma u nas żadnych Robespierrów. Wysiłek narodu, który pragnie się rozgospodarować, nie wymaga takich strachów na wróble."

Muszę tu dodać parę słów wyjaśnienia. Robesperracki to po prostu Pieracki. Nie tak po prostu, bo mało kto dziś wie, kto to był Pieracki. Przypomnę tylko, że ulica Foksal, zanim się stała się ulicą Młodzieży Jugosławiańskiej i z powrotem Foksalem, parę lat przed wojną nazywała się ulicą Pierackiego. Wyżne jest to, że wstęp powyższy pisał Kaden-Bandrowski w trzy lata po "Sprawie Brześcia", gdzie osadzono posłów opozycyjnych, wśród których był Korfanty, a Pieracki reprezentował prawe skrzydło rządowe. Ze "Sprawą Dantona" było trochę jak z tym

Foksalem. Inscenacja z robiła z Foksal ulicę Robespierrackiego, Schiller "Młodzież Jugosławiańską", a Wajda zajechał na Foksal, żeby znów powrócić do Robespierra.

Recenzja moja ze "Sprawy Dantona" kończy się następującą uwagą:"Ale za to wszystko nie można winić autorki. Winien tu chyba ktoś, kto puścił w tas karty jej rękopisu". I tu znów małe wyjaśnienie. "Karty w tas" to wyrażenie nie przypadkowe, ale tytuł sztuki Kadena-Bandrowskiego. Jak widzimy wiele tu trzeba przypominać. Dodać również muszę, że pierwotny rękopis sztuki Stanisławy Przybyszewskiej liczył około siedmiuset stron maszynopisu, co oznacza po prostu, że taki materiał jest jak "postaw sukna", z którego wykroić można parę garniturów jednorzędowych, a raczej prorządowych. Ponieważ autorka nie wyraziła zastrzeżeń co do operacji dokonanej na jej egzemplarzu, więc ten wycinek miałem prawo uznać za jej tekst autoryzowany. Jeśli już mowa o autoryzowaniu i pitraszeniu tekstu pragnę zwrócić uwagę Teatrowi Powszechnemu, że drukowanie w programach listu do mnie skierowanego w formie niepełnej, bez mojej zgody i bez poinformowania mnie o tym zamiarze, uznać muszę za jeden jeszcze przykład nie liczenia się z dobrymi obyczajami. List Stanisławy Przybyszewkiej, naiwny i błędny w ocenach sytuacji politycznej, nie oddał najlepszej usługi autorce "Sprawy Dantona".

Polemizując z wykropkowanym tekstem musiałbym uciec się również do w-kropkowania, na co ani siebie, ani szanownych czytelników nie chcę narażać. Przedstawienia Wajdy, prócz fragmentów telewizyjnych, nie widziałem. Byłem już na "Smierci Dantona" G.Buchnera. Widziałem "Dantona" Romain Rollanda i "Sprawę Dantona" Przybyszewskiej. Trzy sztuki o Dantonie to wystarczy. Dokładka mi się nie należy. Swoje odsiedziałem.

Ponieważ mężowie zaufania /mam takich/ donieśli mi, że mimo wszystko pod względem reżyserskim dał Wajda znakomite przedstawienie, niniejszym puszczam w niepamięć parę ostatnich jego udziwnień oraz wybaczam Teatrowi Powszechnemu otwieranie, czytanie i publikowanie cudzych listów.

1975 Antoni Słonimski

4. N A I W N O S C I C W A N I A C T W O

W artykule Wiesława Górnickiego "Polska ale jaka" znalazłem dość osobliwe sformułowanie: "Tak zwana moralność międzynarodowa również nie jest na ogół czymś, czemu należałoby przydawać nadmiernego znaczenia. Nikomu nie można zabronić biadania nad niesprawiedliwością lub zanoszenia skarg pod niebiosa, tyle że nie ma to nic wspólnego z myśleniem o polityce". W tej gmatwaninie "również", "na ogół", "czymś", "czemu" zaciera się sens, który miał nam być przekazany. Chodziło chyba Górnickiemu o banalne stwierdzenie, że politycy lekceważą względy moralne. Zastanowił mnie jednak ton wypowiedzi afirmujący niejako ten stan rzeczy. Pochwała polityki siły w ustach przedstawicieli tej siły ma swoją brzydką logikę, natomiast afirmacja przemocy głoszona przez stronę słabszą jest zboczeniem zwanym powszechnie masochizmem.

Moralność jest niepodzielna. Osobista i społeczna. Narodowa i międzynarodowa. Jakub Karpiński w lipcowym numerze miesięcznika "Więź" przypomina prace Marii Ossowskiej, zwłaszcza tak dziś aktualne "Podstawy nauki o moralności" oraz "Normy moralne". Powiada Ossowska: "Wiadmo, że kto pewnych czynów nie potępia moralnie, skłonny jest tak kształtować pojęcia moralności, by dyrektywy zabraniające tych czynów wykączyć z jej zakresu". Karpiński dodaje od siebie: "Według Marii Ossowskiej sprawiedliwość jest dlatego zasadą moralną, że jej niestosowanie łączy się z poczuciem krzywdy. Ale potępiamy niesprawiedliwość i staramy się i jej usunięcie także z tego względu, że w grę wchodzi godność pokrzywdzonych". Wiesław Górnicki spychający wzgardliwie do "panoptikum historii" wielu pokrzywdzonych, oszukanych, ufnych w swej prawości, nie wspomina ani

słowem o groźniejszym ponoptikum wielkich morderców, których pamięć nie wygasła i w historycznym kontekście nie może być przemilczana. Ten dualizm moralny doprowadza konsekwentnie do aprobaty każdego "czynu politycznego", który w życiu jednostki nazwalibyśmy łajdactwem. Jeśli panWiesław Górnicki zostanie w biały dzień na ulicy, rozebrany, okradziony i poturbowany, ośmieszy się "biadaniem nad niesprawiedliwością i podnoszeniem skarg pod niebiosa", jak pisze w swoim ochotniczym wystąpieniu ideologicznym. Powinien konsekwentnie uznać czyn napastnika jako logiczne działanie z pozycji siły i skłonić się grzecznie przed grabieżą.

Pan Górnicki pisze to wszystko właśnie teraz, gdy konferencja bezpieczeństwa europejskiego zaleca honorowanie praw obywatelskich, teraz, gdy mówi się dużo o Karcie Narodów Zjednoczonych, gdy mimo sporów ziemskich przyjaźnie rozmawiają ze sobą kosmonauci rosyjscy i amerykańscy. Czyżby Górnicki uważał, że są to rozmowy prowadzone w stanie nieważkości, a raczej nieważkości, że to coś w rodzaju "orbiter dicta", a raczej "orbiter dicta", że stosunki przyjazne dopuszczalne są tylko w kosmosie? Jeśli taki jest efekt prawidłowego myślenia politycznego", to warto się zatroskać, dzie przebiega granica, jaki jest zasięg zgody na "niemoralność międzynarodową" gdzue zaczyna się zwykły cynizm i pochwała chwaniactwa, tak typowa dla pewnego typu publicystów nie lękających się niczego tak barczo jak zarzutu naiwności.Odejście od zasad moralnych w myśleniu politycznym doprowadziło nas w okresie międzywojennym do haniebnej inicjatywy rządu polskiego wykreślenia Abisynii z Ligi Narodów. Spotkało się to z cmokierstwem prasy nacjonalistycznej, a ci, którzy ośmielili się potępić ten chwyt "polityki realizmu", wyszydzani byli jako naiwniacy. Kpiny z "biadania

nad niesprawiedliwością" przypominają Mannowską dyskusję Settembriniego z naphtą, którą w pięknym eseju komentuje Barańczak. Dyskusja jest wciąż aktualna, tyle że Naphta pisze się zwyczajnie nafta i reprezentuje metodą już stosowaną przez dialektyka z "Czarodziejskiej Góry". Ale pocieszmy się. Nie ucichł również naiwny i nieżyciowy himanizm Settembriniego. Głos jego rozbrzmiewa z siłą dawno nie słyszaną. Gdy oskarża zbrodnie, gdy zło nazywa po imieniu, różni amerykańscy i europejscy Górnicy z dufnym uśmiechem wyższości zadają mu pytanie: "Jaka jest pańska alternatywa? Myślę, że miałby Settembrini prawo odpowiedzieć: "Żadna". Wystarczy, że mówi prawdę. To wcale nie mało. To więcej niż się różnym cwaniakom wydaje. Rosną nowe pokolenia i będzie coraz więcej ludzi, którzy chcą prawdy. Coraz więcej ludzi naiwnie domagających się honorowania praw ludzkich przyznawanych przez wszystkie narody narodom.

Antoni Słonimski

1975

5. L I N I A P O D Z I A Ł U

Zasypywani codzienną lawiną słów oznajmiających o nowych aktach gwałtów, przemocy porywania i mordowania zakładników, ogłoszeni hukiem bomb padających na ulice metropolii cywilizowanego świata, zatracamy wrażliwość na zło, które staje się czymś codziennym, zwykłym, a więc normalnym. Co gorsza, słyszy się coraz częściej afirmację tej polityki siły, która w ustach jej przedstawicieli ma swoją brzydką logikę, natomiast fascynacja okazywana przemocy przez stronę słabszą ma wszelkie cechy zboczenia powszechnie zwanego masochizmem. Jak daleko zaszła, wgłębiła się w naszą psychikę ta obojętność wobec podstawowych kanonów etyki? Moralność jest niepodzielna. Osobista i społeczna. narodowa i międzynarodowa. Jakub Karpiński w numerze miesięcznika "Więź" przypomina pracę Marii Ossowskiej, zwłaszcza tak dziś aktualne "podstawy nauki o moralności" oraz "Normy moralne". Powiada Ossowska: "Wiadomo, że kto pewnych czynów nie potępia moralnie, skłonny jest tak kształtować pojęcia moralności, by dyrektywy zabraniające tych czynów wyłączyć z jej zakresu"ś Karpiński dodaje od siebie: "Według Marii Ossowkiej sprawiedliwość jest dlatego zasadą moralną, że jej niestosowanie łączy się z poczuciem krzywdy. Ale potępiamy niesprawiedliwość i staramy się o jej usunięcie także z tego względu, że w grę wchodzi godność pokrzywdzonych". Tych pokrzywdzonych spycha się ze wzgardą do pajoptikum historii ale w tym rejestrze dziejów ani słowem nie wspomina się o groźniejszym panopttikum wielkich morderców, których pamięć w historycznym kontekście nie może być przemilczana. Ten dualizm moralny doprowadza konsekwentnie do aprobaty każdego czynu politycznego, który w życiu jednostki nazwalibyśmy łajdactwem. Jeśli ktoś zostanie przez chuligana w biały dzień na

ulicy okradziony i poturbowany, ośmieszy się biadaniem nad niesprawiedliwością i podnoszeniem okrzyku pod niebiosa". Powinien konsekwentnie uznać ten czyn jako logiczne działanie z pozycji siły i skłonić się grzecznie przed napastnikiem.

Gdzie przebiega granica, jaka jest linia zgody na konieczny realizm polityczny, a gdzie zaczyna się zwykły cynizm i pochwała cwaniactwa, tak typowa dla pewnego typu publicystów nie lękających się niczego tak bardzo, jak zarzutu naiwności? Odejście od zasad moralnych w myśleniu politycznym doprowadziło nas w okresie międzywojennym do haniebnej inicjatywy rządu polskiego wykreślenia Abisynii z Ligi Narodów. Spotkało się to z cmokierstwem prasy nacjonalistycznej, a ci, którzy ośmielili się potępić ten chwyt "polityki realizmu", wyszydzeni byli jako naiwniacy.

Czy wiele się zmieniło? Podział na działających w dobrej wierze i nieobecnych w ojczyźnie trwa nadal, tylko tylko, że różne stroje modne przybiera dziś asekuranctwo i cwaniactwo. Asekurant na wyższym poziomie wybiera sobie maksymę, którą sto lat temu głosił Tomasz Hardy: "Wszystko się splata ze sobą - dobro ze złem, wielkoduszność ze sprawiedliwością, religia z polityką". Z tej mikstury wybierać będzie po życzeniu mszę dziękczynną za wielkoduszność i przed snem parę kropel zdawkowej bigoterii. Wolę już jawnego katastrofistę, którego w mojej młodości nazywało się nihilistą. I tu zmieniła się moda. Nihilista był obszarpańcem w dziurawych butach, katastrofista ma kapelusik z piórkiem i ciepłe paletko. Pisze tym piórkiem i chroni się paletkiem. Nihilista to Raskolnikow w swoim pierwszym zamyśle. Katastrofista to nawet nie Stawrogin. Woli ciepło domowe jak Stiepan Trofimowicz. Fizycznie nie znosi obnażania się na chłodne powiewy niełaski.

Inną ta linia podziału przebiega drogą między żurnalistami, inaczej kształtuje się w dziejach naszej poezji. Z tolerancją staram się patrzeć na poetę, który odchodzi od zagadnień moralnych i narodowych i zagłębia się w mrok podświadomości i ciemność archetypów, aby wyrazić to, co niewyrażalne, nazwać to, co nie ma nazwy. Norwid rzucił romantykom wyzwanie w słowach: "Odpowiednie dać r z e c z a słowo". Nigdy mnie to hasło nie przekonało. Byłem zawsze po stronie tych, którzy chcieli "Odpowiednie dać l u d z i o m słowo".

1976 Antoni Słonimski

N O T Y O A U T O R A C H

JERZY ANDRZEJEWSKI

Urodzony w roku 1909. Prozaik, eseista, dramaturg. Przed wojną wydał "Drogi nieuniknione" i "Ład serca", po wojnie wiele książek z których najsłynniejsza i najczęściej wznawiana jest powieść "Popiół i diament". Zakazaną w kraju powieść pt."Apelacja" wydał zagranicą /Instytut Literacki 1967/. Takie wydanie kolejnej powieści pt. "Miazga" nie zostało w Polsce umożliwione. Umieszczone tu opowiadanie "Narodziny" pochodzi z "Miazgi", również osobno nie udało się go dotąd opublikować.

STANISŁAW BARANCZAK

Urodzony w roku 1946. Debiutował w roku 1968 tomem wierszy "Korekta twarzy". Później wydał jeszcze dwa tomy wierszy i 3 książki z zakresu teorii literatury i krytyki literackiej. Autor poematu "Sztuczne oddychanie", którego dotąd nie udało się opublikować nawet we fragmentach, oraz 2 książek eseistycznych, które również nie mogą się ukazać. Publikowane tu wiersze pochodzą z lat 1975,1976.

JACEK BOCHEŃSKI

Urodzony w roku 1926. Prozaik, eseista, tłumacz poezji antycznej. Autor m.inn książek z dziejów rzymskich - "Dzieci Juliusza" i "Nazo Poeta". Umieszczony tu fragment pochodzi z trzeciej księgi tego cyklu - o Tyberiuszu; w ciągu ostatnich lat cenzura kilkakrotnie usuwała go z łamów różnych czasopism. Obecnie Bocheńaki jest objęty w zasadzie całkowitym zakazem druku.

KAZIMIERZ BRANDYS

Urodzony w roku 1916m Prozaik, eseista, dramaturg. Autor powieści i zbiorów opowiadań, należących do najbardziej znanych w okresie powojennym. Najnowsza książka pt. "niezaprzeczywistość", uznana przez wydawców za nieocenzuralną politycznie, nie mogła się

ukazać drukiem. W roku 1976 i tego autora dotknął całkowity zakaz druku.

TOMASZ BUREK

Urodzony w roku 1938. Krytyk literacki. Wydał:"Zamiast powieści" /1971/ i "Dalej aktualne" /1973/. Współautorapracy zbiorowej "Literatura polska 1918-1932".

ANDRZEJ DRAWICZ

Urodzony w roku 1932. Doktor filologii rosyjskiej, autor kilku książek o literaturze rosyjskiej i polskiej. tłumacz. Monografia "Michał Bułhakow", napisana na zamówienie wydawnictwa "Wiedza Powszechna", początkowo została przyjęta do druku, następnie wydawnictwo odstąpoko od umowy. W roku 1976 Drawicz znalazł się w licznej grupie autorów objętych faktycznym zakazem druku w związku ze złożeniem podpisu pod jednym z listów protestujących przeciwko zmianom w Konstytucji PRL. Opublikowany tu list do pisarza radzieckiego W.Bogomołowa nie mógłby się ukazać w oficjalnej prasie nawet niezależnie od tych ograniczeń.

JERZY FICOWSKI

Urodzony w roku 1924. Poeta, prozaik, badacz i wydawca twórczości Brunona Schulza, badacz folkloru cygańskiego. W związku z podpisaniem jednego z listów protestujących przeciwko zmianom w Konstytucji PRL - objęty w roku 1976 kompletnym zakazem druku.

JAKUB KARPINSKI

Urodzony w roku 1942. Filozof i socjolog. We wrześniu 1976 dyrekcja Wydawnictwa Polskiej Akademii Nauk "Ossolineum" usunęła z czasopism i wydawnictw zbiorowych złożonych do druku następujące prace Karpińskiego:

1. Metodologiczne kryteria wyróżniania szkół naukowych, Zagadnienia Naukoznawstwa 1976, nr 2.

2. Weryfikacja tez o zależnościach przyczynowych w badaniach eksperymentalnych, "Studia Socjologiczne" 1977, nr 1.
3. Methodological Schemes, "The Polish Sociological Bulletin" 1976, nr 2.
4. Culture and the Plurality of Words, praca zbiorowa:"Polish Sociology".

JAN KOLIOLKA

Urodzony w roku 1947. Po studiach/ukończył filologię polską/ pracował przez krótki czas w zakładzie poprawczym jako wychowawca. Na doświadczeniach z tego okresu oparł powieść "Ucieczka do nieba", która zdobyła I nagrodę w konkursie Spółdz.Wyd. "czytelnik" w roku 1974. Powieść do tej pory nie może ukazać się drukiem.

RYSZARD KRYNICKI

Urodzony w roku 1943. Poeta, tłumacz. Umieszczone tu wiersze zostały usunięte przez cenzurę bądź wydawnictwo z wydanego w roku 1975 /po wieloletnich perypetiach/ tomu pt. "Organizm zbiorowy". Wiersz pt. "Czasami wierzę" znalazł się w książce, ale z wykreślonymi w tekście nazwoskami Osipa Mandelsztama i Georga Trakla. Kolejny tom Krynickiego został ostatnio odrzucony przez wydawnictwo "ze względu na jego aspekt problemowy".

JERZY NARBUTT

Urodzony w roku 1926. Prozaik, poeta, eseista. Współpracownik prasy katolickiej. W związku z podpisaniem jednego z listów przeciw poprawkom do Konstytucji PRL zatrzymane zostały na różnych etapach procesu wydawniczego m.in. następujące książki Narbutta:"Druga twarz portretu"/zbiór nowel/, "Z ziemi polskiej, z ziemi włoskiej" /wspomnienia i notatki/, "Okręt albo ostatnia twarz portretu" /powieść/.

MAREK NOWAKOWSKI

Urodzony w roku 1935. Prozaik. W związku ze złożeniem podpisu pod jednym z listów w sprawie Konstytucji PRL poddany został represjom, m.in wydawnictwa odstąpiły od wydania gotowych do druku książek, a cenzura konfiskuje jego teksty w prasie.

KAZIMIERZ ORŁOŚ

Urodzony w roku 1935. Po wydaniu kilku książek w Polsce, zmuszony był ogłosić powieść "Cudowna melina" za granicą /Instytut Literacki 1973/, ponieważ wydawnictwa krajowe uznały ją za niecenzuralną politycznie. Od tej chwili - w charakterze represji - podlega kompletnemu zakazowi druku. Również umieszczone tu opowiadanie zostało skonfiskowane przez cenzurę.

BARBARA SADOWSKA

Urodzona w roku 1940. Poetka. Umieszczone tu wiersze zostały skonfiskowane przez cenzurę w wydanym w roku 1974 tomiku pt. "Moje".

ANTONI SŁONIMSKI

1895-1976. Poeta, prozaik, dramaturg. felietonista. Jedna z największych postaci w polskiej literaturze i życiu publicznym kilku ostatnich dziesięcioleci. W latach 1956-1959 prezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Inicjator wystąpień inteligencji polskiej w obronie praw obywatelskich, wolności słowa, przeciwko wszelkiemu złu i tyranii.
Umieszczone tu felietony zostały swego czasu skonfiskowane przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym". W felietonach 4 i 5 pewne fragmenty pokrywają się, ponieważ pisarz zwykł był ratować szczątki skonfiskowanych tekstów, próbując je następnie umieścić w innych konfiguracjach. Niekiedy dawało to rezultaty, tym razem wszakże jednakowy los spotkał oba warianty.

BARBARA TORUNCZYK

Urodzona w roku 1946. W roku 1968 aresztowanie jej przerwało studia na Uniwersytecie Warszawskim. Ukończyła wydział socjologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim w roku 1974. Esej "Poezja i Wojna", napisany w oparciu o jeden z rozdziałów pracy magisterskiej, został skonfiskowany w "Twórczości".

WIKTOR WOROSZYLSKI

Urodzony w roku 1927. Poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Powieść "Literatura" odrzucona została przez wydawców jako politycznie niecenzuralna. W roku 1976 Woroszylski znalazł się wśród autorów objętych w zasadzie całkowitym zakazem druku.